

Caroline Burnes

Miłosne intrygi

Kołysanka dla Dawida

Podczas pewnego eleganckiego przyjęcia małżeństwo wziętych waszyngtońskich prawników znajduje w ogrodzie porzucone niemowlę. Policja wszczyna śledztwo, a jej działania bacznie śledzi Lily, wschodząca gwiazda dziennikarstwa. Na pozór banalna sprawa przeradza się w potężną aferę, toteż porucznikowi Haskinowi spieszy na pomoc niezwykle detektyw.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znakomita orkiestra, galowe stroje, połyskująca w świetle kryształowych żyrandoli biżuteria... Co za nastrój! Brakowało mi tego. Zewsząd dobiegają rozmowy, przerywane salwami perlistego śmiechu. Zgromadziła się tu dziś cała śmietanka Waszyngtonu. Nie żebym chciał się przechwalać, ale to prawdziwa galeria wybitnych postaci. Kilka kroków ode mnie stoi sam George Stephanopoulos. O, a tam w rogu kolejny krezus - George Will. Ale co tam, nie będę przecież wymieniał wszystkich znanych nazwisk, jako że ta lista wprost nie miałaby końca. Najważniejsze, że udało się przegonić reporterów. Przynajmniej dziś nie krążą tu jak sępy, a trzeba przyznać, że mieliby z kim pogadać. No, choćby z ministrem finansów albo z sędzią sądu najwyższego. Takim jak oni wszyscy chętnie zadają trudne pytania. Ale nie tym razem. Owszem, widziałem wozy transmisyjne zaparkowane przed bramą wjazdową, lecz żadnemu z tych obrzydłych dziennikarzy nie udało się przedrzeć do środka. To prawdziwy sukces. Mam też nadzieję, że żaden z nich nie

przyczał się gdzieś w krzakach. Całymi godzinami będą sterczeli na zewnątrz, filmując wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Władza, prestiż i smakowite jedzenie, to zawsze przyciąga jak magnes. Jeszcze jedno udane przyjęcie u Prestona i Rose Johnsonów. Wprost wymarzona atmosfera, aby spędzić kilka szalonych godzin z... zuchwałą, słodką kocicą. A skoro mówię już o pięknych kociakach, to gdzie jest Klotyl-da? Tak długo już stoję na tarasie i czekam, żeby powitać moją miłość, a ona nie przychodzi. Jakie to kocie. Choćby na moment powinienem oderwać wzrok od bramy wjazdowej. Od tego wypatrywania zaczynają mi łzawić oczy. Niech no jeszcze raz popatrzę na zgromadzone przekąski. Długie stoły na sali wprost uginają się od tych wspaniałości. Udało mi się zdobyć całkiem niezły łup. Menu jest imponujące. Mam wędzonego łososia... Według mnie trochę za słony, ale Klotylda go uwielbia. Ślimaki... To fascynujące, co czosnek i odrobina masła mogą zrobić ze ślimakiem. Miseczka kawioru... Kiedy zwijałem ją ze stołu, kelner o mało mnie nie zabił wzrokiem. Zachowywał się co najmniej tak, jakby te kuleczki były ze złota. Parę plastrów wołowiny, soczysta pieczeń wieprzowa i kilka gatunków sera. Nieźle, co? A jeśli chodzi o deser, to mam w planie zupełnie coś innego... To cudowne, cały taras będzie należał tej nocy do nas! Jest dosyć chłodno, więc z pewnością wszyscy goście pozostaną w środku, na sali. Już to widzę: piękna muzyka płynąca z wnętrza domu, rozmyte w szybie, rytmiczne ruchy tulących się w tańcu par i my - sam na sam uczujący na tarasie. Tylko we dwoje. I nikt, ale to nikt nie przeszkodzi nam w tym romantycznym wieczorze. Po ostatniej sprawie

w Nowym Orleanie naprawdę cieszę się, że wróciłem do domu. Chyba powinienem zrobić sobie małą przerwę w pracy. Zmęczyło mnie tropienie cudzych występków. Myślę, że kilka tygodni z Klotyldą uczyniłoby cuda.

Ale... co to? Czy ja źle widzę? Może to jakieś omamy? Ale przecież nic nie piłem... Ktoś przełaził przez płot okalający ogród Prestona. No, żeby tak się pchać na ekskluzywne przyjęcie bez zaproszenia? Wygląda na to, że to kobieta. Czyżby najsprytniejsza reporterka świata? Nie, ona taszczy ze sobą wielki koszyk i cały czas bacznie się rozgląda. Najwyraźniej nie chce być zauważona. Może to jakaś niespodzianka dla gospodarzy? Ale ma nogi! Takich nie powstydzilaby się nawet Marlena Dietrich. Długie i cholernie zgrabne. Trzeba przyznać, że wdrapała się na to trzymetrowe ogrodzenie jak rasowa kocica. Do tego z koszem i to najwyraźniej ciężkim. Postawiła go na werandzie i odeszła. Kosz-niespodzianka. Kosz pełen smakołyków. Na wszelki wypadek upewnię się, czy nie zawiera czegoś nieświeżego... Skosztować każde podejrzané żarcie, to w końcu moja robota i mój koci obowiązek. Poczekam jeszcze chwilę. Niech no tylko ta kobieta-widmo zniknie z pola widzenia. Znowu zgrabnie przeskoczyła przez płot. Zajrzyjmy więc do tego prezentu... Może to przepyszna wędzona szyneczka, a ja niepotrzebnie tak się zamartwiam? Musiałaby być jednak wyjątkowo duża. Zaraz, zaraz... w tym koszu coś się rusza. O rety! Ta kobieta zostawiła w prezencie... dziecko! Trzepie na wszystkie strony rękami i nogami, na pewno zaraz zacznie beczeć. To nie żarty, to mały człowiek!

Bambino. Berbec. Niemowlak. Naprawdę mały! Nawet nie jest w stanie dojrzeć wujka Kumpla, opartego o rant koszyka. Przecież jest o wiele za zimno, żeby mógł tu zostać. Na szczęście nadchodzi już Klotylda. Wystarczy, że rzuci okiem i zaraz wymyśli jakiś rozsądny plan. Wprawdzie wszyscy wiedzą, że Rose i Preston od lat pragną dziecka i na pewno byliby kochającymi rodzicami, którzy zapewniliby maństwu to wszystko, o czym by tylko zamarzyło. Ale to przecież cudze dziecko, należące do tej przedziwnej kobiety, która przełaziła przez płot. O, nie mówiłem, już zaczyna płakać... Dobrze, że jest tu Klotylda. No proszę, znalazła jakąś kartkę. Zdaje mi się, że czym prędzej powinienem odszukać Eleonorę. Co za brak odpowiedzialności! Jak można coś podobnego zrobić? Tak po prostu wyrzucić małego szczeniaka, kociaka, czy niemowlę... i pielęgnować w sobie bezpodstawną nadzieję, że ktoś, kto odnajdzie zawiniątko, zaopiekuje się bezradnym stworzeniem. To podłe i obrzydliwe. Wiem z własnego doświadczenia, co to znaczy być wyrzuconym na bruk, choć dla Klotyldy to najwyraźniej dar od Boga. Jednak nie dla mnie. Ta piękna, długonoga pani już niedługo będzie miała ze mną do czynienia. O, widzę Eleonorę. Ona z całą pewnością wie, co zrobić, żeby ta kruszyna przestała płakać.

Mel Haskin stał oparty o ścianę i rozglądał się dookoła. Stoły wręcz uginały się od wykwintnego jedzenia. Starczyłoby go dla całej armii. W kubelkach z lodem chłodziła się nieprzebrana ilość butelek szampana. I wszystko na darmo. To wspaniałe przyjęcie skończyło się wcześniej, nim naprawdę zdążyło się

rozkręcić. Powodem było oczywiście owo małe zawiniątko, które ktoś podrzucił Johnsonom. Wśród gości wybuchła wielka konsternacja i oburzenie. Eleonora, która miała własne dzieci, przewinęła maleństwo i podała je Rose. Czekwały, aż podejdzie do nich Peter Curry.

- O co chodzi? Jestem weterynarzem, a nie pediatrą - zachnął się zdenerwowany. - Wszystko, co mogę powiedzieć, to że ma raptem kilka dni i jest w dobrym stanie.

Eleonora schyliła się i podniosła kartkę, leżącą w koszyku. Spojrzała na Mela.

- O tu, panie poruczniku! Jest jeszcze kartka - rozłożyła ją i przeczytała na głos. - „Ma na imię Dawid, a siły tyle, że pokona Goliata. Chronście go przed jego wrogami i dbajcie o niego. Gdy będzie ku temu pora, przypominajcie mu o mnie. Niech wie, jak bardzo go kochałam i jak bardzo musiałam się dla niego poświęcić”.

- Boże... - wzruszyła się Rose. - Oczywiście, że będę o niego dbała. - Mówiąc to, przytuliła zawiniątko do piersi. Ze łzami w oczach spojrzała na swojego męża.

Na znak akceptacji powoli skinął głową.

- Ależ Rose! Zostało popełnione przestępstwo. Nie możesz tak po prostu zatrzymać tego dziecka! - wykrzyknęła Eleonora.

- A właśnie że mogę. - Rose usiadła na miękkiej sofie z maleństwem w ramionach. Przecudnej urody kocica, pomrukując, przycupnęła obok niej. - Widzisz, nawet Klotylda jest zdania, że to słuszna decyzja.

Mel wciąż przyglądał się kartce.

- Niestety, miało ją w rękach sporo osób - zwróciła się do niego Eleonora, jakby chcąc przeprosić Haskina.

- Kiedy Kumpel znalazł małego, wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani, więc karteczka wędrowała z rąk do rąk. Nikt z nas nie pomyślał, że może stanowić dowód w rozprawie sądowej.

- Czy ktoś widział, jak to się stało? - zapytał Mel. Starał się trzymać jak najdalej od tej małej istoty. Nie dlatego, że nie lubił dzieci, co więcej, sam planował co najmniej dwójkę. Jednak w swojej pracy często stykał się z dziećmi, które były ofiarami przestępstw. To było odrażające. Nie zasługiwały na taki los. Nie dość, że nic nikomu nie zawiniły, to jeszcze były kompletnie bezbronne. Tak jak i to maleństwo. Co z tego, że nazwano je imieniem biblijnej postaci, której udało się pokonać Goliata? Na co liczyła matka, podrzucając je pod drzwi zamożnego domu? Jakie miało znaczenie, że Preston i Rose całym sercem byli gotowi zaopiekować się małym? Dla niego to się nie liczyło. Zbyt często spotykał się z podobnymi sytuacjami. To jedna z wielu tego typu historii, lecz motyw był zawsze taki sam. Młoda dziewczyna zachodziła w niechcianą ciążę i rodziła dziecko, a następnie podrzucała je pod cudze drzwi lub zostawiała w szpitalu. Bała się kłopotów, nie czuła się na siłach przyjąć odpowiedzialności za życie istoty, którą nosiła w swym łonie. Dla Mela było to poważne przestępstwo, które zamierzał obnażyć, a sprawcę ukarać.

- Miau!!! - Kocie pazury boleśnie wbiły się w jego łydkę. Syknął, odwrócił głowę i napotkał wyraziste spojrzenie zielonych oczu.

- Miau! Miau!

- Co? - Rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikt nie widzi, że rozmawia z kotem.

Kot, ku jego zaskoczeniu, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, w mgnieniu oka znalazł się przy koszyku i zaczął trącać go łapką, cały czas patrząc na porucznika. Mel podniósł kosz do góry i obejrzał go ze wszystkich stron. Wziął do ręki kocyk, w który owinięte było niemowlę.

- Miękki, bardzo miękki... - mruknął pod nosem.

- Czyżby był z kaszmiru? I ten koszyk też nie jest taki całkiem zwyczajny. Z pewnością został robiony na zamówienie.

Po wnikliwych oględzinach dostrzegł nazwę firmy. A więc miał jakiś ślad. Dyskretnie odłożył kocyk do środka.

- Chciałbym zatrzymać te przedmioty jako dowody rzeczowe - powiedział.

- Wolałabym, żeby pan tego nie robił - błyskawicznie odparła Rose Johnson. - To biedactwo tylko tyle ma po swojej matce - dodała po chwili.

- Chciałabym przechować te rzeczy i dać mu je, kiedy będzie duży.

Mel westchnął. Czekala go zatem niezła przeprawa. Nie dość, że sprawa zdawała się być śmierdząca, to Jeszcze musi się liczyć z oporem tej kobiety. W myślach pani Johnson zaadoptowała już dziecko i planowała Jego przyszłość.

- Przykro mi to mówić, ale dziecko powinno być zabrane do szpitala. - Starał się być delikatny, by nie zranić Rose. - Takie jest prawo, proszę pani.

- Na pewno można tę sprawę załatwić inaczej, panie poruczniku - odezwał się Preston. - Jesteśmy gotowi przejąć za... Dawida całkowitą odpowiedzialność. Jeśli to w czymś pomoże, zatrudnimy do niego

pielegniarkę. - Spojrzał na żonę i mocno przytulił ją do siebie.

- Jestem przekonany, że bylibyście państwo najwspanialszymi rodzicami na świecie, ale niestety nie ja o tym decyduję. Muszę się ściśle trzymać ustalonych procedur.

Twarz Prestona wykrzywił nieprzyjemny grymas. Mel wiedział, że ten człowiek nie podda się łatwo. Był bardzo zamożny, miał wysoką pozycję w społeczeństwie i mógł sobie na wiele pozwolić.

- Nie chciałbym podważać pańskiego autorytetu - Preston starał się zachować absolutny spokój - ale czy nie obrazi się pan, jeśli zadzwonię do sędziego Patter-sona? To chyba on zajmuje się takimi sprawami? Przyjaźnimy się od lat - dodał. - Być może poczułby się pan zwolniony z odpowiedzialności, gdyby sędzia pozwolił nam zatrzymać dziecko do... powiedzmy, poniedziałku.

Zwykle taka uwaga doprowadziłaby Mela do wściekłości, ale tym razem wiedział, że musi być ostrożny. Poza tym czuł, że Johnsonom naprawdę bardzo zależy na porzuconym niemowlaku.

- Owszem, sędzia Patterson może zadecydować w tej sprawie. Gdyby to ode mnie zależało, z miłą chęcią zostawiłbym to dziecko u państwa.

Preston uśmiechnął się pojednawczo.

- Zatem, pozwoli pan, że zadzwonię. A w międzyczasie zechce pan się napić kawy... - Przywołał wzrokiem kelnera. - Chętnie zaproponowałbym szampana, ale rozumiem, że jest pan na służbie.

- Dziękuję, kawa wystarczy w zupełności - powiedział Mel.

Najchętniej wróciłby do biura. Zostawił na biurku nieuporządkowany stos papierów, dotyczący skomplikowanej sprawy, którą właśnie zakończył. Podwójne morderstwo. To mówi samo za siebie. Marzył już od dawna o jednej spokojnej nocy. Z rozmyślań wyrwały go dziwne hałasy, dobiegające od wejściowych drzwi. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, gdyż wszyscy zgromadzeni skoncentrowani byli na niemowlęciu. Kierowany detektywistyczną ciekawością, po cichu wymknął się na korytarz.

Przy drzwiach stał służący i rozmawiał z jakąś kobietą.

- Przepraszam panią - dotarło do jego uszu - ale nikt z prasy nie ma prawa wejść. Nie sądzę, żeby państwo Johnsonowie chcieli zrobić dla pani wyjątek.

- Chcę tylko wiedzieć, czy to prawda, że ktoś podrzucił tu dzisiaj dziecko?

Mel poznał ten głos od razu. To była Lily Markey. Spośród wszystkich reporterów w Waszyngtonie jej właśnie obawiał się najbardziej. Nie dlatego, by była pozbawiona skrupułów lub też zdolna do nieetycznych zachowań. To właśnie szczerść i otwartość powodowały, że stawiała się wprost nie do zniesienia. Miała reputację dziennikarki twardej, ale sprawiedliwej, a każdy jej artykuł był tego dowodem. W mieście, w którym mediom zarzucano kłamliwość i manipulację, przed Lily wszyscy czuli respekt. Swoją drogą ciekawe, skąd wiedziała o dziecku?

- Proszę pani, najlepiej niech pani zadzwoni w poniedziałek do biura pana Johnsona. Na pewno zechce z panią porozmawiać. - Służący dwoił się i troił, żeby Jakoś się jej pozbyć.

- Przecież dziś jest dopiero sobota. Nie mogę czekać do poniedziałku - powiedziała Lily słodko. - Dostałam godzinę na dostarczenie tej informacji, dlatego muszę natychmiast porozmawiać z panią lub panem Johnson.

- Już powiedziałem, to niemożliwe - uniósł się w końcu służący. - Jeśli pani nie opuści posesji, będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

Mel westchnął, podszedł do drzwi i powiedział:

- Zajmę się tym.

Służący z wdzięcznością skinął głową. Najwyraźniej bardzo mu ulżyło.

- Mel? - Lily była szczerze zdziwiona. - Czy z tym małym wszystko w porządku?

- Masz niezłe przecieki. Nie wspominałem w departamencie o płci dziecka.

- Ups... - przygryzła dolną wargę i zaczerwieniła się. To prawda, miała bardzo wysoko usytuowane wtyczki, co było jej zawodową tajemnicą, lecz zdaje się, że Mel ją zdemaskował.

- Domyślam się, od kogo masz te informacje.

- To bardzo wątpliwe - rzuciła szorstko. - Lepiej powiedz coś o chłopcu. Johnsonowie chcą go zatrzymać? No, nie patrz tak na mnie, wszyscy wiedzą, że od lat marzą o dziecku... Niemal cały Waszyngton mówi o tym, więc nie udawaj - syknęła i lekceważąco machnęła ręką.

- Nawet reporter działu politycznego „Washington Post”? - spytał sarkastycznie Mel.

- No i co z tego? Nie jestem do reszty pozbawiona uczuć. Mogę zrozumieć pragnienie posiadania dziecka.

Ton głosu Lily spowodował, że Mel zaczął się

zastanawiać, czy przypadkiem nie uderzył w jej czuły punkt.

- Myślałem, że w kręgach dziennikarskich trzeba pożreć co najmniej trójkę spośród swoich młodych, by udowodnić, jakim się jest twardzielem.

Ku jego zdziwieniu roześmiała się.

- Mówisz o starych czasach. Dziś są już inne wymagania. Musimy połknąć w całości przynajmniej trzech detektywów!

- Ach tak? To świetnie! - roześmiał się. - Na co więc czekasz?

W jej oczach dostrzegł wesoło tańczące ogniki. Wyglądała łagodniej niż zwykle. Te jej rudawe włosy i zielone oczy przywoływały raczej obraz irlandzkiej dziewczyny ze wzgórz niż znanej wielkowiejskiej reporterki.

- No więc co będzie z dzieckiem? Zatrzymają je?

- O tym zadecyduje sąd. - Mel ponownie wślizgnął się w swoją oficjalną rolę.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała nagle. - Przecież zwykle zajmujesz się sprawami kryminalnymi.

- A co to jest, jak nie poważne przestępstwo? Przecież chodzi o porzucenie własnego dziecka.

- Porzucenie? - Zdziwiła się, a widząc jego czujny wzrok, dodała: - Myślałam, że ktoś je zostawił podczas przyjęcia...

- Może nie jest to klasyczne porzucenie, na zimnie czy w śmietniku, ale z pewnością i tak mamy do czynienia z przestępstwem kryminalnym.

- Błagam, rozwiń trochę swą myśl. - Ponownie przygryzła wargę.

Zdawało mu się, że coś przed nim ukrywa.

- Lily, powiedz, dlaczego traktujesz tę sprawę tak bardzo osobiście? - Takie miał przecucie, a właśnie dzięki intuicji uchodził za jednego z trzech najlepszych detektywów w Waszyngtonie.

- Bo to świetna historia - próbowała się ratować.

- Sądziłem, że zajmujesz się polityką. - Teraz był już pewien, że trafił w dziesiątkę.

- Johnsonowie to polityka! - wykrzyknęła.

- No tak, ale historyjka o niechcianym dziecku nie należy do twojej branży. Dawniej nie splunęłabyś nawet w jej kierunku. Powiedz prawdę, dlaczego tu przyszłaś?

- OK, widzę, że nie mam wyjścia. Dostałam tę informację od bardzo bliskiej osoby. Poproszono mnie, abym zajęła się tą sprawą w ramach przyjacielskiej przysługi, że tak powiem.

Coś to wyjaśniało, ale nie do końca.

- Przecież tu na razie nie ma jeszcze żadnej szczególnej historii, Lily. O czym ty mówisz?

- Jest dziecko, prawda? - Nie udało jej się ukryć niepokoju.

- To fakt, ale z niemowlakiem jest wszystko w porządku. Póki co, Johnsonowie zadzwonili po lekarza, a ten przebadał małego i nic nie znalazł. Wygląda na to, że ta istotka wygrała los na loterii. Będzie miała wszystko, o czym zamarzy. No, przynajmniej przez kilka następnych dni.

- Co masz na myśli? Więc nie chcą go zatrzymać?

- Może dobrze znasz Johnsonów, ale przepisów na pewno nie. Ktoś, kto znajdzie dziecko, nie może go po prostu zatrzymać. To sprawa karna i musi zająć się tym policja.

- Ale oni byliby doskonałymi rodzicami...
- O tym zadecyduje sąd. Obawiam się, że to maleństwo spędzi kilka pierwszych miesięcy swego tycia w domu dziecka. Takie historie zawsze tak się kończą. - W jego głosie słycać było rozgoryczenie. I Lily dobrze je słyszała. Spojrzała na niego przeciągle, jakby błagalnie, potem spuściła głowę, ale nie powiedziała nic.
- To co, będę mogła porozmawiać z Johnsonami? - zapytała po chwili.
- Daj mi swoją wizytówkę. Przekażę ją, ale na twoim miejscu nie liczyłbym na nic. W chwili obecnej zainteresowani są tylko dzieckiem.
- Dobrze wiedzieć. - Uśmiechnęła się.
- Tak, to zawsze jakaś pociecha.

Wziął z jej ręki wizytówkę i patrzył, jak schodzi po wchodach. Wysoka, smukła, długonoga... O tak, pomyślał, na punkcie takiej kobiety nietrudno oszaleć. Odwrócił się i o mało nie nadepnął na kota, który przyczał się u jego stóp. Nie był więc sam. Kot zamiauczał przeciągle, wpatrując się swoimi ogromnymi, zielonymi oczami w oddalającą się reporterkę. A zatem nie on Jeden miał jakieś dziwne przeczucia w tę zimną, marcową noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lily szła powoli w stronę bramy wjazdowej. Wprawdzie głowę miała podniesioną, ale ile ją to kosztowało, wiedziała tylko ona. Co za pech! Czy musiała natknąć się na Mela Haskina? Dlaczego akurat jemu powierzono tę sprawę? Przecież on jest z wydziału zabójstw, więc czemu zachowywał się tak, jakby go to wszystko bezpośrednio dotyczyło? Z wściekłością zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu. Zrobiło się bardzo zimno, dużo zimniej niż trzy godziny temu, kiedy zjawiała się tu dziś po raz pierwszy. Zamknęła oczy i opadła znużona na oparcie siedzenia. Próbowwała rozmasować dłońmi zeszywniały kark. Zrobiła to, co po pierwsze obiecała, a po drugie uważała za najlepsze rozwiązanie dla Dawida i jego matki. W dużym, ciepłym i zamożnym domu Johnsonów, wśród kochających ludzi, mały był całkowicie bezpieczny. I o to przecież chodziło. Wiedziała, że Johnsonowie nigdy nie zrobiliby mu najmniejszej krzywdy. Zacisnęła palce na kierownicy. Już dobrze, pomyślała, najważniejsze, że dziecko jest bezpieczne. Ale co będzie z jego matką? Czy ta przerażona

kobieta, która powierzyła jej w pełnym zaufaniu swoje maleństwo, ma szansę na normalne, spokojne życie?

Kiedy Mel powrócił do salonu państwa Johnsonów, natychmiast dostrzegł radość na twarzy Prestona. Domyślił się, że sędzia Patterson zezwolił, by dziecko zostało w ich domu.

- Sędzia się zgodził - zakomunikował Preston z uśmiechem na ustach. - Zaznaczył jednak, że to chwilowa decyzja. Ale każda godzina, którą mały spędzi z nami, zwiększa nasze szanse. Nie sądzi pan?

Mel nie chciał tego komentować. Wiedział, że prawo jest nieubłagane i nie rządzi się ani logiką, ani sercem. Gdyby to on miał decydować w tej sprawie, po tym, co zobaczył, nie zastanawiałby się ani chwili i przyznałby prawa rodzicielskie Johnsonom. Nie leżało to jednak w jego gestii. Był jedynie małą płotką w wielkim akwarium pełnym rekinów.

- Sędzia Patterson będzie oczekiwał nas w sądzie w poniedziałek rano - kontynuował Preston. - Oczywiście pojawimy się tam. Prawda, kochanie? - zwrócił się do żony.

- Naturalnie. - Rose wstała. - Dziękujemy panu, panie poruczniku. A gdyby udało się panu odnaleźć matkę Dawida, może mógłby pan przekazać jej, że... - Zawiesiła głos.

Mel wiedział, co chciała powiedzieć Rose. Ze dołożą wszelkich starań, by dziecku niczego nie brakowało i zrobią wszystko, by dobrze je wychować i zapewnić mu wspaniałą przyszłość.

- Oczywiście. Zrobię, co będzie w mojej mocy. Będę z państwem w kontakcie. Żegnam.

Przed wyjściem rozejrzał się po salonie. Wszyscy zdawali się być całkowicie pochłonięci niezwykłym wydarzeniem, nawet dwa urokliwe koty zachowywały się tak, jakby sam Mały Książę spadł im z nieba. Wyglądało na to, że istnieją jeszcze domy, w których ludzie kochają zarówno dzieci, jak i zwierzęta. Wszedł. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona, lodowata ciemność. Musiał wrócić do biura, gdyż czekała tam na niego masa roboty. Chciał też wykonać kilka telefonów. Przez długie lata pozyskał sporo informatorów, może pomogą mu również i w tej sprawie. Przecież jakaś kobieta gdzieś urodziła to dziecko i musiały pozostać po tym wydarzeniu ślady. Intuicyjnie czuł, że malec ani nie pochodził z biednej rodziny, ani też nie był dzieckiem małej, opuszczonej dziewczyny. Chłopczyk był czysty, odpowiednio ubrany i ciepło okryty. A poza tym koczek z kaszmiru, kosz i w ogóle wszystkie rzeczy były w dobrym gatunku, nowe i z pewnością drogie. O co więc chodziło? Ta sprawa zaczynała go coraz bardziej intrygować.

Lily weszła do pokoju i usiadła na krześle obok łóżka Susie Bishop. Położyła dłoń na jej czole i odczekała z ulgą. Dziewczyna nie miała już gorączki. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślała. Wiedziała jednak, że w tej chwili nic ani nikt nie może zmniejszyć bólu, który malował się na jej twarzy.

- Zatrzymali moje dziecko? - Głos Susie załamał się na ostatnim słowie.

Oczy Lily wypełniły się łzami. Ona, taka twarda reporterka, i łzy? Gdyby któryś z chłopaków z redakcji teraz ją zobaczył, ze zdziwienia zamieniłby się w słup soli.

- Nie tylko zatrzymali, ale od razu się w nim zakochali. Oczywiście sprawy w sądzie trochę potrważą...
- zawiesiła głos.

W czasie wypełniania tej misji pomyliła się już dwukrotnie: po pierwsze zaniosiła dziecko podczas przyjęcia, a po drugie nie liczyła się z tym, że Johnsonowie powiadomią policję. Sądziła, że przyjmą dziecko jak swoje i nikomu nie powiedzą ani słowa.

- Stało się coś złego? - zapytała zaniepokojona Susie, widząc w oczach Lily łzy.
- Nie, wszystko przebiegło zgodnie z planem. Mulisz się teraz skoncentrować na tym, żeby dojść szybko do siebie i... czym prędzej opuścić miasto.

Susie uniosła się na chwilę na łokciach.

- Dokąd pojedę? On mnie i tak wszędzie znajdzie - powiedziała zrezygnowana. - Tak powiedział.
- Może sobie mówić, co chce, ale wierz mi, nie jest wszechmocny. Cały świat nie należy do niego, nie kontroluje wszystkiego i wszystkich. - Lily ogarnęła wściekłość. - Wywiozę cię stąd gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna.
- Nie znasz go. On ma swoich ludzi dosłownie wszędzie. Opłaca połowę policji w Waszyngtonie. Lily poczuła zimny dreszcz. Mel Haskin? Powszechnie się mówi, że jego nie można kupić. Ale, nie oszukujmy się, wszystko zależy od ceny. Jeśli Mel dowie się, kim Dawid jest w rzeczywistości, katastrofa będzie nieunikniona.
- Nie zamartwiaj się, Susie, błagam cię. Muszę teraz iść do redakcji, bo mam do skończenia reportaż. A ty odpoczywaj i... zbieraj siły. Jak wrócę, przyniosę COŚ do zjedzenia. Nie zapominaj o tym, co powiedziała

położna: musisz się ruszać. Albo nie, lepiej poczekaj z tym na mnie. Dobrze?

- Dlaczego to robisz? Jeśli Wayman odkryje, że mi pomogłaś, zamieni twoje życie w piekło... - Głos Susie znowu się załamał. - Lily, on cię zabije!

- Nie dowie się. - Starła łzę, spływającą po policzku Susie.

Strasznie było jej żal tej dziewczyny. Wyglądała na kompletnie wyczerpaną i załamaną. Na jej twarzy wciąż jeszcze widniały ślady pobicia. Cała była w siniakach. Nie dalej jak dwa tygodnie temu Wayman Bishop brutalnie skatował swoją żonę, będącą w dziewiątym miesiącu ciąży, ponieważ podała mu zbyt chłodną kawę.

- To bardzo zły człowiek... Uważaj na siebie, Lily - ostrzegła ją raz jeszcze.

- Jeśli muszę, to i ja potrafię być zła - próbowała pocieszyć zrozpaczoną przyjaciółkę. Poglaskała ją delikatnie po głowie. - W końcu trenowałam judo i karate, no i wygrałam mistrzostwa w kick boxingu. Susie uśmiechnęła się słabo.

- Chciałabym choć w części być taka odważna jak ty jesteś.

- Jesteś, Susie. Uratowałaś swoje dziecko! Nie każdego byłoby na to stać, a ty dałaś mu szansę na normalne życie, płacąc największą cenę, jaką można sobie wyobrazić: aby je uratować, musiałaś je stracić. Nie łudź się, że Wayman by je oszczędził. Maltretowałby Dawida tak samo jak ciebie, no i ukształtowałby go na swoje podobieństwo. Nie rób sobie żadnych wyrzutów, gdyż nie było innej drogi. Nie zadrezczaj się i spróbuj zasnąć. Będę za jakieś dwie godziny.

Johnsonowie wraz z przyjaciółmi byli zajęci wieczorną krzątaniną. Wszyscy domownicy udawali się

na Usłużony odpoczynek. Nawet Klotylda ziewała, ale dobrze wiedziałem, że o czymś jeszcze rozmyśla. Kot to takie dziwne stworzenie: jeśli go raz coś zainteresuje, Ole ma takiej siły, która mogłaby mu przeszkodzić w dotarciu do sedna sprawy. Tylko głupim ludziom się udaje, że mają nad kotem władzę i że mogą go wytresować. Wracając jednak do Klotyldy, z jej zachowania wnioskuję, że snuje jakieś plany.

- Klotyldo, kochanie, o co chodzi? Martwisz się o ludzkie dziecko i o jego przybranych rodziców? Ze ktoś odbierze im to maleństwo? Co mam zrobić? Słucham? O rety! Dopiero co zakończyłem poprzednią sprawę, a już mam się brać za następną?

Och, te kocice! Ona chce, żebym odszukał matkę Dawida, ale to wcale nie będzie łatwa sprawa. Na ogół kobiety, które porzucają dzieci, zdecydowanie nie chcą być odnalezione. A poza tym mamy przecież już jednego Jamesa Bonda, który zajmuje się tą historią. Tak swoją drogą, dziwne ma do tego wszystkiego podejście... Patrzył na to dziecko, jakby był jego ojcem. Najwyraźniej detektywi też mają swoje czułe punkty. A może wcale nie chciał się tym zająć? Może to degradacja dla kogoś z wydziału zabójstw? Jeśli chodzi o mnie, to zdecydowanie nie lubię nieboszczyków. Ale, ale... kto powiedział, że matka tego dziecka żyje? Kurczę, a jeśli najpierw ją zabito, a potem podrzuciono tego niemowlaka? Och, ta Klotylda. Coś mi się zdaje, że czyta w moich myślach. Nic jej nie umknie... Ludzie twierdzą, że jestem nieprzewidywalny, ale ona potrafi wnikać do mojej głowy, jakby kartkowała książkę.

- Więc co o tym sądzisz, mój drogi? Mówiłeś coś?

- Nic, nic, kochanie. Właśnie myślałem, jak znaleźć mamę Dawida. - Nie powinienem przy niej rozmyślać o moich wątpliwościach. Muszę być czujny. Koszyk i koczyk to niezłe wskazówki, ale James Bond też je zauważył i do tego zabrał ze sobą. Jeżeli uda mi się zagrać na zwłokę, odwali za mnie część roboty. - Ależ skarbie... Chcesz, żebym zaczął już dzisiaj? Koniecznie? Zanim na dobre dobierze się do tego policja? Pomożesz mi... - Jasny piorun. Wpadka na całego. Dlaczego czuję się jak Petyś z Balbiną? Z Balbiną, która nagle postanowiła pomóc Ptysiowi w jego spektakularnej karierze? No cóż, taki los... Trzeba się ślicznie uśmiechać i robić swoje. W końcu życie to teatr. - Będziemy zatem pracować razem, łeb w łeb. Kumpel i Klotylda. To cudownie!

- Masz rację, kochanie. To naprawdę doskonały pomysł i jak to wspaniale brzmi: Kumpel i Klotylda! Ale wpadłem, jak śliwka w kompot.

- Zatem zacznijmy, skarbie, od ogrodu. Może znajdziemy tam jakieś dodatkowe wskazówki.

- To był długi dzień - westchnął ciężko Mel, zamykając ostatnią z teczek leżących na biurku. Obdzwonił wszystkie szpitale w Waszyngtonie. To fakt, nie dysponował zbyt dużą ilością danych, ale znał imię dziecka, jego ciężar i długość oraz przybliżoną datę urodzin. A to było już coś. Jednak mimo wszystko nie udało mu się trafić na żaden, choćby najmniejszy ślad. Może w takim razie poród odbył się w prywatnej klinice albo w domu, pod nadzorem położnej? Bogaci ludzie tak właśnie postępowali. A może wręcz przeciw

nie... Tani hotelik i kobieta do pomocy... E, nie... Jakoś mu to nie pasowało do całości. Czuł, że ta sprawa będzie ciągnęła się w nieskończoność i opuścił go zapal, żeby ją rozwikłać. Właściwie w czym problem? Dziecko znalazło wspinały dom, w którym jest chciane i kochane. Gdyby tylko prawo choć w najmniejszym stopniu kierowało się logiką, już wkrótce mały nazywałby się Dawid Johnson i był oczkiem w głowie zakochanych w nim rodziców. Może lepiej zostawić tę sprawę... Przeszył go nagły dreszcz. Przed oczami stanął mu obraz, który tak bardzo chciał wyrzucić ze swojej pamięci: on siedzący przy starym, pokiereszowanym stole, a wokół niego z pięćdziesięciu jemu podobnych chłopców. Głodni nie byli nigdy, nawet w najtrudniejszych czasach jadaliby trzy razy dziennie, choćby owsiankę. Ale nie chodziło przecież o jedzenie. Najgorsze były noce, kiedy umierał ze strachu i nie mógł zasnąć. Całymi godzinami zastanawiał się, czy matka wróci po niego. Obiecała przecież, że niedługo się pojawi. Lecz mijały tygodnie i miesiące, a potem lata. Nie ujrzał jej już nigdy więcej. Pozostały mu tylko wspomnienia: wysoka, szczupła kobieta, znikająca na końcu długiego holu. W uszach wciąż jeszcze rozbrzmiewał mu stukot jej wysokich obcasów. Bardzo dobrze pamiętał ten moment. Szła szybko, jakby chciała uciec, a na końcu korytarza biegła. Ku nowemu życiu, bez dziecka. Czuł się opuszczony i niechciany. Jakie to było trudne... Nie, nie mógł zostawić tej sprawy. Po prostu nie mógł.

- Cześć, Mel. Co słychać? - Sonny Caruso rzucił płaszcz na krzesło obok biurka.

— Nic takiego.

- Na pewno? Wyglądasz, jakbyś pracował nad jakimś precyzyjnym planem. Zdradza cię ta bruzda na czole. - Spojrzał znacząco w jego kierunku.

Mel zmusił się do uśmiechu. Lubił tego faceta. Był naturalny, bezpośredni i czarujący, a przy tym obdarzony niezwykłą intuicją, jaką zazwyczaj posiadają wyłącznie kobiety. Nie chciał jednak, by Sonny grzebał się w jego przeszłości.

- Porzucone dziecko - skwitował krótko. - A ty nad czym pracujesz? - Mel oparł się o krzesło i próbował się rozluźnić.

- Na pewno spodobałoby ci się. Zakatowana na śmierć kobieta, znaleziona na peryferiach miasta. Su-perelegancka garsonka, wysokie obcasy... To dziwny przypadek. Nie bardzo wiemy, jak się do tego zabrać. Daliśmy anons w prasie, i zgadnij, kto się pojawił?

- Nie mam pojęcia.

- Prawa ręka burmistrza, cholerny Wayman Bishop. Próbował wściubić ten swój parszywy nos dosłownie wszędzie.

- Żartujesz? - Mel był autentycznie zaintrygowany tą informacją.

Zapomniał już o swoim bólu z dzieciństwa. Wayman Bishop! Przecież to główny doradca burmistrza Waszyngtonu. Nigdy nie interesował się sprawami kryminalnymi. Ba, był nimi mniej przejęty niż wywózką śmieci. W ogóle go nie obchodziło, kto zginął i kiedy. Chyba, że była to sprawa polityczna.

- Węszył jak pies i wypytywał o każdy najmniejszy szczegół tej, jak ją nazwał, ohydnej zbrodni.

- Nie chcę być cyniczny, ale wygląda na to, że burmistrz Torrell szykuje jakąś kampanię przeciwko

przemocy. No wiesz, zbliżają się wybory... Musi złapać, gdzie się da, jeszcze kilka punktów.

Nadarzyła mu się rzeczywiście niezła okazja i pewnie postanowił ją wykorzystać. Spryciarz. Łatwo potępiać przemoc i wygłaszać na ten temat burzliwe mowy, ale dużo trudniej jest jej zapobiegać.

- Myślałem dokładnie o tym samym - podsumował Sonny i spojrzał na swój kubek stojący na biurku. Wziął go ręką, obejrzał, po czym wrzucił do kosza na śmieci. - Moja żona powiedziała, że powinienem kupować wyłącznie kubki jednorazowego użytku, bo nigdy ich nie myję. Chyba coś w tym jest.

- A właśnie, jak się ma Lovann? - Mel szczerze lubił żonę swego współpracownika.

- W porządku. Pracuje jak szalona. Wierzę, że kiedyś się przebije.

- Świetnie rysuje. Na pewno jej się uda - odparł Mel, ale jego myśli krążyły wokół zbrodni, o której opowiedział mu Sonny. Zastanawiał się, jaki związek może mieć burmistrz z tym wydarzeniem i dlaczego zaangażował w to Waymana. - Masz jeszcze jakieś konkrety w sprawie tego morderstwa? Czego właściwie chciał Wayman? Zrobić burmistrzowi zdjęcie z denatką, czy co?

- Muszę przyznać, że masz trochę makabryczne poczucie humoru. Nic takiego. Powęszył, rzucił okiem na ofiarę, coś zanotował i się zmył.

- Jacyś podejrzeni?

- Póki co, jak zwykle: współmałżonek, narzeczony, kochanek, sąsiad, alfons, niezadowolony klient... czyli na razie nikt. Niestety.

- To teraz ja opowiem ci coś ciekawego. Podczas przyjęcia ktoś podrzucił Johnsonom dziecko.

- Słucham? Jaja sobie ze mnie robisz? - Spojrzał na Mela z niedowierzaniem.
 - Nie.
 - To dzieciak dobrze trafił. Kupa forsy i w ogóle. Ale pewnie nie zechcą podrzutka.
 - Zaskoczę cię, bo bardzo chcą, choć nie wiadomo, czy dostaną zgodę. W tej sprawie zastanawia mnie tylko jedno: skąd matka tego małego wiedziała, że Johnsonowie chcą dziecka? Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że zostali dokładnie sprawdzeni i wybrani na przyszłych rodziców. To nie był przypadek. Podrzucone niemowlę pochodziło z zamożnej rodziny.
 - Czy mi się wydaje, czy fakty zaczynają do siebie pasować? - spytał niespodziewanie Sonny.
 - Na to wygląda. Niech no ja dorwę tylko matkę tego noworodka... Nie chciałbym być na jej miejscu.
 - Odwrócił się i napotkał zdziwione spojrzenie przyjaciela. Zdał sobie sprawę, że jego ton był stanowczo zbyt ostry. Podniósł się z krzesła, wziął płaszcz i powiedział:
 - Przepraszam cię, muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Przyjrzyj się temu morderstwu. Powodzenia, stary.
 - Dzięki. - Sonny machnął ręką, po czym usiadł przed komputerem i wziął się do pracy.
- Mel czuł się w pewnym sensie przegrany. Wiedział, że sprawdzenie wszystkich prywatnych klinik w okolicy Waszyngtonu zajmie mu co najmniej kilka dni, poza tym wątpił, czy jego zwierzchnicy poprą go w tej sprawie. Powiedzą, że to przypadek jak tysiące innych. Mógł więc liczyć wyłącznie na siebie. Wsiadł do samochodu i nie wiedząc dlaczego, postanowił od-

wiedzić siedzibę jednej z największych ogólnokrajowych gazet, czyli „Washington Post”.

Zaparkował.

Lily Markey właśnie zbierała się do wyjścia, gdy usłyszała za plecami głos szefa:

- To kiedy możemy się spodziewać tej ekscytującej historii z wyższych sfer?
- Pracuję nad nią - odparła krótko, wkładając kalendarz do torebki. Nie lubiła rozmawiać o nie dokończonych artykułach.
- Jakież przeszkody?
- Czekam na wywiad. - Trochę nerwowo zerknęła w kierunku Billa i napotkała jego zdziwione spojrzenie.

Tak bardzo pragnęła powiedzieć mu całą prawdę, była ona jednak zbyt niebezpieczna. Nie mogła ryzykować. Susie i tak znajdowała się w opałach. Łatwo można się domyślić, co zrobiłby Wayman Bishop, gdyby ta historia ukazała się w prasie.

- Coś się dzieje? - zapytał Bill.

Wiedziała, że jej szef jest nie tylko diabelnie przystojny, ale również cholernie inteligentny. Trudno było coś przed nim ukryć.

- Może i tak, ale najpierw muszę skończyć historię. Znasz mnie.
- W porządku. Pytam, bo wyglądasz tak, jakbyś miała kłopoty - powiedział i przeszył ją wzrokiem.
- Wybacz, Bill, ale muszę spadać - powiedziała /. lekkim uśmiechem. - Zdobędę ten wywiad. I wierz mi, że będzie to coś w rodzaju czekoladowej polewy na ciasto - zablefowała.
- Dobrze. O nic już nie pytam. Nie musisz się spieszyć, ale proszę cię o jedno: bądź ostrożna, to

znaczy... uważaj na siebie. Czuję, że coś kombinujesz. Nie sparz się.

Nie skomentowała słów Billa, tylko szybko wyszła z biura. Po drodze wstąpiła do marketu, żeby zrobić zakupy dla Susie. Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona, że nie dostrzegła szarego samochodu, który cały czas jechał za nią na zgaszonych światłach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lily skręciła w ulicę Cedrową. Znajdowała się ona w najpodlejszej dzielnicy Waszyngtonu. Szaro, brudno i ponuro - oto kwintesencja tego, co ją w tej chwili otaczało. Natrafienie na jakieś choćby połamane drzewo czy najmniejszy trawnik, graniczyło z cudem. Ulica Cedrowa była betonową pustynią. Wyglądała tak, jakby przeszedł przez nią huragan. Wszędzie wałały się połamane płytki chodnikowe, śmiecie i poodrywane, barierki łańcuchy, a w każdym zakamarku piętrzyły się puszkami po piwie i potłuczone butelki. Gdyby nie migoczące w brudnych oknach ekrany telewizorów, można by pomyśleć, że to miejsce zostało opuszczone przez Boga i ludzi.

Machinalnie spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła w nim samochód powoli sunący jej śladem. Zdała Noble sprawę, że przed sklepem też go widziała. Zesztywniała i z przerażenia tak mocno zacisnęła ręce na kierownicy, że zbieleły jej palce. Wiedziała zbyt dobrze, że nie wolno popadać w panikę. Zablokowała drzwi i zatrzymała się na chwilę przy krawężniku.

Pojazd za nią również zwolnił, lecz już po chwili dodał gazu i zaparkował tuż przed nią. Spojrzała na kierowcę i ogarnęła ją wściekłość. Dlaczego Haskin ją śledził? Nie mogła sobie wybaczyć, że nie upewniła się, czy nikt za nią nie jedzie. Gdy poszedł do niej, odkręciła okno.

- Mam nadzieję, że masz jakiś poważny powód, dla którego nie spuszczasz mnie z oka. Albo przynajmniej pozwolenie na przeszukanie...

Nie spieszył się z odpowiedzią, tylko obrzucił spojrzeniem wewnątrz samochodu. Jakże była zadowolona, że zakupy włożyła do bagażnika.

- To bardzo niebezpieczna okolica, Lily. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Musisz mieć jakiś szalenie ważny powód, skoro tu przyjechałaś.

Zaskoczył ją. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

- Osobisty. A co ty tutaj robisz? Może powinnam zwracać się do ciebie „panie detektywie Haskin”? - zapytała ostro.

- Śledzę cię.

Na chwilę ją zamurowało. Czyżby wiedział już wszystko? Jakże miał zamiary?

- Słucham? - powiedziała w końcu. - A co, może jechałam za szybko? - Postanowiła zgrywać idiotkę.

- Spróbuj jeszcze raz...

- Już wiem, nie zapłaciłam za bilet wstępu na bal policjantów! - wykrzyknęła z udawaną lekkością.

- Pudło. To co, jeszcze raz? - Mel bawił się sytuacją.

- A może sam wyjawisz mi tę tajemnicę? - mówiła coraz głośniej.

- Po prostu zachowujesz się podejrzanie - powiedział spokojnie.

- I to wystarczy? Chyba mam prawo poruszać się Wm, gdzie chcę? Nie życzę sobie, żebyś deptał mi po piętach.

- Dziennikarze zawsze sądzą, że im wszystko wolno. - Cały czas zachowywał się bardzo spokojnie, choć chwilami musiał toczyć ze sobą niezłą walkę.

- Dobra. Dostyc tego. Daję ci ostatnią szansę. Albo mnie zostawisz w spokoju, albo powiadomię twojego szefa. Powiem, że mnie śledziłeś i napastowałeś.

- Nie ma sprawy, zrób to. A przy okazji wyjaśnisz, Co robiłaś o tak późnej porze w tej części miasta. Czyżbyś przyjechała tu w odwiedziny? - dodał złośliwie. - A może ma coś z tym wspólnego sprawa Johnsonów?

Serce Lily przyspieszyło swój rytm. Musiała uspić czujność tego człowieka.

- Pracuję nad pewną historią - powiedziała jakby nigdy nic.

- Nad historią o podrzuconym dziecku? A co do tego dziennikarce z działu politycznego? Rozumiem, że to śliczna bajka z happy endem, ale nigdy cię takie rzeczy nie zajmowały. Skąd ta nagła przemiana? Zapędził ją w kozi róg. Była przerażona, z jaką łatwością mu to przyszło. Trochę pochlebiały jej słowa Mela, ale z drugiej strony nie była tak twarda i pozbawiona skrupułów, za jaką ją uważano.

- Przyznaję, że chętnie czytuję twoją rubrykę - ciągnął dalej. - Z tego co piszesz wynika niezbicie, że zdecydowanie wolisz występować w roli egzekutora niż dobrej wróżki. Czyżbyś do tej pory tak skrzętnie skrywała swoją romantyczną naturę?

Jego słowa zabolowały ją. Zacisnęła ręce na kierownicy.

Wiedziała, że to prowokacja, ale nie potrafiła się pohamować.

- To wierutna bzdura i kłamstwo! - syknęła. - Nie jestem żadnym egzekutorem! Opisuję po prostu podłych ludzi, ich okrucieństwo i parszywe uczynki. A ty tych samych ludzi wsadzasz do pudła.

Robimy podobną robotę, Mel. O co więc chodzi? - Otworzyła szeroko drzwi, zmuszając go, by się odsunął, i wysiadła z samochodu. Była wściekła. Nie posądzała go o takie stereotypowe myślenie.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka przewrażliwiona...

- Czego chcesz? Ciężko pracuję na mój sukces. Staram się wydobyć spod ziemi najlepsze historie. Nikogo nie oceniam bezpodstawnie i nie wymyślam faktów. Są dostatecznie plugawe. Gdy siadam do pisania, zawsze mam niezbite dowody. Chodzi ci może o to, że na bandziorach nie zostawiam suchej nitki... adwokat się znalazł...

- Już dobra, ale co ma z tym wspólnego dziecko?

- Tu nie chodzi o dziecko, ty... - Ugryzła się w język.

- Więc o co chodzi? W jaki sposób jesteś powiązana z tą sprawą? Bo że jesteś, to pewne.

Ciężko odetchnęła. Wiedziała, że musi teraz uważać na każde słowo. Ten człowiek był niebezpieczny.

- Moim zadaniem jest napisać o tym historię, a nie mogę tego zrobić, nie mając w ręku większej ilości faktów. Nie ukrywam, że czas mnie nagli, a ty mi przeszkadzasz. Dlaczego więc nie zajmiesz się swoimi sprawami i nie zostawisz mnie w spokoju?

- Myślę, że wiesz więcej, niż można by sądzić. Nie bardzo mi się chce wierzyć, że tak nagle zmieniłaś

front. Zbyt dużo wyrzeczeń i harówy kosztowało cię zdobycie pozycji w dziale politycznym... i szczerze mówiąc, nie sądzę, abyś chciała wracać do łzawych historyjek. Musisz mieć jakiś powód, skoro to robisz. No cóż, był niezły.

- To wciąż jeszcze nie tłumaczy, dlaczego snujesz Się za mną po nocy - obstawała przy swoim.

- Ja też zajmuję się tą sprawą, z urzędu. Sama więc rozumiesz, że jestem ciekaw, co planujesz?

- Przestań mnie napastować, bo zrobię z tego aferę. Sam dbaj o swoje interesy. To nie moja rzecz, ułatwiać Ci życie! - Cholera, jeszcze chwila i przycisnie ją do muru. Co za trudny facet!

- Aferę możesz zrobić, ale wiesz dobrze, że ani mój, ani twój szef nie potraktują tego poważnie. Więc już daj spokój z tym straszaniem.

- Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza w pracy.

- Powiedz w takim razie, co wiesz na temat tego tajemniczego dziecka, i natychmiast zniknę.

Lily była coraz bardziej sfrustrowana. Straciła już co najmniej dwadzieścia minut, a Susie czekała na nią i na pewno bardzo się martwiła.

- Drogi panie poruczniku! Mam przed sobą bardzo pracowitą noc, więc zechce pan przełożyć nasze miłe spotkanie na inny termin - spróbowała przejść na zabawną nutę.

Lecz Mel nie kupił żartu, tylko zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Co ty tu robisz? - Wskazał ruchem głowy na tę straszną ulicę, która nie była już tak kompletnie opustoszała, jak przed chwilą.

Za załomem najbliższego budynku majaczyły cztery

cienie. Czterej mężczyźni stali tam i czekali, jak wilki gotowe do ataku. Przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz. Okolica była wyjątkowo niebezpieczna. Zdecydowała, że zabierze stąd Susie, choć wiedziała, że jest to jedyne miejsce w Waszyngtonie, do którego nie sięgają długie ręce Waymana: sparszywiła enklawa wielkiego miasta, kontrolowana przez wyrosłe z nędzy gangi przestępcze, gdzie ani prawo, ani miłosierdzie nie miały czego szukać.

- Mówiłam ci przecież, że pracuję nad tą historią - powtórzyła Lily.

- Ryzykujesz swoje życie. Mam nadzieję, że twoja historia jest tego warta.

- Dzięki za wsparcie. Będę bardzo uważała. Powinieneś jednak wiedzieć, że ci faceci nie są wcale bardziej niebezpieczni niż sala konferencyjna wypełniona politykami.

Ku jej zaskoczeniu Mel roześmiał się głośno. Jego gromki śmiech wypłoszył również mężczyzn czających się za murem. Znikli, jak za dotykaniem czarodziejskiej różdżki.

- Strzał w dziesiątkę, Lily. Jest jednak pewna drobna różnica: politycy mogą zrujnować twoją karierę, a ci faceci nie będą mieli skrupułów, żeby cię zabić, jeśli przyjdzie im na to ochota.

Popatrzyła mu w oczy. Była to krótka chwila, a zdawało jej się, że trwała wieczność. Odpłynęła w nieznany sobie świat, o wszystkim na moment zapominając.

- A gdyby tak miało się stać, byłaby to niepowetowana strata... - dobiegły jej uszu słowa Mela.

Nie spodziewała się takiego komplementu. Odetchnęła głęboko, by wrócić do równowagi. O rety, muszę szybko się pozbierać, pomyślała, zaskoczona iwoją reakcją.

- Dobra, to ja już polecę. Mam jeszcze coś do załatwienia. - Zdała sobie sprawę, że Mel był szalenie

przystojnym facetem. Trzymał się jednak zwykle na dystans i przez to wydawał się nieosiągalny. Aż do dzisiejszego wieczora.

- Idź do domu - powiedział miękko, ale z jakąś dziwną determinacją. - Twoja historia może poczekać do jutra.

- Oczywiście... - Wsiadła do samochodu. W środku było wilgotno i lodowato. Nieprzyjemny, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Uchyliła okno. - Proszę cię, przestań mnie śledzić. Nawet nie wiesz, ile najadłam się przez ciebie strachu.

- Wracam do biura. Mam nadzieję, że sama masz na tyle rozumu, że zrezygnujesz z włączania się po nocy po tej dzikiej dzielnicy.

- Dziękuję za pańskie rady, detektywie. - Odpaliła silnik i ruszyła z miejsca.

Skreśliła w prawo, w stronę głównej ulicy tej części miasta. Cały czas jechała prosto, oddalając się tym samym od tego niebezpiecznego miejsca. Przez dobrych kilka minut w swoim wstecznym lusterku widziała światła samochodu Mela. Kiedy znikł z pola widzenia, zwolniła i zatrzymała się na pobliskim parkingu. Oczekała jakiś czas, by sprawdzić, czy Mel przypadkiem nie wyrośnie gdzieś spod ziemi. Potem ruszyła z powrotem w kierunku ulicy Cedrowej, do Susie. Cały czas patrzyła we wsteczne lusterko. Nie mogła pozwolić, by ten człowiek wytropił kryjówkę przyjaciółki.

I tak już coś przeczuwał. Musiała czym prędzej wywieźć stamtąd Susie Bishop. Mel skierował się z stronę domu. Postanowił dać sobie spokój z deptaniem Lily po piętach. Była na to zbyt bystra. Nie mógł jednak przestać się zastanawiać nad tym, co miała wspólnego z tą całą sprawą. Dlaczego tak bardzo się nią interesowała? Od początku miał przeczucie, że była w nią zamieszana. Ale w jaki sposób? Nigdy nie bawiła się w sentymenty. Raczej wręcz przeciwnie - była znanym twardzielem w spódnicy. Zaparkował przed wejściem. Dom kupił kilka lat temu, ot, dobra inwestycja i tyle. Był dla niego zbyt wielki, zawsze pusty i zimny. Nie lubił do niego wracać. To jeden z powodów, dla których tak dużo pracował. Przez moment przyszło mu na myśl, że nie byłoby źle coś zjeść, ale właściwie nie wiedział, na co ma ochotę. Kolacja czy śniadanie? Nie mogąc się zdecydować, zajrzał do sypialni. Wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zaczął się rozbierać i wkrótce doszedł do wniosku, że pragnie tylko o jednego: by jak najprędzej zasnąć. Nadal jednak nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Było to podwójne zabójstwo. Członek gabinetu prezydenta zabił swoją żonę, a potem odebrał sobie życie. Ponura historia. Kupa krwi... Ale Lily była twarda, nawet twardsza od niektórych chłopaków. Przez te wszystkie lata ich drogi krzyżowały się kilkakrotnie. Dotarło do niego, że szczegółowo pamięta każde z tych spotkań. Kasztanowe włosy i zielone, kocie oczy za nic nie dawały się zapomnieć. Uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś chłopcy przywitali ją w komisariacie.

Pogwizdywaniom nie było końca. Dobrze pamiętał, jak ją to wkurzyło. Co za temperament... To wspomnienie rozbawiło go jeszcze bardziej. Ale co miała wspólnego z historią podrzuconego dziecka? Czuł, że skrzętnie coś przed nim ukrywała, a miał dobrego nosa. Na pewno w jakiś sposób łączyło się to z jej pracą. Czyżby Dawid był dzieckiem jednego ze znanych polityków? - pomyślał nagle. Wyciągnął się na łóżku i próbował zasnąć. Jednak wiedział, że nie będzie to proste, gdyż kołaczące się w jego głowie myśli nie dawały mu spokoju. Kolejna noc z pytaniami bez odpowiedzi. Lily Markey... Poczul nagłe, wszechogarniające pożądanie.

- Wierz mi, Susie, wszystko jest w porządku - pocieszała Lily swoją przyjaciółkę. Poszła do kuchni i rozpakowała zakupy. Otworzyła rosół w puszcze, podgrzała go, po czym wróciła do pokoju. - Chcę, żebyś to zjadła.

- Martwiłam się o ciebie. Nie było cię tak długo i myślałam...

- Musiałam pojechać do biura i nadziałam się na szefa. Nie chciał mnie wypuścić - wpadła jej w słowo Lily.

Postanowiła nie wspominać o spotkaniu z Melem Haskinem, bo Susie i tak była wystarczająco przerażona. Niełatwo było zdobyć jej zaufanie. Dobrze pamiętała, ile trudu musiała sobie zadać, by jej uwierzyła. Długie tygodnie wielogodzinnych rozmów.

- A co z Dawidem?

Lily zawahała się. Susie musiała wbrew sobie oddać swoje dziecko, żeby ratować je przed brutalnym ojcem. Co powinna powiedzieć, by pomóc jej zaakceptować tę niewyobrażalnie trudną sytuację?

- Ma się naprawdę dobrze - powiedziała w końcu. Nie znalazła w sobie na tyle siły, by udawać obojętną. Mogłaby powiedzieć, że nie miała czasu zainteresować się dalszym rozwojem sytuacji i że teraz mają ważniejsze rzeczy na głowie. Było przecież w niezaprzeczalnie dobrych rękach. - A teraz jedz. Potem pomogę ci wstać i trochę się przejdziemy. Musisz stąd jak najszybciej zniknąć.

- Ale dokąd mam iść? - Oczy Susie stały się okrągłe z przerażenia.

- Gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna. Tutaj jest naprawdę strasznie, wszędzie kręcą się jakieś szumowiny. Dziś też natrafiłam na kilka podejrzanych typów. Przestraszyli mnie. Nie chcę, żebyś była tu sama, a Pati też nie powinna tu przychodzić.

Susie spojrzała na talerz z zupą.

- Wielu ludzi ryzykuje, żeby mi pomóc. Dlaczego? Lily wiedziała, że nie ma racjonalnej odpowiedzi na

to pytanie. Nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego ryzykowała swoją karierę, a może nawet życie.

- Bo to jedyne słuszne, co należy w takiej sytuacji zrobić. Jest jeszcze trochę porządných ludzi na tym świecie. Ludzi przez duże „L”.

- A ja w to już nie wierzyłam. Sądziłam, że Waymanowi wszystkim udało się przestraszyć lub przekupić, a w razie oporu zlikwidować.

Lily wiedziała, że jest to zdanie, które wyraża całą tragedię sytuacji, w której już od dłuższego czasu znajdowała się Susie. Większość społeczeństwa nie miała najmniejszego pojęcia, jak straszne jest życie pod rządami przemocy i jak bezradne są kobiety opanowane przez swoich mężów - tyranów.

Wiedziała też, że te

właśnie słowa wykorzysta w przyszłych wywiadach i artykułach. Obawiała się, że Susie nigdy nie uwierzy, by kiedykolwiek jeszcze mogła być bezpieczna. Sądziła, że piętno wyciśnięte przez niewypowiedzianą brutalność męża na zawsze zdeterminuje jej dalsze życie.

- Nie przejmuj się Waymanem. Za kilka godzin będziesz daleko stąd.

- A Dawid? Czy jest bezpieczny?! - Susie prawie krzyczała.

- Oczywiście. A teraz coś zjedz. Inaczej nic więcej Ci nie powiem. - Lily usiadła przy niej, na brzegu łóżka.

Susie wzięła posłusznie do ręki łyżkę.

- Będę jadła, a ty mów.

- Johnsonowie rozmawiali już z sędzią Pattersonem. W poniedziałek będą przesłuchiwani w sądzie.

Jestem więcej niż pewna, że dostaną tymczasową opiekę nad Dawidem, a wtedy sprawa będzie praktycznie przesądzona. Tak więc twój syn będzie rósł w cudownym, ciepłym domu. Za kilka tygodni sprawa przycichnie i nikt już nie będzie pytał, jak się tam znalazł. - Właściwie nie była to prawda, a raczej pobożne życzenie. Ale przecież tego potrzebowała Susie. Tylko to mogło dać jej siłę.

- Jest taki śliczny... - Wytarła łzy toczące się po policzkach. - Masz rację, Lily, tam wyrośnie na mądrego i dobrego chłopca. Będzie miał to wszystko, czego ja nie mogłabym mu ofiarować. - Usiadła na łóżku i spuściła nogi na ziemię. - Jestem już gotowa, możemy zrobić próbę. Ach, miałam cię zapytać, czy wiesz, co z moim paszportem?

Lily była pod wrażeniem. Co za kobieta, pomyślała.

- Na jutro będzie gotowy. Masz zarezerwowany

bilet na nowe nazwisko. Tylko że do jutra musimy cię gdzieś przechować. - Nagle przyszło jej coś do głowy. - Pojedźmy do mnie.

- Nie, to nie jest najlepsze rozwiązanie. Siedzisz w tej historii po szyję. Nie chcę, żeby Wayman zrobił ci jakąś krzywdę. - Spróbowała wstać, po jej twarzy przebiegł grymas bólu. Zachwiała się, lecz szybko złapała równowagę.

Nie jest najgorzej, pomyślała Lily.

- Posłuchaj, do twojego odlotu mamy mniej niż dwadzieścia cztery godziny. W moim mieszkaniu jest na pewno dużo bezpieczniej niż tutaj. Najważniejsze, że znikniesz z ulicy Cedrowej. - Odwróciła się i włączyła telewizor. - Przegapiłam wieczorne wiadomości.

Lokalna stacja pokazywała wydarzenia dnia i Lily natychmiast pożałowała tego, co zrobiła. Na ekranie pojawiła się twarz Waymana Bishopa, a potem kamera przeniosła się na ciało przykryte czarnym plastikowym workiem.

- O Boże! - wykrzyknęła z przerażeniem Susie i zaczęła się osuwać na podłogę.

Lily złapała ją w ostatniej chwili i ułożyła na łóżku. Obie wpatrywały się w telewizor.

- Za chwilę doradca burmistrza Ala Torrella wygłosi do państwa przemówienie - powiedział dziennikarz.

- Burmistrz Torrell stanowczo sprzeciwia się przemocy w stosunku do kobiet i zamierza z całą determinacją tępić jej wszelkie przejawy. - Odwrócił się i wskazał na zwłoki. - Ta kobieta jest ofiarą, lecz zostanie pomszczona!

Lily szybko wyłączyła telewizor, ale wiedziała, że

I tak jest już za późno. Nie liczyła się z tym, że trafi na COŚ podobnego.

- Co on kombinuje? - Błada jak śmierć Susie siedziała na łóżku.

- Jutro o tej porze będziesz bezpiecznie lądować w Anglii. W tej chwili musisz myśleć tylko o tym.

Słyszysz? - Lily była bardzo zdenerwowana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zakwitają żonkile, a zatem bezsprzecznie idzie wiosna. Mrrau... Klotylda opowiedziała mi, że Rose od rana surfuje po Internecie, żeby zamówić odpowiednie ubranko dla Dawida, które mogłaby mu włożyć w poniedziałek na przesłuchanie do sądu. Dzieciaczek pojawił się wprawdzie zadbany i przyzwoicie odziany, ale bez wyprawki. No a dziś, w niedzielę, sklepy są zamknięte. Co to będzie, jeśli Preston i Rose nie będą mogli zatrzymać tego maleństwa? Sytuacja jest trudna, chyba wtedy się załamają. Lecz wracając do Internetu, to naprawdę świetna rzecz. Bez trudu można odnaleźć wszystkich producentów koszy wiklinowych dla dzieci. Zrobiłem małe, prywatne dochodzenie i okazało się, że jest jeden niewielki sklepik, który specjalizuje się właśnie w takich koszykach. Umówiliśmy się z Klotyldą, że pójdziemy tam dzisiaj, aby trochę powęszyc. Sklep jest wprawdzie zamknięty, ale to w niczym nam nie przeszkodzi. Potrzebuję tylko przejrzeć rejestry. Ciekawe, jak Klotylda zniesie jazdę środkami masowego transportu? Będziemy musieli uważać, by nie na

trafić na ludzi o miękkich sercach, którzy, gdy tylko Widzą samotnie spacerujące zwierzę, natychmiast chcieliby je zabrać do siebie. Ale także i na tych zimnych i okrutnych, którzy opuszczonym zwierzętom nie szczędzą kopniaków. Ja, jako prywatny detektyw, miałem już z podobnymi rzeczami nieraz do czynienia, ule Klotylda nie ma o nich najmniejszego pojęcia. Być może powinienem ją uprzedzić. Lecz jak jej to wytłumaczyć? Czy się nie przerazi? Ale przecież bardzo jej zależy, żebym odnalazł matkę Dawida, a raczej upewnił się, że nie zamierza wziąć tego małego z powrotem. Swoją drogą, co to za matka, która porzuca swoje dziecko? Czegoś takiego Klotylda z pewnością nie rozumie. Jej rodzice mieli cudownych, starszych opiekunów, a dzień, w którym się urodziła wraz ze swoimi braćmi i siostrami, był najszcześniejszym dniem w życiu tych ludzi. Każde z kociąt było chciane. A zanim je komuś oddali, trzy razy upewniali się, że trafią nie tylko w dobre, ale w wyjątkowo dobre ręce. Niestety życie nie zawsze jednak chce być takie słodkie. Nawet po wielu latach mieszkania u Petera i Eleonory, niechętnie myślę o mojej młodości. Nigdy nie znałem swojego ojca, a co do mojej matki... Od dnia, w którym przyszła na świat, jej państwo nienawidzili jej. Nie chcieli, by Ich kotka miała młode, ale nie zadali sobie trudu, żeby zadbać o zapobieganie niepożądaney ciąży. Tak więc gdy piękna Tash nieco podrosła, wywieźli ją za miasto I tam porzucili. To imię wybrała sobie zresztą sama, gdy była już dorosła, bowiem ci ludzie nie zadali sobie nawet trudu, by jakoś ją nazwać. Była drobna, jedwabista i przeurocza, ale przy tym bardzo delikatna. Twarde życie na ulicy dało jej nieźle popalić. Wkrótce

urodziła mnie. Miałem jeszcze dwie siostry, ale nie przeżyły. Były ode mnie znacznie słabsze, a ciągle brakowało nam jedzenia. Nie wiem, jak przez pierwsze tygodnie mamie udało się mnie wykarmić. Którejś nocy nie wróciła do domu. Znalazłem ją następnego dnia na ulicy. Nie żyła, potrącona przez samochód. Ludzie nie zatroszczyli się nawet o to, by ją pochować. Od tej pory musiałem radzić sobie sam. Byłem na tyle duży, że umiałem już znaleźć coś do jedzenia, kopiąc w górach śmieci. Postanowiłem jednak przenieść się do lepszej części miasta. Tam bacznie się rozglądałem, obserwując zamożnych ludzi i ich życie. Jakość śmieci była o wiele lepsza, ale trudniej było się do nich dostać. Na początku myślałem, że ci bogatsi są lepsi i ktoś z nich mnie zechce. Jak bardzo się pomyliłem, wiem tylko ja. Rzucali we mnie kamieniami, kiedy próbowałem dostać się do śmietnika. Sami byli syci i nawet nie przyszło im do głowy, że nie mam co jeść. Żeby już nie przedłużać tej historii, powiem tylko, że wreszcie złapano mnie i umieszczono w laboratorium, w którym robiono doświadczenia na zwierzętach. Wcześniej myślałem, że życie na ulicy było piekłem, ale jakże się myliłem. Na szczęścia nie zdążyli mnie skrzywdzić. Widząc, co się święci, uciekłem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jakiś czas włóczyłem się jeszcze po świecie, aż w końcu spotkałem Eleonorę. Ale dość tych wspomnień. Odnalazłem swoje miejsce na ziemi, jestem kochany, jak chyba żaden inny kot na świecie. No i mam moją Klotyldę, bez której dziś nie wyobrażam sobie życia. Mam więc nadzieję, że potrafię uchronić ją przed strasznym światem, pełnym niechcianych psów i kotów. Dobra, ja tu sobie gadu, gadu, a czas leci. Pora

wyruszyć w drogę, a zatem idę po Klotyldę. Dzięki temu, że w domu Johnsonów pojawiło się dziecko, moja luba będzie miała więcej wolności. Zapewne jej część zechce mi ofiarować.

Mel zaparkował przed butikiem i czekał w samochodzie na właścicielkę, Annie Unluck. Powinna zaraz otworzyć sklep. Zbyt wiele nie zdradził jej przez telefon. Powiedział tylko, że chciałby się z nią zobaczyć oraz że chodzi o kosz, który prawdopodobnie niedawno został u niej kupiony. O porzuconym dziecku nie wspomniał ani słowem. Odwrócił się, gdyż usłyszał głośny stukot obcasów po trotuarze. Annie Unluck była drobną kobietą, lecz szła szybkim i zdecydowanym krokiem, (idy wyjęła z torebki klucze i zaczęła otwierać drzwi, podszedł do niej, przedstawił się i oboje weszli do sklepu. Kątem oka dostrzegł dwa koty wślizgujące się za nimi. Może to jej, pomyślał. Zdziwiło go jednak, że pozwalala im buszować po tak ruchliwych ulicach. W każdej chwili mogły wpaść pod pędzący samochód. Już miał zagadnąć ją na ten temat, gdy zapytała:

- Jaki to był kosz? Czy mógłby mi pan pokazać jakiś podobny? Może wówczas przypomnę sobie, o kogo chodzi. Te kosze robione są ręcznie i zazwyczaj na zamówienie, dlatego na ogół pamiętam, kto je kupił.

Mel rozejrzał się niepewnie po półkach. Do głowy by mu nie przyszło, że może być tego aż tyle.

Mnóstwo modeli o różnych kształtach, kolorach i rozmiarach. A wszystkie prześliczne.

- To był raczej spory koszyk, taki z rączką... - powiedział trochę bezradnie.

- A, nosidełko. Nie ma pan dzieci, prawda?

- Nie, nie mam. Podeszła do jednej z półek.

- Coś takiego?

- Tak. Jest dokładnie taki sam.

- W tym roku sprzedałam tylko sześć takich koszy, więc z ustaleniem nabywców nie będzie problemu.

Mel przyjrzał się jeszcze raz koszykowi. Kiedy dostrzegł cenę, aż go zatkało. Prawie czterysta dolarów. Czterysta dolców za kosz!

Właścicielka zaczęła przeglądać rachunki.

- Musi pan wiedzieć, że czasem takie kosze kupowane są na prezent, więc osoba, która za niego płaci, niekoniecznie musi go posiadać. O, mam... Ostatni został kupiony dwa tygodnie temu. Płacono gotówką. - Ze zdziwienia uniosła brew.

Mel zajrzał jej przez ramię.

- Zapisała może pani, kto to był?

- Zawsze spisuję nazwisko i adres. Na wszelki wypadek, gdyby były jakieś reklamacje. Sam pan rozumie... Ale tym razem tego nie zrobiłam. Jednak dobrze pamiętam tę kobietę. Racja, przecież stanowczo nie życzyła sobie, bym zapisywała jej dane.

Nic dziwnego, skoro planowała porzucić swoje dziecko, pomyślał Mel, ale nie powiedział ani słowa.

- To była bardzo intrygująca kobieta - kontynuowała właścicielka sklepiku. - Rudowłosa, z olbrzymimi zielonymi oczami. Mówiła, że to dla kogoś na prezent.

W tym momencie Mel zauważył czarnego kota, siedzącego za koszem pełnym pawich piór. Zwierzak przysłuchiwał się tej rozmowie i Mel miał wrażenie, że rzeczywiście rozumie każde wypowiedane słowo.

- Czyli ta kobieta nie była w ciąży? - zapytał, żeby się upewnić. Obraz wysokiej rudowłosej i zielonookiej kobiety już niemal na stałe zagnieździł się w jego umyśle. Wciąż przewijała się przez tę historię. - Czy była to Lily Markey?

- Lily Markey... Lily Markey... No właśnie, tak mi się zdawało, że gdzieś już ją widziałam, ale gdy zapytałam o to, zrobiła się trochę nieprzyjemna i zaraz zmieniła temat.

- Bardzo pani dziękuję, pani Unluck. To chyba wszystko. Niezwykle mi pani pomogła. Do widzenia - wyrzucił z siebie jednym tchem i pospiesznie wyszedł ze sklepu.

Nie tylko Lily Markey ma rude włosy i zielone oczy, próbował sobie wyperswadować Mel. Na próżno. Był przekonany, że to była ona. Jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności bezustannie trafiał na jej ślad w tej historii. Chyba nadszedł czas, żeby przycisnąć ją trochę do muru.

- Dobra, Klodydo, teraz my ruszamy do akcji. Słyszałaś, co tu się święci? Temu detektywowi wreszcie chyba udało się połączyć fakty w pewną całość i coś mi się zdaje, że sprawa ruszy do przodu. Cieszę się, bo myślałem, że już nigdy niczego się nie domyśli. Oczywiście, że Lily Markey jest w to zamieszana. Jestem zdania, że to ona tamtego wieczoru podzuciła dziecko, ale Dawid nie jest jej synem. Chemia się nie zgadza. Tylko jeśli nie ona, to kto? Oto jest pytanie... Jej siostra, przyjaciółka, współpracowniczka? Spójrz, tam leży książka telefoniczna. Możemy znaleźć adres Lily... O tu, widzisz?

Mam! 1414 Juniol Street. Wiem, gdzie to jest. Nic się nie martw, że mną zaznasz czegoś więcej niż tylko nudnej jazdy na tylnym siedzeniu rolls-royce'a. O kurczę, pani Annie nas zauważyła. Uważaj, zaraz będzie chciała cię adoptować. Znam ten wyraz twarzy. Szybciej! Chodu!

Lily z satysfakcją przyglądała się paszportowi.

- Su Bristol - przeczytała na głos, - Tak brzmi twoje nowe nazwisko.

Dochodziła dziewiąta rano. Wyglądało na to, że rzeczywiście Susie Bishop wreszcie uwolni się od swoich kłopotów. Już wkrótce będzie siedziała w samolocie do Londynu. Odebrać ją miała przyjaciółka Lily, która obiecała, że zajmie się Susie i pomoże jej jakoś ułożyć sobie życie.

- Boję się - wyznała Susie. - Wayman ma na pewno swoich ludzi na lotnisku. Domyśla się, że będę próbowała uciec.

- Ale nie spodziewa się, że uciekniesz do Europy - uśmiechnęła się tajemniczo Lily.

- Może i tak... Dowiedz się jeszcze, czy z Dawidem wszystko w porządku.

Lily pokręciła głową.

- Nie, lepiej nie ryzykować - ucięła krótko. - Jestem pewna, że ma się dobrze. Teraz za wszelką cenę musisz wziąć się w garść. - Czy uda się jej kiedykolwiek zapomnieć o tych strasznych chwilach? O porzuconym dziecku? Z całą pewnością nie. Ze współczuciem patrzyła na łzy spływające po policzkach Susie.

- Nie sądziłam, że będzie to aż takie trudne - szlochała w rozpacz.

Lily położyła dłonie na jej ramionach.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Potrzebujesz tylko trochę spokoju.

- Dziękuję ci, Lily. Tak wiele dla mnie zrobiłaś. Nigdy tego nie zapomnę.

- Twój samolot odlatuje o czwartej. Schowaj to dobrze. - Wyciągnęła w kierunku Susie rękę, w której trzymała paszport i bilet. - Jestem pewna, że wszystko ołę uda. Głowa do góry.

Omam nie upuściła biletu i paszportu na podłogę, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewała. Prędko zaprowadziła przyjaciółkę do sypialni.

- Kto tam?

- Mel Haskin.

Zamknęła oczy, próbując naprędce wymyślić jakąś taktykę postępowania. Wsunęła bilet i paszport do szuflady.

- Mel? Chwileczkę. - Raz jeszcze przebiegła wzrokiem po pokoju. Nigdzie nie dostrzegła śladów zdradzających obecność Susie.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - rzuciła ostrzegawczo, otwierając drzwi.

Ich spojrzenia spotkały się. Nieoczekiwanie przez Jej ciało przebiegł niezwykle dreszcz.

- Niepokoi mnie kilka rzeczy - wyrecytował Mel, opierając się o futrynę.

- Jestem teraz zajęta. Być może w tygodniu uda nam się spotkać, by wyjaśnić twoje wątpliwości. -

Chciała zatrzaskać drzwi, ale powstrzymał ją ręką. - O co ci chodzi?

- To ty kupiłaś ten koszyk, w którym podrzucono dziecko. W butiku Annie Unluck.

Poczuła, jak ogarnia ją strach. Przecież zapłacała

gotówką i nie podała swoich danych. Jak to możliwe? Niepotrzebnie uległa namowom Susie. To ona koniecznie chciała kupić dla Dawida coś wyjątkowego, by jego nowi rodzice od razu domyślili się, że jest szczególnym dzieckiem. Było już jednak za późno na wyrzuty sumienia.

- Nie próbuj nawet zaprzeczyć. Właścicielka sklepu poznała cię.

- No i co z tego? - powiedziała hardo Lily. - Jakieś błędne wnioski?

- Chyba nie muszę ci mówić, że grasz w bardzo niebezpieczną grę?

O rany, pomyślała z przerażeniem, przecież Susie słyszy każde ich słowo. Cofnęła się o krok w głąb korytarza i potknęła się o czarnego kota, wślizgującego się do jej mieszkania.

- Rety! Co to? - wykrzyknęła, gdy przed jej oczami przemknął drugi, tym razem biały kot. -

Przyszedłeś tu z obstawą, czy co?

- O ile się nie mylę, to te same koty, które widziałem w domu Johnsonów i dziś w butiku - wyrwało mu się. - Pomogę ci je złapać.

Słyszac to, omal nie zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

- Żartowałam, są moje. Zostaw je w spokoju.

- Mógłbym przysiąc, że to te same koty...

- W takim razie śledzą cię... - Posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. - Ale poza tym wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- A co z tym koszem? Zaprzeczasz, że go kupiłaś?

- Oczywiście, że kupiłam, ale w prezencie dla znajomych. No i co z tego? Istnieje może jakieś prawo

zabraniające zakupu koszy dla niemowląt? Coś, o czym nie wiem? - Zbliżyła się o krok i poczuła zapach jego wody kolońskiej. - Chyba chce mnie pan w coś wrobić, detektywie - powiedziała ostro i spojrzała na niego wyzywająco.

- Z całą pewnością jesteś w to zamieszana. Tylko Jeszcze nie wiem jak. - Patrzył jej prosto w oczy.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Mel. Dlaczego koniecznie chcesz zrobić z tego sprawę? Masz ku temu Jakieś szczególne powody? Widziałam to maleństwo. Ma się dobrze. Szczęśliwie trafiło do ludzi, którzy natychmiast je pokochali. Wygląda na to, że się czepiasz. Dlaczego?

- To nie jest takie proste, droga Lily. Popełniono przestępstwo przeciw bezbronnemu dziecku.

Wyjaśnianie takich spraw i ochrona poszkodowanych to moja praca.

- Kogo chcesz ukarać? Matkę? - Przez twarz Mela przemknął prawie niedostrzegalny grymas bólu. Czyżby trafiła w jego czuły punkt?

- Tu nie chodzi o mnie. - Na moment przeszedł do ofensywy. - Ten, kto to zrobił, zapłaci za swój uczynek. Mogę ci przysiąc! - wykrzyknął, nie potrafiąc dłużej się powstrzymać.

Rozpierała go złość. Widząc, że wiele nie wskóra, odwrócił się i odszedł sztywno wyprostowany, z głową wysoko uniesioną do góry.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Uspokoił się dopiero w samochodzie. Usiadł za kierownicą i przez dobrych kilka chwil próbował zebrać myśli. Dlaczego ta kobieta tak bardzo zachodziła mu za skórę? Zwykle nie traktował prowadzonych przez siebie spraw osobiście, jednak Lily swoim sposobem bycia wyprowadzała go z równowagi. Bezsprzecznie podobała mu się. Te zielone, lśniące oczy... i rozwiane włosy. Ale co to miało do rzeczy? W Waszyngtonie było mnóstwo pięknych kobiet. Musiało być więc coś jeszcze... Zamyślił się. W sumie wiele ich łączyło. Lily bardzo angażowała się w pracę i nigdy nie traktowała ludzi przedmiotowo. Nie chodziło jej o słowa, lecz o prawdę. Nie pojmował, co taką kobietę mogło skłonić do zajęcia się historią o podrzuconym dziecku. Nie chciał, aby ta sprawa wymknęła mu się z rąk. Jeśliby złożyła na niego zażalenie, będzie się musiał nieźle tłumaczyć, tym bardziej, że nie był dziś na służbie. Każą mu napisać raport i przeniosą sprawę do odpowiedniego wydziału. Dobrze wiedział, że ta historia nie należy do kompetencji wydziału zabójstw. Odbiorą

mu śledztwo i już nigdy nie dowie się, co Lily miała, tym wszystkim wspólnego. Zdecydował, że pojedzie do biura i napisze raport.

Usadowił się przy komputerze. Nie, nie będzie bawił się w żadne domysły i niedomówienia. Trzeba to wreszcie wyjaśnić. Lily musi być przesłuchana. Zapisał raport na dyskietce i położył ją na biurku szefa. Stary przeczyta to w poniedziałek rano, pomyślał, i wydał jakieś oficjalne dyrektywy. Działania na własną rękę nie miały większego sensu.

Postanowił pójść na śniadanie. Nadal czuł się dziwnie. Wybrał „Emeralds Café”, jedno ze swoich ulubionych miejsc. Dochodziło południe. Po drodze kupił gazetę i siedział teraz z kubkiem gorącej kawy w poszukiwaniu artykułu Lily Markey, jednak ku swemu zdziwieniu nie znalazł nic. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś podobnego się zdarzyło. Zamknął gazetę i zaczął się zastanawiać. Wtedy dopiero dostrzegł na pierwszej stronie jej zdjęcie i zapowiedź serii reportaży o przemocy w małżeństwie. Żołądek ścisnął mu się jeszcze bardziej. Łapczywie czytał dalej: „Moje badania wskazują, że kobiety w Waszyngtonie są całkowicie ignorowane przez system ochrony społecznej. Są zastraszane i terroryzowane przez swoich mężów, ba, nawet maltretowane fizycznie. I nie ma znaczenia, z jakiej warstwy się wywodzą. To problem ponad społecznymi podziałami”. Czyżby Lily zmieniła swoje zainteresowania? Mel znał to na wylot: skatowane, poranione kobiety, odmawiające zeznań przeciwko swoim mężom, bowiem wprost umierały ze strachu, że mogłyby w ten sposób sprowokować swych oprawców do jeszcze większej agresji. Tu byłaby potrzebna

zmiana systemu prawnego. Można by do tego wykorzystać ostatnie zabójstwo i nagłe zainteresowanie burmistrza ochroną kobiet. Mel odłożył gazetę i dopił kawę. Na śniadanie stracił ochotę. Miał bardzo złe przeczucia. Musiał jakoś zdystansować się od tematu, spojrzeć na wszystko chłodnym okiem.

Najlepiej mu to wychodziło, kiedy biegał. Energicznie wstał i ruszył w stronę samochodu.

Lily zapakowała walizkę do bagażnika. Wróciła na górę. Susie była praktycznie gotowa. Przebranie zapewniało jej całkowitą anonimowość. Miała na sobie elegancki, granatowy garnitur, a na głowie blond perukę. Siniaki udało się zręcznie zatuszować make-upem. W niczym nie przypominała zastraszonej żony potężnego polityka.

- Nie wiem, czy sobie poradzę... - powiedziała Susie, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- Musisz - odparła Lily z przekonaniem. - Pamiętaj, że będę przy tobie cały czas, niemal do chwili, kiedy wejdiesz na pokład.

- Ale...

Lily przygarnęła ją do siebie.

- Nie może być żadnego „ale”. Jest już za późno, by się wycofać. Nie ma innego wyjścia.

- Wiem, rozmawialiśmy o tym tyle razy. Ale boję się. Czasami myślę, że to wszystko jakiś zły sen.

Kiedy byliśmy zaręczeni, Wayman traktował mnie jak królową. Każdego dnia przysyłał mi róże i obsypywał prezentami. Bywaliśmy w teatrach i na koncertach, chodziliśmy na przyjęcia... no i te cudowne weekendy... Dlaczego tak zupełnie się zmienił? Jak to się stało? Czy

to było tylko kłamstwo, które miało zwabić mnie W pułapkę?

- Susie, on już nie jest częścią twego życia - przypomniała jej Lily. - Zaczynasz wszystko od nowa, z nową tożsamością. Jeszcze będziesz szczęśliwa...

- Czasami wydaje mi się, że wymyśliłam sobie te wszystkie okropieństwa. Jakbym była szalona.

- Oglądałaś swoją kartę zdrowia? Bo ja ją widziałam. Dwa złamane nadgarstki, pęknięta szczęka, złamany nos i kilka pękniętych żeber. Czyżbyś sobie to wszystko wymyśliła?

Susie potrząsnęła głową.

- Dlaczego mi się to przytrafiło? Przecież nie pochodzę z domu, w którym zdarzałyby się przemoc.

Zanim spotkałam Waymana, świetnie sobie radziłam. Byłam zastępcą szefa agencji reklamowej, dobrze zarabiałam, miałam cudownych przyjaciół i piękne mieszkanie. Krok po kroku wszystko mi odebrał. Kiedy się pobraliśmy, nie zostało mi już wiele. Potajemnie spotykałam się jeszcze z przyjaciółmi, i właśnie za to pierwszy raz mnie uderzył. Przestałam więc odbierać telefony i po jakimś czasie zostałam kompletnie sama, zdana na tę bestię. Jak to możliwe?

- Nie wiem - powiedziała miękko Lily. - Każdej z nas mogło się to zdarzyć, ale na pewno nie było w tym twojej winy. Musisz w to wierzyć.

- Skoro wydarzyło się raz, może się powtórzyć - kontynuowała Susie z przerażeniem w oczach. - Przeprowadzę się na inny kontynent i zacznę nowe życie po to tylko, żeby przekonać się, iż z jakiejś niewytłumaczalnej, tkwiącej w mojej psychice przyczyny takie traktowanie jest mi potrzebne...

Lily nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, tylko mocno przytuliła Susie. Po chwili udało jej się pozbierać.

- Tak nie będzie. Sama zobaczysz, jestem o tym absolutnie przekonana. Moi przyjaciele ci pomogą. A teraz musimy już iść. Chcę być wcześniej na lotnisku, żeby dokładnie zbadać teren.

- Wiem, ile ryzykujesz. Nie rozumiem, jak zdobyłaś się na taką odwagę?

- Nonsens, chodźmy już.

Na chwilę zatrzymała się w salonie. Na sofie leżały dwa urodziwe koty. Jakby nigdy nic, spały przytulone do siebie. Poznała je. Z całą pewnością widziała je już u Johnsonów. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, jakim cudem się tutaj znalazły. Może przyjechały z Melem... Kiedy wróci do domu, powiadomi Prestona i Rose. Będzie to dobra okazja, by zapytać o dziecko. Lecz gdy tylko otworzyła drzwi, nim zdążyła się zorientować, oba koty czmychnęły w dół korytarza.

- Widziałaś je? - zwróciła się do Susie.

- Nie są twoje?

Lily potrząsnęła głową.

- Nawet nie wiem, do kogo należą. Trzeba jednak przyznać, że sprytu im nie brakuje.

- Dziwne. - Susie uśmiechnęła się niepewnie. Lily wzięła walizkę i obydwie zeszły do samochodu.

Wreszcie zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Sądzę też, że i Klotyldzie coś powoli świta. A więc Dawid nie jest niechcianym dzieckiem, tylko biedna Susie nie miała innego wyjścia. Źle ją na początku oceniłem. Musiała oddać małego w dobre ręce, żeby go chronić przed własnym ojcem. Ależ

ludzie potrafią być okrutni, nawet w stosunku do własnych dzieci! Klotylda oczekuje ode mnie, że postąpię rozsądnie, ale historia jest bardziej zawiła, niż myślałem. Najpierw trzeba wrócić do domu, aby upewnić się, że mały jest bezpieczny. Coś mi się nie wydaje, żeby Wayman Bishop zrezygnował z odnalezienia żony i dziecka. Jestem pewien, że przeczesa całe miasto, dzielnicę po dzielnicę, budynek po budynku. Na szczęście Susie już wkrótce będzie daleko stąd. Tam ma szansę na normalne życie, bez strachu. A co będzie z Dawidem? Bo przecież to jest największy problem Klotyldy. Z całą pewnością Rose i Preston będą z każdym dniem coraz mocniej związani ze swoim przybranym synkiem. Już teraz szaleją na jego punkcie. Ale tak naprawdę Susie wcale nie chciała go zostawić. Czy kiedyś powróci, by go odzyskać?

Na to pytanie nawet kot-detektyw Kumpel nie znał odpowiedzi. Co wówczas zrobią Preston i Rose? To ich zabije! Kumpel poczuł się bezradny. Nie miał pojęcia, co należało uczynić w tej sytuacji. Zauważył jednak z niesmakiem, że jego czarne, eleganckie futro jeżyło się, gdy myślał o Johnsonach. Podejrzana sprawa. To prawie tak, jakby kocia intuicja podpowiadała mu, że Już niedługo wydarzy się coś złego.

Zwykle bieganie go uspokajało, dzisiaj jednak było inaczej. Gdy wrócił do domu, jego myśli nadal nerwowo krążyły wokół tej dziwnej historii. Wziął prysznic, ubrał się i zszedł do samochodu. Jakaś niewytłumaczalna siła pchała go do przodu, w kierunku dzielnicy, w której mieszkali Preston i Rose. Nie, nie chodziło o nich, ale o dziecko. Nie mógł się uwolnić od

dręczącego przekonania, że nie jest to zwykła, banalna historia, z jakimi miał do tej pory do czynienia. Dobrych ludzi umiał wyczuć na kilometr. A więc czemu krążył wokół domu Johnsonów jak sęp? Nie miał pojęcia, lecz jego intuicja podpowiadała mu, że będzie tam potrzebny. Było to niczym nieoparte przecucie, głos wewnętrzny, który zdawał się przeczyć wszelkiej logice. Nie wiedzieć dlaczego Mel zaparkował przed ich domem, lecz wszystko wydawało się być w absolutnym porządku. Jeszcze raz ruszył w dół ulicy, zastanawiając się, dlaczego przed chwilą czuł się tak, jakby miał wyskoczyć z własnej skóry?

- Klotyldo, spójrz! Mel Haskin!

Czego szuka tu ten detektyw? Czemu krąży po okolicy? Oj, coś mi się wydaje, że ten facet wpakuje się w poważne kłopoty. Poprosiłem Klotyldę, żeby weszła do środka. Z jaką gracją się porusza i jakie lśniąca ma futerko... Świetnie! Znikła za drzwiami biblioteki. Tam jest bezpieczna. Sam zostałem jednak na zewnątrz. Mam jakieś złe przecucia. Ale, ale... dlaczego z takim impetem zatrzaskała drzwi? Czy słyszałem trzask przekręcanego klucza w zamku, czy mi się coś przyśniło? Uwaga, wchodzę! Ale jak? Drzwi są przecież zamknięte, a przez szybę niewiele widać. O rany! A to co? Czemu ten facet ma na twarzy maskę i trzyma pistolet wymierzony w Rose?

Lily cały czas bacznie obserwowała halę lotniska i otaczających ich ludzi. Trzymały się blisko siebie. Jak zwykle panował tu tłok i harmider. Na szczęście kolejka do odpraw międzynarodowych była krótsza niż

w dni powszednie i wszystko poszło jak z płatka. Susie nawet nie zająknęła się, wypowiadając swoje nowe nazwisko. A teraz stała już po drugiej stronie. Lily była z niej dumna. Dochodziła trzecia. Za chwilę będą wzywać pasażerów do wyjścia. Czuła, jak sztywnieje jej kark i ramiona. Była zdenerwowana. Marzyła o tym, by mieć to już za sobą. Doskonale wiedziała, że Wayman wszędzie ma swoje macki i że jednym ruchem ręki mógłby zniszczyć i ją, i Susie. Dopiero teraz obleciał ją strach. Może dlatego, że nie było przy niej już Susie i nie musiała grać roli tej silniejszej. Jeszcze raz spojrzała na przyjaciółkę. Susie zdawała się być zajęta oglądaniem wiadomości na ekranie jednego z telewizorów. Dopiero po chwili dostrzegła przerażenie malujące się na jej twarzy, a potem usłyszała przerażający krzyk. Co sił w nogach pobiegła w jej kierunku. Spojrzała na ekran. Natychmiast poznała dom Johnsonów. Obraz skakał przed oczami, gdyż operator biegł z kamerą za jednym z policjantów. W tle widać było z tuzin innych gliniarzy, gotowych do oddania strzału. Zauważyła też Mela Haskina. Stał na samym środku podjazdu, a jego twarz wyrażała troskę. Podniósł do ust megafon:
- Dom jest okrążony! Nie macie szans! Proszę wyjść na zewnątrz z podniesionymi rękami!
W odpowiedzi do uszu Lily dobiegła szybka seria z pistoletu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Klotyldo! Uciekaj! Ten potwór cię zabije! - Muszę dostać się jakoś do środka. Już wiem, wskoczę przez okno. - Miaaaau! - Dźwięk tłuczonego szkła i moje dzikie miauknięcie zwróciły uwagę zamaskowanego mężczyzny. Najważniejsze, że jestem już w środku. Wygrzebałem się spod kawałków szkła i pobieżnie rzuciłem okiem na moje futro. Na szczęście nic poważniejszego mi się nie stało. Może by tak wczepić się w udo napastnika? Będę zbyt blisko, żeby zdecydował się do mnie strzelać. Mam go! Niech zakosztuje moich zębów i pazurów! Udało się! Zawył z bólu, a teraz tańczy jak szalony na jednej nodze. Ale ja nie popuszczę, o nie! - Masz za swoje, ty zbóju! - miauknąłem z satysfakcją. W tej chwili dostrzegła mnie Klotylda. Zrozumiałem, że chce mi ruszyć na pomoc. - Nie! - syknąłem. - Zostań tam, gdzie jesteś... - Ale było już za późno. Jak tygrysica wbiła się w jego drugie udo. O rany, co za kotka... - A teraz chodu, prędko pod sofę! Ale co to? Ten zbój to zwykły tchórz. Patrzcie go, jak ucieka! O, już biegnie przez ogród. Gliny strzelają do

niego, ale jakoś im to nie wychodzi. Ups! Przeskoczył przez płot i zniknął. Najważniejsze, że mojej Klotyldzie nic się nie stało. Dobra, idę poszukać Rose i dziecka. Co to za huk? Aha, to nasz detektyw wpadł jak strzała przez frontowe drzwi. Trzyma przed sobą wyciągnięty pistolet i rozgląda się uważnie. - Miau! - trochę za późno.

Mel machnął ręką na policjantów stojących przed domem. Z salonu dobiegło go ciche łkanie. Wszedł do Środka. To Rose siedziała na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach i płakała. Po napastniku nie było już śladu.

- Czy jest pani ranna?

- Nie, wszystko w porządku... dzięki Kumplowi I Klotyldzie. - Podniosła głowę i wskazała na koty. - To one go wypłoszyły.

Spojrzał w kierunku otwartych do ogrodu drzwi. Właśnie wchodzili przez nie dwaj oficerowie.

- Przeskoczył przez mur. Jim i Stan pobiegli za nim.

- Jeśli ucieknie... - Nie skończył zdania. Nie musiał tego robić. Dobrze wiedzieli, co ich wtedy spotka.

- Gdzie jest dziecko? - zwrócił się do Rose. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się.

- Preston pojechał z Dawidem do doktora McAdamsa. Chcieliśmy, żeby zbadał Dawida przed jutrzejszym przesłuchaniem w sądzie. Kevin McAdams jest naszym przyjacielem.

Więc dziecko było bezpieczne. Mel poczuł wyraźną ulgę. Dopiero teraz spokojniej rozejrzał się po mieszkaniu. Obejrzał wybite okno. Czarny kocur siedział na podłodze i wylizywał sobie łapę.

- A okno? - zapytał nagle.

- To Kumpel wpadł przez nie jak kula armatnia - powiedziała Rose z wyraźnym uwielbieniem w głosie.

- Uratował nas! Klotyldę i mnie. Ten wariat strzelał do mojej kotki. Krzyczał, że zabije najpierw ją, a potem mnie! - Rose zaczęła płakać.

Mel spojrzał zaskoczony na oba koty. Przecież jeszcze godzinę temu były po drugiej stronie miasta. Wiedział, że nie należały do Lily, ale jakim cudem zdążyły tutaj dotrzeć? Jeszcze jeden dziwny element tej historii. Usiadł obok Rose i ujął jej lodowatą dłoń.

- Już go nie ma. Proszę się uspokoić. Jeśli mamy go złapać, potrzebujemy pani pomocy.

- Oczywiście.

- Zadzwoń do pani męża?

- Nie, proszę tego nie robić. W sumie nic mi nie jest. Zaraz się pozbieram.

- Dobrze, na chwilę zostawię panią w spokoju. Podszedł do policjantów, oczekujących na rozkazy i polecił przeszukać resztę domu. Potem wrócił do Rose.

- Czy napastnik był sam?

- Tak. To tylko czysty przypadek, że nie pojechałam z Prestonem i z Dawidem do lekarza. Miał się tu zjawić dekorator wnętrz. Kiedy więc zadzwonił dzwonek, zamiast zapytać, kto przyszedł, po prostu otworzyłam drzwi. Wiem, to było bardzo głupie z mojej strony.

- Z przerażeniem dotknęła ręką ust.

- Ale kto może przypuszczać, że w niedzielne popołudnie wtargnie do jego domu uzbrojony napastnik? - próbował podtrzymać ją na duchu Mel. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to się stało.

- No więc, tak jak mówiłam, ktoś zadzwonił do drzwi, a ja, nie pytając co i jak, otworzyłam. Był zamaskowany i popchnął mnie tak mocno, że się

przewróciłam. A potem zamknął za sobą drzwi na klucz.

Rose miała szczęście. Tacy przestępcy zwykle nie przejmowali się nawet tym, że właściciele są w domu. Zupełnie nie szanowali ludzkiego życia. Jeszcze raz zerknął na liżącego futerko kota. Dałby sobie głowę uciąć, że to ten sam, którego widział u Lily. Przez moment zdawało mu się, że kocur spojrzął na niego jakoś... porozumiewawczo. Powrócił do rozmowy z panią Johnson.

- Czy ten człowiek odezwał się do pani? Byłoby łatwiej trafić na jego ślad, gdybyśmy wiedzieli, czego chciał. Ukradł coś?

- Ukradł? - Rose popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - To nie był złodziej. Przyszedł tu po Dawida.

- Po Dawida? - Mel poczuł, jak żołądek zawiązuje mu się w supeł. Od początku ta historia z dzieckiem wydawała mu się bardzo zagmatwana.

- Od razu zapytał: „Gdzie jest dziecko?”.

- I co mu pani powiedziała? - Starał się opanować drżenie głosu. Przez moment sądził, że nie zdawała sobie sprawy, jak ważne było to, co mu już przekazała.

- Zapytałam, o jakie dziecko mu chodzi.

Miał ochotę ją uściskać. Zadziałał tu matczyzny Instynkt. Dawid miał szczęście w nieszczęściu, że trafił do tych właśnie ludzi.

- Świetnie! A co stało się potem?

- Złapał mnie za włosy i zaczął krzyczeć. - Oczy Rose wypełniły się łzami. Wzięła głęboki oddech i udało jej się nad sobą zapanować. - Wrzeszczał, żeby oddać mu dziecko, i że jeżeli tego nie zrobię, to mnie zabije, a dziecko i tak zabierze.

- Co pani mu na to powiedziała?

- Powiedziałam, że nie ma tu żadnego dziecka, i że jak chce, może przeszukać cały dom. Na szczęście po Dawidzie nie było żadnych śladów, bo pan przecież zabrał kosz i kocyk. Tak więc nie znalazłby nic, co wskazywałoby na to, że Dawid w ogóle tu kiedykolwiek był.

- Przeszukał dom?

- Przyłożył mi do pleców pistolet i kazał oprowadzić się po całym domu.

Mela wypełniła nagła wściekłość. Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby dodatkowo przerazić Rose, ale wiedział, że tego gościa, gdy tylko dostanie się w jego ręce, czeka marny los.

- Zatem jest pani pewna, że nie znalazł żadnego śladu obecności dziecka?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Żadnego. - Lecz już za chwilę uśmiech znikł z jej twarzy. - Upierał się, że dziecko było w tym domu i że zniszczy mnie i tych wszystkich, których kocham, jeżeli nie powiem mu, gdzie jest mały.

- Znał jego imię?

Rose zamyśliła się na chwilę.

- Nie, raczej nie. Wyglądało na to, że nawet nie wie, czy to dziewczynka, czy chłopiec.

- Interesujące... A zatem napastnik najpewniej nie znał płci dziecka. To cenna wskazówka. - Dzięki Bogu, anielska Lily nie opublikowała jeszcze żadnego artykułu na temat tego wydarzenia.

Spojrzał na Rose, która wciąż nie mogła się pozbierać. Podeszedł więc do barku i nalał jej małą szklaneczkę bourbona.

- Proszę to wypić. Tak dla kurazu. - Uśmiechnął się. Naprawdę podziwiał Rose, była zupełnie wyjątkową kobietą. - A co było później?

- Byliśmy tutaj w salonie z moją kotką Klotyldą. To Ca biała. - Wskazała na koty siedzące na podłodze. - Ten człowiek kazał nam tu wejść, a potem zatrzęsął za sobą drzwi. Wycelował w Klotyldę i powiedział, że ją zastrzeli, Jeśli natychmiast nie powiem, gdzie jest dziecko.

Mel nie musiał dalej pytać. Wiedział, że nie pisnęła ani słówka.

- Nic nie powiedziałam, więc zaczął strzelać. A potem nagle rozległ się huk i Kumpel, ten czarny, wpadł przez okno jak pocisk i uczeplił się nogi tego faceta.

- Pani Johnson, czy te dwa koty były tutaj cały dzień? - zapytał, choć zdawał sobie sprawę, że brzmi to dość dziwnie. Utwierdziło go w tym zaskoczone spojrzenie Rose.

- Myślę, że tak. A dlaczego pan pyta?

Milczał. Nie bardzo wiedział, jak to wytłumaczyć. Jeszcze raz przyjrzał się kociej parze. Wokół czarnego kota widoczne były ślady krwi. Wstał i podszedł do niego.

- Powinniśmy zająć się Kumplem. Krwawi - powiedział najspokojniej, jak potrafił.

- O Boże! - wykrzyknęła Rose, podbiegając do kota. - Proszę podać mi telefon. Właściciel Kumpla jest weterynarzem. Mieszka obok.

Mel wyciągnął w jej kierunku rękę z komórką i po chwili Rose była już pochłonięta krótką opowieścią na temat całego zajścia. Poprosiła weterynarza, żeby natychmiast przyszedł.

- Już idzie - wyrzuciła z siebie z ulgą.

- Miau... - mruknął Kumpel.
- Duża jest ta rana? - zwróciła się do Mela.
- Tego nie wiem. Może lepiej go nie dotykać, skoro za chwilę zjawi się lekarz. - Schylił się jednak, by wstępnie ocenić sytuację. - Wygląda na to, że to rana cięta, a nie od kuli. Jak na tak szaleńczy skok, prawie mu się upiekło.
- Dzięki Bogu i za to - powiedziała Rose, wychodząc z pokoju. Po chwili wróciła z kilkoma czystymi ściereczkami. - Może uda się zatamować krwawienie, zanim przyjdzie Peter. - Wzięła Kumpla delikatnie na ręce i ułożyła sobie na kolanach. Klotylda wskoczyła na sofę i poczęła lizać pyszczek swojego przyjaciela. - Ona dobrze wie, kto uratował nam życie. - Mówiąc to, niepewnie zerknęła na Mela.

W innej sytuacji zapewne nie brałby tych słów poważnie, ale zachowanie kotów było co najmniej nietypowe. Wyglądało na to, że wszystko rozumieją, a ten czarny był wprost zadziwiający. Mel dałby sobie uciąć prawą rękę, że Kumpel z całą premedytacją staranował szybę w oknie, a lewą, że były to te same koty, które widział w mieszkaniu Lily Markey. Tak więc przemierzyły miasto wzdłuż i wszerz w ciągu kilku godzin. To wprost niesłychane!

- Te zwierzęta są po prostu niesamowite! - dodał z przejęciem.
- Tak, panie poruczniku. Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, jak bardzo.

Już o tym wiedział, lecz nie było czasu na dalszą wymianę poglądów, bo do pokoju wpadł właśnie Peter Curry.

A więc tak to jest, być rannym bohaterem. Wpraw-

dzie rana trochę boli i szczypie, ale w sumie nic Wielkiego mi się nie stało. Nie będę jednak psuł sobie zabawy, zwłaszcza że jest wyśmienita. No i jak mnie wielbi Klottylda! Za chwilę chyba już nic nie zostanie z mojego pyszczka... I te słodkie pomrukiwania... Jakaż to cudowna muzyka dla moich uszu. Czuję się co najmniej jak John Wayne, filmowy bohater. Szkoda, że zaraz się wyda, iż nie jestem w poważnym niebezpieczeństwie i cały czar pryśnie. A potem zabiorą mnie do domu i będę miał zakaz wychodzenia na dwór. Już to widzę. Mam nadzieję, że Peter nie wpadnie na pomysł, by założyć mi szwy. Nienawidzę tego. Zresztą, kto to lubi? Wszyscy czekają z prawdziwym niepokojem na werdykt mojego pana. Nawet detektyw jest zmartwiony. A można by pomyśleć, że to taki twardziel. Chyba niełatwo go rozgryźć. Świetnie, Peter stwierdził, że nie zdechnę. Wielka mi nowina. Sam to wiedziałem. Ale co to, zbzikował? Nie chcę tego kłującego lekarstwa! Au, boli! Ale nie wypada mi się wyrywać. To zepsułoby przecież mój wizerunek bohatera. Peter uśmiechnął się do mnie. Dobrze wie, że tego nie lubię. Wykorzystuje niedogodną dla mnie sytuację, wiedząc, że inaczej dawno już bym zwiął. Policzę się z nim później. A teraz niech wreszcie powiedzą coś o tym zamaskowanym potworze. Mam nadzieję, że go złapali. Nie życzę mu, żeby dostał się w moje pazury... W końcu strzelał do mojej kobiety!

Przyciskając gaz do dechy, Lily pobiła przypuszczalnie wszystkie dotychczasowe rekordy w przekraczaniu dozwolonej prędkości. Obok niej siedziała zrozpaczona Susie. Była o krok od utraty zmysłów.

- To wszystko moja wina! Jak mogłam porzucić mojego synka i uciec? - zawodziła nieustannie.

Na początku Lily próbowała z nią dyskutować, lecz w końcu zrezygnowała. To nie miało sensu. Gdy dojeżdżały, rzuciła jednak twardo:

- Ty nie możesz tam wejść. Wiesz o tym.

- Chcę zobaczyć moje dziecko! - łkała Susie.

- Nie! Nie ma mowy - rzuciła szorstko Lily. - Wejdę do środka i zobaczę, co się stało - powiedziała już nieco łagodniej. - Masz. - Podała jej swój telefon komórkowy. - Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę coś wiedziała. Z pewnością wszystko jest w porządku i niepotrzebnie się denerwujemy.

Jednak tak naprawdę wcale nie była tego taka pewna. Co mogło spowodować atak na dom Johnsonów, jeśli nie historia z Dawidem? Ten drań jakimś cudem odkrył ich plan i wysłał kogoś, żeby odbił dziecko. Skąd miał pewność, że Dawid jest jego synem?

Lily zaparkowała samochód.

- Susie, odjedź kilka ulic dalej i czekaj. Zadzwoń do ciebie.

- Dobrze - powiedziała i wślizgnęła się za kierownicę.

- Mogę na ciebie liczyć? - zapytała jeszcze raz Lily, obawiając się, że przyjaciółka mogłaby zrobić coś nieprzewidywalnego.

- Tak. Zrobię, co powiedziałaś, ale jeżeli Dawidowi coś się stanie, zabiję tego drania. Lily, ja go zabiję! Zastrzelę go jak psa. Dawno już powinnam była to zrobić.

- Uspokój się, małemu na pewno nic się nie stało. Zobacz, ile tu policji.

Cały teren był obstawiony. Na szczęście Lily miała swój identyfikator, dzięki któremu wmieszała się w tłum reporterów. Z tego, co zdążyła się zorientować, wynikało, że do środka nie udało się wejść

żadnemu z nich. Lecz ona musiała się tam jakoś dostać. Przy drzwiach zatrzymał ją policjant, który nawet nie chciał iłuchać jej wyjaśnień.

- To niemożliwe. Otrzymałem wyraźny zakaz wpu-izczania kogokolwiek. Inaczej porucznik Haskin urwie mi głowę.

- Mel jest w środku? - Ta informacja wręcz ją sparaliżowała.

- Oczywiście. Zajmuje się tą sprawą.

- Proszę, powiedz mu, że Lily Markey czeka na niego - zdecydowała nagle. - Znam tę sprawę i mogę mu pomóc.

Policjant spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - wyjaśniła Lily. - Zaczekam przed domem i nie będę nawet zaglądać przez drzwi, a jeśli Mel nie wyrazi zgody, grzecznie stąd odejdę.

Zerknął raz jeszcze na nią spod oka, potem na zgraję reporterów, którzy przypominali watahę dzikich, wygłodniałych wilków i wszedł do środka, mówiąc:

- Dobrze, zapytam go.

Czekała w napięciu, nerwowo zastanawiając się, co powinna mu powiedzieć, a co zachować dla siebie. Ku jej zaskoczeniu po chwili w drzwiach pojawił się Mel.

- Sądziłem, że zrezygnowałaś z tej historii.

- Go z dzieckiem? - Nie potrafiła udawać chłodnej reporterki.

Milczał jakiś czas i już była pewna, że nie powie ani słowa, gdy nagle jego twarz złagodniała, a na ustach zagościł niemal niedostrzegalny uśmiech. Poczowała dziwny

związek z tym facetem, choć przecież prawie wcale go nie znała.

- Wszystko w porządku - odparł krótko.

- Możesz mnie wpuścić? Proszę... Zauważyła, że się waha. Zaskoczył ją, gdy po chwili uchylił drzwi i zaprosił do środka. Zanim stłoczeni dziennikarze zdążyli wykonać choćby najmniejszy ruch, szybko znów je zamknął.

- Z pewnością będę musiał za to zapłacić - rzucił Mel z nieukrywaną pretensją w głosie. — Ale, jak się domyślasz, oczekuję czegoś w zamian - dodał, wprowadzając ją do salonu. Miał już gotowy plan.

- Ciekawe, co to będzie...

Spojrzała na Rose Johnson, siedzącą na sofie obok weterynarza. Ach, to Peter Curry. Był tu wtedy, przypomniała sobie Lily. Na kolanach trzymał dużego, czarnego kota, owiniętego bandażem.

Mel położył jej rękę na ramieniu.

- Rozegramy to tak: uznamy sprawę za zwykłe włamanie. Złodziej wdarł się do środka, zastraszył właścicielkę i chciał ukraść wszystko, co wartościowe. Ani słowa o dziecku. Żaden z tych dziennikarzy nie ma prawa ąię o nim dowiedzieć. Musisz przyrzec...

- Jasne. - Kiwnęła głową. To było rozsądne rozwiązanie. - Masz moje słowo. Nikomu nawet nie wspomnę o Dawidzie.

Ręka Mela spoczywała wciąż na jej ramieniu, a teraz nagle się zacisnęła. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę. Wiesz dużo więcej, nie udawaj więc głupiej. Powiedz, zanim będzie za późno, zanim stanie się coś strasznego. Nie masz prawa działać na własną rękę, stawka jest zbyt

wysoka. - Wiedział, że trafił w czuły punkt. Dostrzegł w jej zielonych oczach strach i poczucie winy.

- Co się tutaj właściwie stało? - zapytała, próbując ukryć zmieszanie.

- To nie nadaje się do druku. Pamiętaj - uciał krótko.

Nigdy nie ufał reporterom, lecz wiedział, że Lily pyta nie jako dziennikarka. Była zaangażowana w tę sprawę osobiście. Opowiedział jej z grubsza, co zaszło, a na osłodę dodał niezwykłą historię o kocie.

- Wiesz, to są te same koty, które widziałem dzisiaj rano w twoim mieszkaniu.

I ona je rozpoznała.

- Ale... jak one się tu dostały?

- Myślałem, że może ty znasz odpowiedź na to pytanie.

Pokręciła głową.

- To coś, czego naprawdę nie rozumiem.

Ujął ją pod ramię i poprowadził korytarzem w stronę biblioteki.

- Dawid jest bezpieczny. Nie musisz się obawiać. A teraz oczekuję kilku informacji od ciebie. Nie masz prawa milczeć, bo od tego może zależeć życie tego dziecka.

Lily rozejrzała się po pokoju. Nie było drogi ucieczki. Mel zachęcającym gestem wskazał kanapę.

- Usiądź, porozmawiamy sobie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia — syknęła, ale grzecznie usiadła.

- Nie masz, czy raczej nie chcesz?

- A co to za różnica? Mogę zadzwonić?

- Nie żartuj sobie. Oczekuję, że odpowiesz mi na

kilka pytań. - Ależ ona potrafi być bezczelna. Teraz zachciało jej się telefonować.

- Proszę, tylko na moment. To bardzo ważne.

- Ale krótko...

Patrzył, jak przemierza pokój. Była piękną kobietą, a do tego poruszała się jak bogini. Podniosła słuchawkę, po czym spojrzała na niego błagalnie.

- Mogłabym zostać sama?

Miał ochotę odmówić, ale doszedł do wniosku, że również w jego interesie będzie, jeśli wyjdzie.

- Zobaczę, może pani Johnson proponuje nam drinka.

- Wspaniale.

Wyszedł z pokoju, ale nie udał się do Rose. Stał pod drzwiami i słuchał. Rozumiał każde słowo.

- To ja - powiedziała. - Dawid jest bezpieczny. Nie było go w czasie napadu w domu. Czekaj na mnie.

Zanim stąd wyjdę, zadzwonię do ciebie. Podjedziesz po mnie. - Zawiesiła na chwilę głos. - Wszystko jest w porządku. Ktoś się po prostu włamał, ale nie martw się. Nikomu nic się nie stało. Przysięgam!

Zaczekaj w samochodzie. - Odłożyła słuchawkę.

Mel pospieszył do salonu, aby przygotować obiecane drinka. A więc jeszcze ktoś martwił się o małego. I tym razem była to z pewnością jego matka. Osoba, której szukał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mel właśnie nalewał do szklaneczek bourbona, gdy poczuł na nodze ostre kocie pazury. Spojrzał w dół. Czarny kot wlepił w niego swoje nieprzeniknione, Zielone oczy.

- O co chodzi? - zapytał Mel, bacznie się przy tym rozglądając, czy nikt nie widzi, że rozmawia z kotem. Wyglądało na to, że ten dziwny zwierzak potrafi czytać w Jego myślach. Był zupełnie jak nie z tego świata.

- Miau...

Jego głos zabrzmiał jak skarga lub może pretensja. W Melu obudziło się poczucie winy. Był niemal pewien, iż Kumpel wiedział, że podsłuchiwał rozmowę Llly.

- To moja praca, stary. Jeżeli oczywiście o to ci chodzi. Sam rozumiesz, jakie to ważne. Ona nie powinna w tej sprawie niczego przede mną ukrywać, bo to może nas wszystkich wiele kosztować. Za wszelką cenę muszę wyciągnąć z niej te informacje. - Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Co za idiotyczny pomysł, żeby rozmawiać z kotem.

Kumpel cały czas nie spuszczał go z oczu. W końcu powolnym ruchem pokręcił głową, jak gdyby chciał powiedzieć „nie”. Mel otrząsnął się. Musiał mieć jakieś zwidy. Zdecydowanie potrzebował drinka. Bardziej od Lily. Skierował się w stronę drzwi. Rose i weterynarz pochłonięci byli rozmową, a w korytarzu dwóch policjantów pobierało odciski palców. Sytuacja zdawała się być w pełni opanowana.

Lily, do której przytulona była biała kotka, spokojnie siedziała na sofie. Wyglądała jak uosobienie niewinności. Patrzył na nią, zauroczony tym widokiem. Dostrzegł na jej zielonych tęczęwkach drobne brązowe plamki.

- Czemu tak mi się przyglądasz?

Mel odwrócił wzrok i zauważył, że czarny kot wsunął się za nim do pokoju.

- Przepraszam - wyjąkał. - Ja tylko... - Nie mógł przecież powiedzieć, że na moment utonął w głębinie jej oczu. - Ja tylko zastanawiałem się po raz kolejny, dlaczego tak bardzo interesujesz się tą sprawą. Tłumaczyłby cię trochę fakt, że Preston jest wziętym prawnikiem, ale... jakoś mnie to nie przekonuje. Jego nazwisko nigdy nie pojawia się na łamach prasy politycznej.

- Nie wiem, dlaczego tak się czepiasz? To też nie jest typowa historia dla ciebie.

- Po dzisiejszym ataku na panią Johnson, jak najbardziej.

Jej twarz nagle spoważniała. Wiedziała dużo więcej, niż się spodziewał. Musiał to z niej wyciągnąć, im prędzej, tym lepiej. W przeciwnym razie ta afera naprawdę skończy się jakimś morderstwem.

- Powiedz, czy napastnik groził pani Johnson?

- Pozwól, że to ja zapytam pierwszy. Jesteś tu jako dziennikarka, zajmująca się tą historią, czy też z jakiegoś innego, osobistego powodu? - Chciał wreszcie poznać motyw jej działania. - Jaki masz w tym Interes? Czy chodzi ci o Johnsonów? - Zawiesił na chwilę głos. - Czy może o Dawida, co zresztą wydaje mi się bardziej prawdopodobne... Dlaczego interesujesz się właśnie tym dzieckiem? Co zresztą dowodzi jednego, a mianowicie, że jest to bardzo szczególne niemowlę.

Widział, jak się zastanawia. Przez ułamek sekundy łudził się, że wreszcie dowie się prawdy. Lecz gdy spojrzała na niego, poczuł zimny dreszcz.

- Pracuję nad pewnym tematem - powiedziała z namysłem. - Jeszcze nie wiem, czy w ostatecznym opracowaniu wykorzystam te zdarzenia, choć wcześniej miałam taki zamiar. Wybacz, ale nie mogę ci więcej wyjaśnić.

Był rozczarowany, choć w gruncie rzeczy nie liczył, że Lily wyzna mu całą prawdę. To tak, jakby wierzył w świętego Mikołaja.

- Musisz obiecać, że żaden ze szczegółów, o których się tutaj dowiedziałas, nie wydobędzie się poza mury tego domu.

- Jasne. Obiecuję.

Kiwnął głową. Wiedział, że mógł wierzyć jej słowom. Kątem oka dostrzegł, że i kocur, jakby z aprobatą, kiwa głową. Czyżby ten cholerny zwierzak zgadzał się z nim?

- Uporządkujmy więc szczegóły - zaczął, ignorując kota. - Napastnik wdarł się do domu i zażądał

pieniędzy oraz cennych przedmiotów, co miało związek z niedawno emitowanym programem telewizyjnym na temat kolekcji dokumentów historycznych, która jest w posiadaniu Johnsonów.

- OK, nie ma sprawy.

- Jednak dokumenty są w sejfie bankowym - kontynuował Mel - a kiedy pani Johnson poinformowała o tym napastnika, zaczął się miotać, stał się brutalny i krzyczał, że ją zabije. Wtedy zjawiliśmy się my, a bandyta przestraszył się i uciekł.

- Miau! - Głośne i przeciągłe mruczenie przerwało jego wywód. Czarny kot stał obok urodziwej kotki i łapą głaskał ją po pyszczku.

- Co się dzieje? - spytała zdziwiona Lily.

- Miaaau! - ponownie rozległo się przeciągłe miauczenie, któremu natychmiast zawtórowała biała kotka.

- A no tak, zapomniałem o najważniejszym. Kiedy napastnik strzelał do kocicy, czarny kot o imieniu Kumpel wskoczył do środka przez zamknięte okno, rozbijając przy tym szybę, i rzucił się na napastnika, czym spowodował ucieczkę drania. - Poczul się jak idiota, gdy zrozumiał, co powiedział. Wyglądało na to, że wierzył, iż kot mógł zachować się w taki właśnie sposób. Niby okno rzeczywiście zostało wybite i Rose Johnson zaklinała się na wszystkie świętości, że tak właśnie było, lecz Mel jakoś nie potrafił przekonać się do tej wersji. Nie wierzył w kocich ratowników, świętego Mikołaja, zajączki wielkanocne i w kobiety, które działają bez planu.

- To niesamowite... - Lily delikatnie podniosła czarnego kota i posadziła go sobie na kolanach. Zwierzę polizało ją po dłoni, a potem szturchnęło nosem. - No,

tak... - Uświadomiła sobie, że popełniła błąd i szybko schyliła się po białą kotkę. - Ona też jest bohaterką, prawda?

- Na serio wierzysz, że kot mógł coś takiego zrobić? - zapytał zaskoczony Mel. To niemożliwe, aby tak rzeczowa kobieta, za jaką miał Lily, brała poważnie podobne banialuki.

- Oczywiście, że wierzę. Koty są niezwykle inteligentne. Wbrew obiegowym opiniom, kiedy są naprawdę bardzo przywiązane, potrafią być także niezwykle lojalne. A one najwyraźniej szczerze kochają Rose.

- Miau... - zamruczała Klotylda miękko.

- Tak, a ja jestem kotem w butach. - Mel wzruszył ramionami.

- Wierzysz czy nie, fakty są faktami. Dlaczego on ma na sobie ten bandaż? Ten drań go postrzelił?

- Nie, zranił się, przeskakując przez okno, ale na szczęście to nic poważnego. Na dodatek jego właściciel jest weterynarzem.

- Prawdę mówiąc, już same koty są doskonałym materiałem na ciekawą opowieść, jeżeli...

- Jeżeli ktoś jest pisarzem lub poszukiwaczem sensacji - pozbawił ją złudzeń.

- To właśnie miałam na myśli - powiedziała z uśmiechem. - Gdybym nie zajmowała się polityką, na pewno wykorzystałabym ten materiał. A tak naprawdę, czego ten napastnik chciał? Co mówił?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że pragnęła całym sercem, by ten łajdak okazał się pospolitym rabusiem. Chodziło jej wyłącznie o bezpieczeństwo małego Dawida. Musiał dobrze rozegrać tę partię.

- Nie rób z siebie idiotki. Doskonale wiesz, że to

nie był zwyczajny napad rabunkowy. - Zobaczył, jak cała krew odpływa jej z twarzy. - Chodziło o podrzucone dziecko. Za wszelką cenę ktoś chciał odebrać małego Dawida.

- Czy... - głos Lily załamał się. - Czy Rose byłaby w stanie zidentyfikować napastnika?

- Miał na twarzy maskę.

- Czy wyraźnie mówił o dziecku, czy to tylko domysły?

Zobaczył w jej oczach paniczny strach. Współczuł jej. Teraz miał całkowitą pewność, że to nie przyszły artykuł sprowadził ją do tego domu.

- Chodziło mu wyłącznie o dziecko. Groził, że jeśli Rose go nie odda, pozabija wszystkich, których kocha, a na końcu załatwi ją. Na dowód zaczął strzelać do kota.

- Do diabła... - Lily opuściła głowę. Po chwili uniosła ją do góry. W jej oczach znowu zagościła nadzieja. - Ale twoi ludzie złapią go?

Mel zacisnął dłonie w pięści.

- Nie wiem. Przeskoczył przez płot i zniknął. Myślę, że jest dobrze kryty. Na pewno miał wspólnika. To poważna sprawa, Lily, dlatego lepiej byłoby, gdybyś podzieliła się ze mną swoimi informacjami. Wiem, że sporo ukrywasz przede mną.

Niemal bezwiednie podała mu prawie nienaruszonego drinka.

- Muszę porozmawiać z Rose, a potem znikam.

- Mam nadzieję, że nie do redakcji - powiedział Mel z nutą niepewności w głosie.

- Nie, przecież dałam ci słowo.

- A nad czym teraz pracujesz? Dziecko z nieprawego łóżka któregoś z polityków?

Zaskoczyło go ostre spojrzenie, które mu posłała.

- Moja historia będzie o kobietach, a nie o politykach. O kobietach poniżanych i okrutnie traktowanych, które w jakimś momencie swego życia znajdują się w sytuacji bez wyjścia.

- Czyżbyś chciała zasugerować, że istnieją takie powody, dla których matka mogłaby porzucić swoje dziecko? I co, może uważasz jeszcze, że to jest w porządku? - Natychmiast opuściły go wszystkie ciepłe

uczucia, jakie miał dla tej kobiety.

Nie miała zamiaru bronić swoich racji. Nie teraz. Za to ogarnęła ją prawdziwa wściekłość.

- Tak właśnie uważam! Na pewno w ciągu tych wszystkich lat spędzonych na ulicy zdołałeś dostrzec, że zdarzają się takie sytuacje. Pomyślałeś kiedyś, że może robi to dla bezpieczeństwa dziecka, a także by uratować siebie?

- Widziałem kobiety, które nie chcą wziąć odpowiedzialności za swoje dzieci, bo przeszkadzają im w łatwym życiu. Nie toleruję takich zachowań. Jeśli zdecydowały się urodzić dziecko, nie mają prawa pozbywać się go w ten sposób. Nie mogę zaakceptować takiego rozwiązania.

Lily patrzyła na niego, jakby był przybyszem z Marsa. W oczach miała lęk oraz bezgraniczne zdziwienie i rozczarowanie. Jego także zaskoczyła i rozwścieczyła własna reakcja. Powinien był nad sobą panować. Cholera, dał się sprowokować. Pewnie w ten sposób Lily zdobywała materiały do swoich niezwykłych historii. A może ma gdzieś ukryty magnetofon? Ale dał się zrobić!

- Jakiś czas temu pytał pan, co mnie w tej sprawie

tak bardzo interesuje. A może siebie powinien pan zapytać o to samo? - zasyczała.

- Powiedzmy, że mam do czynienia z całą zgrają złych ludzi: złodziejami, mordercami, narkomanami. Moim zadaniem jest powstrzymać zło, zapobiec mu, jeśli to możliwe, lub przynajmniej schwytać sprawcę przestępstwa. Chciałbym, żeby tego typu zachowania nie miały miejsca, ale nie jestem władny, by to spowodować. Po wielu latach z trudem zaakceptowałem fakt, że ludzie dorośli nawzajem siebie krzywdzą, ale nigdy nie pogodzę się z tym, że krzywdzone są także małe dzieci. I nie wytłumaczysz mi, że tak być musi. Zawsze jest jakieś inne wyjście. Porzucenie dziecka, ba, noworodka, jest dla mnie przestępstwem. Nie może tu być mowy o jakimkolwiek zapewnieniu bezpieczeństwa. To naiwne i głupie.

- Dlaczego jesteś taki... - pokręciła głową. Nie potrafiła ubrać w słowa tego, co w tej chwili czuła.

- Życzę ci, abyś zrozumiał pewnego dnia, że nie zawsze istnieje lepsze wyjście. Czasami matka, porzucając dziecko, kieruje się wielką miłością i na długie lata ma z tego powodu złamane serce.

- Bardzo w to wątpię, by taki dzień kiedykolwiek nastąpił. - Mel podniósł się. - Wybacz, ale muszę iść do pracy. - Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając ją samą.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, złapała za słuchawkę telefonu. Susie natychmiast odebrała.

- Z Dawidem wszystko w porządku?

- Tak, już ci to mówiłam. Zaraz stąd wychodzę. Czekać na mnie na czwartej ulicy od domu Johnsonów w kierunku zachodnim.

- Dobrze, już tam jadę.

Odłożyła słuchawkę i w pośpiechu udała się do salonu, gdzie Rose nadal prowadziła ożywioną rozmowę ze swoim sąsiadem, Peterem Currym. Mela nie było. Nadszedł więc dobry moment, żeby zniknąć.

- Przepraszam, pani Johnson. Czy mogę liczyć na to, że gdy tylko dowie się pani czegokolwiek o napastniku, zadzwoni pani do mnie?

- Tak - odpowiedziała Rose. - Oczywiście. Domyślam się, że media będą interesowały się tą sprawą. Doceniam pani pracę i uczciwość.

- Dziękuję bardzo. Nie chcę dłużej przeszkadzać. Chyba będzie lepiej, jeśli już pójdę.

Szybko się wycofała, zanim ktokolwiek zdążył zareagować lub zadać jej jakieś pytanie. Targały nią sprzeczne uczucia. Zrobiła coś niewybaczalnego, wręcz niedopuszczalnego... Niemalże zaufała Haskinowi. Jeszcze chwila i powiedziała mu prawdę. Chciała wszystko wyznać, bo liczyła na to, że im pomoże. Lecz po tym, co powiedział, nie mogła spodziewać się po nim niczego dobrego. Zbyt dobrze pamiętała historię swojej siostry, Babs. Dziewczyna leżała w szpitalu z połamanymi kośćmi policzkowymi, trzema wybitymi zębami i ponad setką szwów na całym ciele. A to wszystko dzięki swojemu mężowi, oficerowi policji Bobiemu Raynoldsowi. Kiedy później próbowała wystąpić do sądu, gdy rozpaczliwie szukała pomocy, żaden z policjantów nie przyszedł jej w sukurs. Nie chcieli zeznawać przeciwko swojemu kumplowi. Przynajmniej tak się tłumaczyli. Lily otrzymała wtedy pouczającą lekcję na całe życie. Nie mogła zaufać

Melowi i dobrze, że mu nic nie powiedziała. Nauka sprzed lat kosztowała ją niemal życie siostry. Drugi raz nie chciała ryzykować, bo nauczyła się, że szczerść nie zawsze płaca. Sobie sama poradzi. Wiedziała już, że może liczyć wyłącznie na siebie. I będzie lepiej, jeśli cały czas będzie o tym pamiętać. Ciężko westchnęła. Wszystko się skomplikowało: Susie nie wyjechała do Anglii, a Dawidowi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nie miała pojęcia, co dalej robić. Nie było żadnej prostej odpowiedzi. Niezauważona wymknęła się z domu Johnsonów i szła w dół ulicy, w kierunku umówionego miejsca. Muszą gdzieś zniknąć na jakiś czas, by opracować nowy plan działania. Domyślała się, że Susie nie będzie chciała wyjechać teraz z Waszyngtonu. Niebezpieczeństwo mogło czaić się za każdym rogiem. A więc Wayman wiedział już o dziecku. Facet, który zaatakował Rose, był nasłany przez niego. Skręciła w małą uliczkę i zobaczyła swój samochód, a w nim Susie. Przyspieszyła kroku i otworzyła drzwiczki. Wsunęła się do środka, lecz czuła jakieś dziwne mrowienie na całym ciele, jakby ją ktoś obserwował. Jeszcze raz dokładnie rozejrzała się dookoła. W oddali stał zaparkowany samochód. Wyglądało jednak na to, że nikt w nim nie siedzi. Choć trudno było to ocenić, bo miał przyciemniane szyby.

- Co jest? - zapytała Susie z zaniepokojeniem. - Ktoś cię śledzi?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Ale nie zdążyła nic powiedzieć. Nagle zza kasztanowca wyłonił się jakiś czarny kształt i wskoczył na tylną część kabrioletu.

- O Boże! - krzyknęła Lily. - Ten kot śmiertelnie mnie przeraził. - Przyłożyła rękę do serca.

- Czy na pewno wszystko jest w porządku?

- Tak, już dobrze. Znikajmy stąd jak najszybciej. Tu aż roi się od glin.

Susie przekręciła kluczyk w stacyjce i z piskiem opon ruszyła z miejsca. Tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż pobieleły jej palce.

- Co ja teraz zrobię? Muszę odzyskać Dawida. Po co ja go oddawałam? Boże, Wayman pozabija nas wszystkich!

- Nie przypuszczam - ucieła, choć sama nie była tego taka pewna. Co zdarzyłoby się w domu Johnsonów, gdyby był tam Dawid? Może Rose i Preston już by nie żyli? - Chodziło mu tylko o dziecko - dodała po chwili. - Strzelał, by przestraszyć panią Johnson.

Susie kierując się w stronę obwodnicy, spytała.

- Dokąd jedziemy?

Oto był dylemat. Lily bała się wracać z Susie do swojego mieszkania. Jeżeli Wayman wiedział o dziecku i o Johnsonach, to z całą pewnością wiedział również, że ktoś pomógł Susie. Domyślała się, że niejeden polityk, któremu wcześniej dała się we znaki, ucieszyłby się, gdyby znikła z horyzontu. Zmienacka poczuła na plecach lekkie muśnięcie. Odwróciła się. Siedział tam czarny kot i wlepił w nią ogromne oczy. Z pyszczka wystawał mu kawałek papieru.

- No co, bohaterze? - Wzięła kartkę do ręki. Była to ulotka jakiejś nowo otwartej restauracji. Miała się specjalizować w potrawach z owoców morza. Po krótkim zastanowieniu rzuciła do Susie:

- Jedź w stronę rzeki.

Sama nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziała.

- W kierunku rzeki? - Susie nadal była zupełnie ogłupiała i trzęsła się ze strachu.
- Tak. Kot chce, żebyśmy pojechały nad wodę. Susie odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie.
- Kot?
- Miau... - zamruczał Kumpel.
- On ma rację. Musimy coś zjeść i spokojnie porozmawiać.
- Nie możemy jechać gdzieś bliżej? Nie chcę opuszczać tej dzielnicy - westchnęła Susie.

Lily delikatnie dotknęła jej dłoni.

- Nie możemy tu zostać, dobrze o tym wiesz. Wayman na pewno ma tę część miasta pod kontrolą. Jedź nad rzekę. Proszę. - Odwróciła się do tyłu i podrapała Kumpla po łepku. - Nie jestem tego pewna, ale sądzę, że on próbuje nam coś ważnego przekazać. Nieraz zdołał już udowodnić, że ma rację.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nasz los jest w rękach kota? Przepraszam, w łapach?

- To nie jest taki zwykły kot - zapewniła ją Lily. - Pozwól, że opowiem ci, co wydarzyło się u Johnsonów. Jest prawdziwym bohaterem. Posłuchaj tylko...

Mel siedział w samochodzie i obserwował całą sytuację przez lornetkę. Razem z Lily była jakaś kobieta, ale nie rozpoznał jej. W zaroślach ukrywał się jednak jeszcze ktoś. Wyglądało na to, że jakiś fotograf, gdyż co chwila pstrykał zdjęcie. Mel miał wrażenie, że ten gość nie spuszcza Lily z oka. Śledzi ją, czy co? Na początku zamierzał jechać za kobietami i wreszcie wytropić, o co w tym

całym zamieszaniu chodzi, jednak ten gość zachowywał się nader podejrzanie. Po krótkim namyśle porucznik doszedł do wniosku, że Lily zawsze Jakoś uda mu się odnaleźć, a facet może mu zwiąć 1 już nigdy nie dowie się, kim był.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Coś mi się wydaje, że Susie potrzebuje anioła stróża. I to nie byle jakiego. Sądzę, że taki na czterech łapkach i o lśniącym futerku będzie w sam raz. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem o sobie, że jestem istotą inteligentną, zaradną i przewidującą. No cóż, lubię moją pracę. W każdym razie zdecydowanie wolę to, niż gnuśnić w domowym zaciszu. Jednak tym razem nie będzie to łatwy orzech do zgryzienia, bowiem moje podopieczne są w dużym niebezpieczeństwie. Johnsonów będą po tym zamachu strzec jak oka w głowie, z całą pewnością Mel Haskin zadbał już o to, ale co poczną Lily i Susie? Zdaje się, że muszą zdać się na mnie. Postanowiłem, że im pomogę, jednak Klotyldzie poradziłem, żeby została w domu. Była ostatnio przemęczona. Wytłumaczyłem jej, że powinna być teraz blisko swoich państwa i mieć na wszystko oko. Nieźle ją tym dowartościowałem. Ach, ta Klotylda... Prześliczna, urocza i niezwykle pociągająca. A do tego cóż za inteligencja! Ale, ale, wróćmy do rzeczywistości. Może to nieładnie, lecz podsłuchałem rozmowę między Me-

lem i Lily. Trochę jestem tym zdziwiony, ale pan Haskin bardzo osobiście traktuje sprawę z podrzuconym dzieckiem. Wygląda na to, że nie docierają do niego argumenty drugiej strony. Powoli wszystkie fragmenty tej układanki zaczynają wreszcie pasować do siebie. Ta biedna Susie chyba rzeczywiście nie miała innego wyjścia. To nie był ani egoizm, ani wygodnictwo z jej strony. Ale kto zdoła przekonać o tym Mela? Całe szczęście, że przynajmniej Lily właściwie odczytała mój zamiar i jedziemy teraz w stronę przystani. Mam nadzieję, że wstąpimy tam do restauracji ze świetnie przyrządzonymi owocami morza. Ale przecież nie o to tak naprawdę chodzi. W jednym z doków stoi jacht należący do Eleonory i Petera. Dobrze pamiętam to miejsce. Ono pomogło mi przetrwać najcięższe czasy. Mam nadzieję, że również Susie przyniesie szczęście, którego tak bardzo potrzebuje. Wreszcie jesteśmy. Chwileczkę, niech się rozejrzę. Nie, nie widzę za nami żadnego „ogona”. A wyglądało to już mało ciekawie. Ten fotograf był na serio podejrzanym... Nie robił przecież zdjęć ptaszkom. Zaraz, co to tak terkocze? No tak, telefon. Lily sięgnęła do torebki.

- Tak? - odezwała się zrezygnowana. Była zaskoczona, gdy usłyszała głos swojej siostry.

- Zostawiłam dla ciebie wiadomość w redakcji - jak z procy wypaliła Babs. - Dlaczego się nie odzywasz? Co Jest grane?

Mogła liczyć na siostrę, ale nie chciała, by się martwiła. Babs najlepiej wiedziała, czym może skończyć się ucieczka od brutalnego męża.

- Nic, po prostu jestem bardzo zajęta - powiedziała Lily.

- Rozmawiałam z twoim szefem. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewasz. To zupełnie niepodobne do ciebie. Zawsze traktowałaś pracę niezwykle poważnie. Powiedz mi prawdę! Co się dzieje?
- Ależ Babs, niepotrzebnie się tak przejmujesz. Jestem zabiegana i faktycznie nie bywam regularnie w redakcji.
- Nie oszukasz mnie, wiem, że coś jest nie tak. W takim razie przyjeżdżam do Waszyngtonu.
- Nie! - Ostatnią rzeczą, której Lily chciała, to mieszać Babs w sprawę Susie. Nie po tym, co sama przeszła.
- Wsiadam w pociąg i będę u ciebie dziś wieczorem.
- Posłuchaj, zadzwonię później i wszystko ci wytłumaczę. Jestem cholernie zaganiana. I tak nie będę ci mogła poświęcić ani chwili. Nie przyjeżdżaj.
- No dobra, tylko na pewno zadzwoń. Martwię się o ciebie.
- Zadzwonię. - Lily wyłączyła telefon i spojrzała niepewnie na Susie.
- Przepraszam, że wciągnęłam cię w takie bagno. Lily, czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz?
- Nie żartuj. Zobacz, tutaj jest skręt w stronę przystani. Pewnie zaraz się dowiemy, o co tak naprawdę Kumplowi chodziło. - Odwróciła się i podrapała kocura za uchem. - Jest cudowny, prawda?
- Nie da się ukryć - zgodziła się Susie. - Chciałabym wiedzieć, czy z Dawidem jest na pewno wszystko w porządku.

Lily ciężko westchnęła.

- Właśnie nad tym myślałam. Na razie nie powinnam pokazywać się u Johnsonów, ale chyba mam

niezły pomysł. Kumpel należy do ich sąsiadów. Mogłabym zadzwonić z wiadomością, że znalazłam Kumpla, a przy okazji zapytać o małego.

Na twarzy Susie malowała się ulga. Skręciła w małą uliczkę prowadzącą do przystani i zwolniła.

No, to chyba jesteśmy na miejscu. Kocur przeciągnął Się leniwie. Kilkadziesiąt metrów przed nimi, na nabrzeżu, widniał napis: „Tu zjesz najświeższe i najsmaczniej przyrządzone owoce morza w całym mieście”.

- Miau! - Kumpel oparł łapy na przednim siedzeniu. - Miau, miau.

- Coś mi się wydaje, że jest głodny - podsumowała Susie.

- Nic dziwnego. Ciężko się napracował, a zatem czas na nagrodę.

Mel siedział w nieoznaczonym samochodzie patrolowym i obserwował Lily. Wciąż nie rozumiał, jaki miała związek z tą historią, wiedział jednak, że była w nią poważnie zamieszana. Zarówno ona, jak i jej towarzyszka.

Nagle wzrok Mela przeniósł się mimowolnie na Itęste zarośla ponad chodnikiem. Zza krzaków wyłonił się facet z aparatem. Lily tak bardzo była pochłonięta rozmową, że nie zauważyła intruza.

Mężczyzna bacznie nią rozejrzał, po czym ruszył w kierunku samochodu, w którym siedział porucznik. Gdy był już blisko, Mel jednym susem wyskoczył na ulicę.

- Policja! Stać!

W odpowiedzi padły dwa szybkie strzały, na szczęście oba niecelne. A zatem oprócz aparatu ma także broń, i to z tłumikiem. Interesujące. Mel rzucił się na

trawnik i w tym momencie usłyszał, jak samochód stojący przed nim odjeżdża z piskiem opon. Wyciągnął pistolet i uniósł głowę. Nie wolno mu było strzelać bez uprzedzenia, ale na to i tak było już za późno. Facet zniknął właśnie między domami. Mel wyjął pospiesznie z kieszeni radiotelefon, by wezwać posiłki i rzucił się w pogoń za uciekającym. Nie był to łatwy przeciwnik. Miał fantastyczną kondycję, bez trudu przeskakiwał ogrodzenia i pokonywał wszelkie wyrastające na drodze przeszkody. Zatrzeszczało radio. Więc nie był już sam. Mógł liczyć na pomoc swoich ludzi.

- Chcę mieć tego człowieka! - zaryczał do odbiornika, nie przerywając pogoni. - Wyślijcie ludzi na Cherry Lane! Odetnijcie mu drogę! Sprowadźcie helikopter. Muszę go mieć!

Ku zaskoczeniu Mela, facet nagle zmienił kierunek ucieczki, jakby usłyszał jego słowa. Czyżby miał podsłuch? Kto to jest, do cholery! Poczł skurcz żołądka. Dlaczego Lily nie powiedziała mu prawdy? W co ta dziewczyna się wpakowała? Znowu usłyszał strzał, kula świsnęła mu tuż obok głowy. Kątem oka dostrzegł, że facet znowu w niego mierzy. Zdażył uskoczyć w bok i schować się za wyłomem domu. Najwyraźniej drań nie przejmował się, że może przy okazji zranić jakiegoś przechodnia. Mel nie mógł sobie na to pozwolić. Biegł coraz szybciej. Chciał go zmusić, by skierował się na Cherry Lane, gdzie czekał na niego już kordon policji. Udało się. Złapał więc za radio i krzyknął:

- Biegnie na was! Jest uzbrojony! Zgarnijcie go! Jednak zanim dopowiedział ostatnie słowo, facet wykonał ostry skręt w prawo... A więc zawracał. Teraz Mel był już pewien, że odbierał na ich częstotliwości.

Zanim policja zdąży się przemieścić, facet będzie siedział w domu przed kominkiem. Sam musiał sobie radzić. Na moment drań zniknął mu z pola widzenia. Mel przyspieszył i znowu miał go przed sobą. Nagle facet potknął się i przewrócił. Natychmiast jednak podniósł się z ziemi i zniknął za drewnianym budynkiem, przylegającym do olbrzymiego kompleksu basenów. Na chodniku leżał aparat fotograficzny. W wyniku upadku zerwał mu się pasek. Mel zwolnił, nie podniósł jednak aparatu. Wiedział, że w każdej chwili może po niego wrócić. Od zbiega dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy ten niespodziewanie skręcił w Plum Avenue. Do uszu Mela dobiegł głośny pisk opon. Olbrzymia czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami zatrzymała się tuż przed uciekającym facetem. Otworzyły się drzwi i gość wskoczył do środka. Z rykiem silnika popędzili w dół ulicy. Mel zdążył jedynie zauważyć, że tablice rejestracyjne były zakryte. Zatrzymał się i zacisnął zęby. Ile jest takich czarnych limuzyn w Waszyngtonie? Bez liku. I co teraz? Wyjął radio i zarządził pościg za samochodem. Wiedział Jednak, że nic z tego nie wyjdzie. Raz jeszcze udało się draniowi wystrychnąć policję na dudka. Nie działał tam, to jasne. Sprawa zataczała coraz szersze i coraz bardziej tajemnicze kręgi. Co to za niezwykle dziecko? Mel wrócił na miejsce, gdzie leżał porzucony aparat fotograficzny. Być może uda się zdjąć odciski palców, pomyślał. Facet nie nosił rękawiczek. Podniósł aparat z Ziemi, chwytając za zerwany pasek. Jeszcze raz musiał to wszystko przemyśleć. Po pierwsze - włamanie do Johnsonów i ucieczka napastnika; po drugie - jakiś facet udający fotografa, podejmuje karkołomny bieg

z przeszkodami i strzela na oślep... A może to ten sam gość? To by było interesujące rozwiązanie. Jakim cudem udało mu się tak łatwo wymanewrować policję? Mel dobrze znał odpowiedź, ale sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Wiedział, że drań musiał mieć dostęp do policyjnych informacji. Porucznik był wściekły i rozgoryczony. A co z bajką o solidarności w policji? Czyżby byli wśród nas tacy, którzy torpedują pracę kolegów? Niżej chyba nie można już upaść. Zrozumiał, że mają w swoim gronie zdrajcę lub zdrajców. A co z Lily? Przecież również o nią tu chodziło. Dłuższą chwilę przyglądał się aparatowi. Był to profesjonalny sprzęt wysokiej klasy. Może przy jego pomocy uda mu się dotrzeć do sprawcy. Poza tym w środku był film, być może bardzo cenny, bo zawierający materiał dowodowy. Zdecydował, że sam zanieśie go do laboratorium. Niech chłopcy sprawdzą, co da się zrobić. Za kilka godzin będzie miał jakąś odpowiedź.

- Co jest z tym kotem? - spytała Susie, patrząc w osłupieniu, jak Kumpel wskakuje na jeden z jachtów.

- Nie mam pojęcia. - Lily zdążyła się już do tego przyzwyczaić, że był to niezwykle zwierzak. Od jakiegoś czasu niemal instynktownie zaczęła traktować go jak partnera.

Byli po pysznym obiedzie. Kumpel pochłoniął taką ilość jedzenia, jakby od lat nic nie miał w pyszczku. Teraz patrzyła z zainteresowaniem, jak wskakuje na dach jachtu, a potem znika za jakimiś drzwiami. Po chwili wrócił, a z pyszczka wystawał mu klucz.

- Myślę - powiedziała Lily, zastanawiając się, czy

przypadkiem nie zwariowała - że Kumpel chce, abyśmy tu zostały.

- Chyba żartujesz! - rzuciła sceptycznie Susie.

- Przecież przyniósł nam klucz.

- Może uważa, że powinni nas aresztować? - W jej głosie zabrzmiał sarkazm. - Co w takim razie robimy?

Nie było się nad czym zastanawiać, nie miały wszak lepszej propozycji. Niby mogły przenocować w hotelu, ale istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że Way-man natychmiast dowiedziałby się o tym. Z pewnością uruchomił wszystkie znajomości i gdzie tylko mógł, porzysyłał zdjęcia. Każdy, kto by Susie rozpoznał, miał obowiązek go o tym poinformować, i na pewno by to zrobił. Jemu na ogół nikt się nie sprzeciwiał.

- Zostajemy na jachcie.

Susie wciąż nie była pewna, czy chce tam wejść.

- Chodź i popatrz! Tu jest super. Kumpel ma wielu zamożnych przyjaciół - powiedziała Lily z entuzjazmem. Pogodne brzmienie jej głosu zadziwiło nawet ją samą. - Z pewnością ta łódź należy do kogoś, kogo on dobrze zna.

- Miau! - wpadł jej w słowo Kumpel.

- Widzisz? Potwierdza to. Chodź, Susie, to chyba rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nas tu szukać.

- Miau! - Kocur ocierał się o nogi Susie, wykonując przy tym zgrabne ósemki.

Lily pociągnęła za sobą przyjaciółkę. Otworzyła drzwi i po omacku natrafiła na kontakt. Wnętrze było świetnie urządzone, można by tu mieszkać nawet przez dłuższy czas. Szczególnie luksusowa była kuchnia. Niebiesko-żółte kafelki sprawiały, że wyglądała bardzo

radośnie. Kumpel wskoczył na blat i uporczywie stukał łapą w jeden z kafelków. Lily podeszła bliżej i przeczytała wyryty na nim napis: „Dla Eleonory, z całego serca - Peter". Poglądziła dłonią wygrawerowany kafelek. Jak dawno już przestała wierzyć w prawdziwą miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą?

- Co się stało? - zapytała Susie.

- Ach, nic. Chyba możemy się rozgościć?

Mel jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom, choć znał je już na pamięć. Musiał przyznać, że Lily wyszła na nich naprawdę nieźle. Jedwabiste, rude włosy rozwiane przez jesienny wiatr i ta krótka spódniczka, odkrywająca jej długie, niezwykle zgrabne nogi. To wspaniała kobieta. Prawdziwy ideał, pomyślał. Mądra, piękna i zdeterminowana. Spojrzał na drugą kobietę. Jasne blond włosy przysłaniały do połowy jej twarz, którą do końca zakrywały duże, słoneczne okulary. To typowe zdjęcia pstrykane przez prywatnych detektywów, aby komuś udowodnić brak lojalności, niemoralność lub przestępstwo. Ale przecież Lily była znaną postacią, a jej twarz ukazywała się często na łamach gazet i w telewizji. O co więc chodziło temu człowiekowi? O tę drugą kobietę? Przywołał do siebie dwóch detektywów, ludzi, z którymi pracował od lat. Był pewien, iż może im w pełni zaufać. Wiedział, że powinien zachować najwyższą ostrożność.

- Możecie mi zidentyfikować tę kobietę?

- Dlaczego nie zapytasz Lily Markey? Przecież ona musi ją znać.

- Genialna uwaga, tylko problem polega na tym, że panna Markey jakoś nie chce puścić pary z gęby. Mężczyźni spojrzeli jeszcze raz na zdjęcia.

- Trudna sprawa, ale spróbujemy ją namierzyć.

- O to właśnie chodzi.

i Zerknął na zegarek. Za parę minut ma skontaktować

się z laboratorium kryminalnym. Sięgnął po słuchawkę. Nie miał cierpliwości dłużej czekać.

- Macie te odciski palców z aparatu? W słuchawce zapanowała cisza.

- Tak. I nawet udało nam się je zidentyfikować. Głos technika brzmiał bardzo poważnie. Mel wy-
czuwał w nim także pewną obawę.

- Wal, stary.

- To jeden z naszych. Jim Lavert. Mel miał nadzieję, że źle zrozumiał.

- Jak to jeden z naszych?

- Teraz jest oddelegowany do ochrony burmistrza. Mam przed sobą jego akta.

- Jesteś pewien, że to jego odciski?

- Absolutnie.

Mel odłożył słuchawkę.

Trudno mu było pogodzić się z prawdą. Jim Lavert... Przecież się znali, a mimo to strzelał do niego,
chciał go zabić. Wziął zdjęcia do ręki. No cóż, przyszedł czas, by

o wszystkim dowiedział się szef, pomyślał. To wyjątkowo brudna historia, a na dodatek zakreślała
coraz szersze kręgi. Nic dziwnego, że napastnikowi za każdym razem udawało się uciec. Znał przecież
policyjne zamiary

i miał dostęp do wszelkich danych. Zanim wylądował u burmistrza, pracował w wydziale zabójstw. A
to dobre.

Na policji, pomimo iż było to niedzielne popołudnie, panował wielki ruch. Drzwi do pokoju prze-
słuchań niemal się nie zamykały. Bez przerwy wchodzili tam kolejni świadkowie i podejrzani.

Mel wszedł do gabinetu szefa i zrezygnowany położył na jego biurku teczkę.

- Trzeba wezwać na przesłuchanie Jima Laverta - zaczął niechętnie. - Strzelał do mnie.

- Słucham?! - zapytał Laster Bennett z niedowierzaniem. - Jim służy od piętnastu lat w policji. Jesteś pewien, że to on?

- Zdjęto jego odciski palców z aparatu fotograficznego.

Bennett pokiwał głową. Było widać, że nie może się z tym pogodzić.

- To nie postawi nas w dobrym świetle. Wiesz o tym.

- Wiem.

- Czy ktoś mógł go zrobić?

- Nie widzę takiej możliwości. On jako ostatni miał w ręku ten aparat. Zgubił go w czasie ucieczki. Z całą pewnością to on do mnie strzelał i zrobił zdjęcia Lily Markey oraz tej drugiej kobiecie. Zastanów się, co będzie, jeśli je dopadnie.

- Powinienem zadzwonić do burmistrza, ale nie lubię niepokoić go w domu.

- Nie powinienes mieć takich oporów, bo to zabrnęło za daleko. Napad na dom, strzelanina w jednej z najlepszych dzielnic Waszyngtonu... Nie możemy sobie pozwolić na opieszałość. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie wiem, co się dzieje, ale myślę, że on będzie mógł nam udzielić odpowiedzi na kilka pytań. Chciałbym je poznać, zanim będzie za późno. Zanim ktoś zginie. A na to się zanosi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

No wreszcie! Wreszcie zdecydowały się wejść na łódź. Jestem pewien, że moi państwo nie mieliby nic przeciwko temu. Oj, prawie bym zapomniał. Umówiłem się z Klotyldą, że będę w domu przed północą. Martwię się o nią. Nie chciałbym, żeby komukolwiek przytrafiło się coś złego. Johnsonowie bardzo chcą zatrzymać dziecko, ale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Dzisiaj o mało nie straciłem życia przez tego wariata z pistoletem. On naprawdę chciał zabić moją ukochaną koteczkę. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny, a teraz jestem rozdarty. Serce wyrywa mi się do przecudnej Klotyldy, a obowiązek wzywa mnie do opieki nad tymi zagubionymi kobietami. Koty mają dużo lepiej wykształcony instynkt samozachowawczy niż ludzie, świetnie potrafią unikać katastrof. Zupełnie nie mam pojęcia, jak powstrzymać męża Susie od popełnienia czegoś strasznego. Moje pazury nie zawsze okazują się skuteczne i polegać tylko na nich byłoby wielką naiwnością. Niestety mogę być do tego zmuszony, chyba że uda mi się jakoś przekonać

Mela Haskina, by pomógł obu paniom. No tak, ale nawet jeśli mi się to uda, jak przekonam Lily, że może mu zaufać? Holender, czeka mnie niełatwe zadanie. Dlaczego ci ludzie zachowują się tak irracjonalnie? Widziałem wyraz twarzy Lily, gdy zobaczyła napis wyryty na kafelku. Najpierw była promienna, lecz już po chwili zamarła. Oj, coś mi się wydaje, że romantyczką to ona nie jest. Ktoś ją pewnie kiedyś bardzo zranił. Tak bardzo, że nie mogła się z tego otrząsnąć. Podobne reakcje mają zawsze swoje przyczyny. Złe doświadczenia... Pewnie nie wierzy w miłość. Musiała kiedyś kochać do szaleństwa, a potem doznać wielkiego zawodu. Otoczyła się więc ochronną skorupą i nie chce słyszeć o miłości. A może dostajemy od życia to, czego oczekujemy? No, powiedzmy ja. Pragnę, aby kociczki miały mnie za inteligentnego, seksownego kocura, któremu nie można się oprzeć. I jeszcze nigdy się nie pomyliłem. Po prostu spełnia się to, czego oczekuję. Albo weźmy taką Susie. O niej też wiem sporo. Agresywny, wpływowy mąż, pnący się coraz wyżej po drabinie kariery. Dałbym sobie głowę uciąć, że nie odpuści sobie, nim jej nie znajdzie, wszystko jedno, żywej czy umarłej. To akurat dla niego bez większego znaczenia. W każdym razie zrobi wszystko, by dorwać małego. Swoją drogą ciekawe, jak wytropił, że Dawid jest jego dzieckiem? No, ale starczy już tych dywagacji, w końcu nie jestem psychoanalitykiem, tylko detektywem. Panie się nieco zadomowiły, czas zatem sprawdzić, co słychać u Klotyldy. A jutro pierwsza rzecz, którą muszę zrobić, to usiąść i pogadać z Melem. Ale żeby taki dobry detektyw nie znał kociego języka? Myśli, że daleko zajdzie z tym swoim angielskim.

Naiwniak. A przecież nikt rozsądny, kto ma choćby blade pojęcie o śledczym fachu, nie zaneguje wyższości kotów nad ludźmi. Spadam! Czekam na długą drogę na Mulberry Road. Niewykluczone, że użyję jakiegoś wybiegu, by znaleźć nieco wygodniejszy transport do domu niż własne łapy. Może autostop?

Lily przysłuchiwała się przez moment równemu oddechowi Susie. To dobrze, że zasnęła. Była całkowicie wyczerpana. Nic dziwnego, sam poród by już wystarczył, a co dopiero ten stres. Lily przewracała się z boku na bok. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Cholera jasna - zaklęła pod nosem.

Zapomniała zadzwonić do siostry. Jeśli jej nie powstrzyma, Babs gotowa była wsiąść w pociąg i przyjechać do Waszyngtonu. Lily była z niej dumna. Na szczęście potrafiła znaleźć w sobie tyle siły, by jakoś z tego wyleźć, choć co prawda zabrało jej to pięć długich lat, wypełnionych uciążliwymi terapiami i operacjami. Za to teraz została szefem małej agencji reklamowej i spokojnie sobie żyła. Nie to, co wcześniej. Pięć lat temu była przerażonym i zastraszonego kłębkiem nerwów. Tak, Bob był wyjątkową świnią. Dowartościowywał się, kiedy poniżał kobiety.

Lily wstała z łóżka i wyszła z kabiny. Wystukała numer i czekała. Było już późno, ale po chwili Babs odezwała się.

- A już myślałam, że będę musiała przyjechać - powiedziała karcącym głosem.

- Wszystko jest w porządku, możesz mi wierzyć. Żeby ci wyjaśnić, co tu się dzieje, potrzebowałabym dużo czasu. A co u ciebie?

- Lepiej niż mogłabym się spodziewać - odparła miękko Babs. - Poznałam kogoś. Kogoś absolutnie cudownego!

Lily poczuła się tak, jakby uderzył w nią podmuch lodowatego wiatru.

- Co?

- Spotkałam mężczyznę. Jest wspaniały: miły, kochający, czuły i ciepły. To pisarz. Chciałabym, żebyś go poznała.

Przed oczami Lily stanęły natychmiast obrazy z przeszłości. Poraniona twarz, połamane kości policzkowe, naderwane ucho. Ogarnęło ją przerażenie.

- Lily, jesteś tam?

- Tak, tak... - Aż się prosiło, żeby zapytać ją, czy niczego się w życiu nie nauczyła. Boby też był na początku księciem z bajki. Wszystko się zmieniło, gdy zamiast komplementów użył pięści.

- Wiem, że cię to przeraża - odezwała się w końcu Babs. - Przeżyłaś tę historię chyba jeszcze bardziej niż ja, ale Lukę jest inny. Musisz mi uwierzyć, bo to prawda.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Jednak chciałabym, żebyś go poznała i powiedziała, co o nim sądzisz.

- Czyżby tym razem moje zdanie miało być wzięte pod uwagę? - zapytała Lily ostro. Nie panowała już nad swoim rozdrażnieniem i strachem. - Kiedy mówiłam ci, że Boby jest kłamcą i pozerem, stwierdziłaś, że jestem wariatką.

- Przez ostatnie lata wiele się nauczyłam. - Głos Babs był spokojny i opanowany. - Zmieniłam się, Lily. Nie jestem już tą samą kobietą, co kiedyś. Nigdy

więcej nie pozwolę, by mężczyzna podniósł na mnie rękę. Chciałabym, żebyś i ty w to uwierzyła. Czy potrafisz?

Pytanie zabrzmiało niezwykle poważnie. Lily wiedziała, ile czasu zajęło Babs dochodzenie do równowagi. Rozumiała też, jak wielkie znaczenie miało dla jej siostry, aby i ona uwierzyła w przemiany, jakie w niej zaszły. Babs ciężko nad tym pracowała. Uczyła się życia na nowo.

- Obiecaj mi tylko, że nie będziesz postępować pochopnie.

- Z pewnością nie. Chciałabym przyjechać z nim w przyszłym tygodniu. Odpowiada ci to?

- Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko się wyprostuje - odparła, starając się nadać swojemu głosowi lekkości. - A jeśli nie... no cóż, to złożycie mi wizytę w więzieniu.

- Oj, wygląda na to, że znów dorwałaś się do jakiegoś soczystego kawałka. Bądź ostrożna. Wiesz, jak bardzo martwię się o ciebie. Zawsze musisz tak się narażać? A poza tym... wybacz, ale muszę ci to powiedzieć. Martwię się, że nie dopuszczasz do swojego świata żadnego mężczyzny.

Lily nie mogła temu zaprzeczyć. Nie była to zbyt przyjemna uwaga. Cieszyła się jednak, że jej siostra wreszcie pokonała swoje uprzedzenia. Miała za sobą naprawdę długą drogę.

- Cieszę się, że poznam Luke'a i kocham cię.

- Ja też cię kocham. Trzymaj się.

Lily wyłączyła telefon i oparła się o ścianę kabiny. Noc była gwieździsta. Wokół słychać było kojący chłupot wody. Taki jacht to niezwykle romantyczne

miejsce, pomyślała. Peter Curry i jego żona na pewno spędzili tutaj cudowne chwile. Jej myśli niespodziewanie powędrowały do Mela Haskina. Podobał się jej. Potrafiła być na tyle szczerą, by przyznać się do tego przed sobą. Ale także obawiała się go. W końcu był gliną i w obecnej sytuacji nawet nieświadomie mógł zranić Susie albo nawet jej zaszkodzić. Gdyby nie to, może spróbowałyby go uwieść. Ale w tej chwili nie wolno jej było nawet o tym myśleć. To zbyt ryzykowne. Jego podejście do całej tej historii drażniło ją i powodowało, że w chwili obecnej był tylko wrogiem.

Mel obudził się nagle. Wyciągnął rękę, ale nie znalazł nikogo. Tylko chłód prześcieradła... W końcu zdał sobie sprawę, że Lily nie było przy nim. Cóż za realistyczny sen! Wstał i poszedł nago do kuchni. Wiedział, że nie uda mu się teraz zasnąć. Był poniedziałkowy poranek, dochodziła piąta. Wstawił kawę i zajrzał do lodówki. No cóż, wiele w niej nie znalazł. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie podziała się Lily ze swoją przyjaciółką. Wsiąkły jak kamień w wodę. Miał jednak nadzieję na owocne spotkanie z Jimem Laver-tem. Liczył na to, że siedzi już pod kluczem. Takie wydał polecenie: zamknąć i przetrzymać dwadzieścia cztery godziny. Noc spędzona we wspólnej celi z narkomanami, pijakami i złodziejaskami potrafiła zdziałać cuda. Wiedział, że jego szef nie odnosił się do pomysłu aresztowania oficera policji zbyt przychylnie, ale tym razem Mel się uparł. Kiedy przedstawił mu wszystkie dowody przeciwko Lavertowi, Laster Bennett nie miał innego wyjścia. Musiał się zgodzić. Mel, nie wypuszczając z ręki kubka z kawą, zszedł

na dół po gazetę. Zaczął ją prędko wertować w poszukiwaniu artykułu Lily. Nic jednak nie udało mu się znaleźć. Ta kobieta zupełnie zapanowała nad jego myślami. Na chwilę rozmarzył się, lecz już po chwili stał pod prysznicem i nie upłynął nawet kwadrans, kiedy opuszczał dom. Skierował się w stronę apartamentu Lily Markey. Nie było jej w domu. W pierwszym momencie ogarnęło go przerażenie, lecz szybko się otrząsnął. Przecież Lily miała dużo oleju w głowie. Była szalona, przebojowa, twarda, ale nie głupia, o czym dobrze wiedział. Z pewnością gdzieś się ukrywała... Mądra dziewczynka, pomyślał. Miał też świadomość, że gdyby było to konieczne, dzięki swoim układom, mógłby ją bez trudu znaleźć. Kim była jednak ta druga kobieta? Był przekonany, że to właśnie ona jest kluczem do całej historii. Opowiadki, nad którą pracowała Lily. Tak podpowiadała mu intuicja. Co prawda przecucia i intuicja nie stanowiły dla sądu żadnych dowodów, ale on przez lata pracy nauczył się im ufać. Ta kobieta na fotografii była matką Dawida. Jeśli ją odnajdzie, sprawa sama się rozwiąże. Jakoś trudno było mu uwierzyć, że Lily brała czynny udział w tak nagannym postępku, jakim jest podrzucenie dziecka. Oprócz tego, że chciała pomóc matce, nic nie wiedział o motywach tego przestępstwa. Jeszcze dziś dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Mimo że była dopiero siódma, Mel pojechał na posterunek. Gdy tylko wszedł do środka, wiedział już, że coś jest nie tak. Jakieś przedziwne napięcie emanowało z każdego kąta. Kiedy przy swoim biurku zobaczył Lastera Bennetta, domyślił się, że sprawa musi być bardzo poważna. Szef poprosił go do swojego biura. Siedziało tam dwóch

mężczyzn w bardzo wykwintnych i drogich garniturach. Mel był zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Panowie są z biura ochrony burmistrza - rzucił Laster. Wprost buchał wściekłością.

- Czyżby burmistrz ogłosił dzisiaj święto? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? - próbował żartować Mel.

Nie zrobiło to żadnego wrażenia na gościach.

- Zaginął jeden z najbardziej cenionych pracowników burmistrza. Podejrzewamy, że ma pan z tym coś wspólnego - wyjaśnił spokojnie jeden z mężczyzn.

- Tak. Pracowałem jako asystent Davida Copper-fielda - wyrwało mu się. Dostrzegł torpedujący wzrok swojego szefa. - Więc kto zaginął?

- Jim Lavert.

Zapanowała krepująca cisza.

- Wiemy, że pan go szukał.

Melowi nie podobała się ta rozmowa. Tych dwóch sztywniaków w eleganckich garniturach oskarżało go o nieczystą grę.

- To prawda, że dwóch policjantów szukało Laver-ta na mój rozkaz. - Nic więcej nie powiedział. Nie miał ochoty dostarczać im dodatkowych informacji.

Widział, jak Laster kiwnął głową na potwierdzenie.

- Dlaczego szukał pan Laverta?

- Rozumiem, że mówimy o poruczniku Lavercie?

- Nie mógł się pohamować. Tych dwóch facetów irytowało go. - Z kim mam właściwie przyjemność?

- spytał nagle Mel. - Chyba nie dosłyszałem nazwisk.

- Był wściekły, ale wiedział, że musi za wszelką cenę powstrzymać się od wybuchu. - A więc z kim mam przyjemność?

- Staples i Crenshaw - powiedział jeden z nich.

- Och, wasze nazwiska tak łatwo wpadają w ucho. Nie myśleli panowie o założeniu jakiejś firmy? Wywożenie śmieci albo tresowanie psów? - Kątem oka dostrzegł, że jego szef z trudem hamuje wybuch śmiechu.
- Panie Haskin...
- Detektywie Haskin lub poruczniku Haskin. Lepiej będzie, jeśli nasza rozmowa pozostanie na poziomie służbowym.
- A więc, poruczniku Haskin - zaczął jeden z nich z udawaną cierpliwością - pan burmistrz chciałby się dowiedzieć, gdzie się znajduje oficer Lavert? Jeżeli coś panu na ten temat wiadomo, byłibyśmy zobowiązani, gdyby zechciał pan nas o tym poinformować. To bardzo ważne dla burmistrza, a jestem przekonany, że ani pan, ani pana szef nie chcielibyście go urazić czy też odmówić współpracy z nami...
- No dobra, chłopcy. Tak naprawdę liczyłem, że Laverta znajdę dziś rano w tym budynku, jako że chciałem zadać mu kilka pytań. - Rzucił spojrzenie w kierunku Lastera Bennetta.
- Kilku moich ludzi szukało go dzisiejszej nocy, ale z tego co zdążyliśmy się zorientować, nie nocował w domu i nikt ze znajomych go nie widział. Jego żona jest bardzo zaniepokojona - dodał niespodziewanie Bennett.
- Mel rzucił mu zdziwione spojrzenie. Nie spodobała mu się ta informacja. Lavert musiał się domyślać, że został zidentyfikowany i uciekł. Ponieważ doskonale orientuje się w systemach operacyjnych policji, praktycznie będzie nie do namierzenia.
- Dlaczego jesteście panowie aż tak bardzo zainteresowani osobą porucznika Laverta? - zapytał nagle

jeden z mężczyzn. - Czyżby dopuścił się jakiegoś karygodnego uczynku?

Mel nie spieszył się z odpowiedzią. Czekał, aż jego szef zajmie w tej sprawie stanowisko. Laster był dużo sprytniejszym politykiem niż on.

- Chcieliśmy zadać mu kilka pytań w związku ze sprawą, którą się ostatnio zajmował.

- Przecież on nie dostał żadnej sprawy. Był oddelegowany do ochrony burmistrza.

- Tak, tak - powiedział Bennett gładko. - Ale od czasu do czasu brał dodatkową robotę. Jakieś niewielkie dochodzenia, żeby nie wyjść z wprawy, i tak się złożyło, że nasze drogi się skrzyżowały. Ma informacje, które dotyczą naszego śledztwa. Sądzę, że będzie szczęśliwy, jeśli zdoła nam pomóc, prawda? Cieszy się przecież tak nienaganną opinią w departamencie - zakończył. Podniósł się z krzesła, dając tym samym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. - Dziękuję panom. Ma się rozumieć, że jeśli znajdziemy porucznika Laverta, natychmiast się z panami skontaktujemy. Wierzmy też głęboko, że jego nagłe zniknięcie nie wróży żadnej tragedii, lecz związane jest z pracą, którą aktualnie wykonuje. Z pewnością też zachce się wkrótce skontaktować ze swoją rodziną. Dwóch garniturowych sztywniaków wstało.

- Gdybyście panowie zobaczyli Laverta przed nami, proszę poinformować go, że burmistrz chce z nim porozmawiać - odezwał się jeden z nich.

- Będę szczęśliwy, jeżeli zdołam przekazać mu tę informację - odparł Laster.

Mel patrzył z ulgą, jak wychodzą. Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi na korytarzu, zwrócił się do szefa:

- Gdzie jest Lavert?

- Przepadł - powiedział Laster, marszcząc brwi i rozkładając ręce.

- Czyli faktycznie przyznał się do winy. A co z jego rodziną? Rzeczywiście o niczym nie wiedzą? Rozmawiałaś z żoną?

- Tylko przez telefon. Zdawała się być naprawdę zaniepokojona. Sądzę, że o niczym nie wiedziała. Mel kiwnął głową. A zatem nie miało sensu branie jej na spytki.

- Potrzebuję kilku chłopaków, szefie.

- Nie ty jeden. Szkoda, że nie możemy zatrudnić ich tylu, by każdy w tym mieście miał swojego ochroniarza. Na co ci oni?

Mel wyciągnął zrobione przez Laverta zdjęcia, na których była Lily i ta druga, tajemnicza kobieta.

- Muszę ją zidentyfikować - powiedział, wskazując na blondynkę w ciemnych okularach.

- Jest zaplątana w jakąś aferę? Podejrzana o morderstwo? Dlaczego musisz ją zidentyfikować? -

Laster pokręcił z niechęcią głową.

Bennett nie na żarty rozzłościł go swoim sarkazmem. Mel najchętniej wyszedłby i demonstracyjnie trzasnął drzwiami, wiedział jednak, że lepszego szefa ze świecą by nie znalazł.

- Chodzi o to porzucone dziecko. Dzisiaj ma się odbyć sprawa przed sądem. Johnsonowie starają się o tymczasową opiekę. Po wczorajszym ataku długo myślałem nad tym wszystkim.

- Chwileczkę, mój drogi, przecież to nie należy do naszego wydziału. Sami mamy około dziesięciu nie rozwiązanych spraw... - Jego głos stał się porażająco

lodowaty. - Jak wiesz, jedno z morderstw burmistrz wykorzystał do swojej kampanii wyborczej, wykazując jednocześnie indolencję policji. Chcę, żebyś tym właśnie teraz się zajął, a nie poszukiwaniem mamusi jakiegoś bachora porzuconego na schodach!

- Tu nie chodzi tylko o porzucone dziecko. - Mel wiedział, że ma niewiele czasu, najwyżej kilka sekund, by wyłożyć swoje argumenty. - To wyjątkowo śmierdząca sprawa, z której może zrobić się niezła afera. Johnsonowie zostali zaatakowani w domu, ale to nie był napad rabunkowy. Napastnik chciał dziecka. To nie jest zwykły porzucony bachor, jak go nazwałeś. Lily Markey także lata za tą historią jak zwariowana. Więcej, można powiedzieć, że siedzi w niej po uszy! A wiesz, jaką ma pozycję w mediach. Nie możemy tego ot tak, po prostu zostawić. Poza tym moje przeczucia mówią mi, że...

- Słuchaj stary, to wszystko brzmi jak kiepski telewizyjny bełkot. Swoje przeczucia możesz sobie wsadzić, gdzie chcesz! W chwili obecnej nie znaczą one nic, poruczniku Haskin. Zero, mniej niż zero. Liczą się tylko dowody!

- O nie, intuicja bardzo pomaga w pracy detektywa. Każdy dobry policjant ją posiada. Wiele razy przekonałem się o tym przez te wszystkie lata. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Ta sprawa z dzieckiem wiele nam wyjaśni. Wiem o tym. Coś mi się wydaje, że ma swoje korzenie głęboko osadzone w departamencie policji, a kto wie, może i w biurze burmistrza! - Wiedział, że balansuje na cienkiej linii, ale nie mógł dopuścić do tego, by przestali zajmować się tą sprawą.

- W biurze burmistrza?

- Tak. Pomyśl tylko, jeśli okazałoby się, że Lavert działał na czyjeś zlecenie? To zbyt cuchnie. Nie możemy sobie pozwolić na zignorowanie tego przypuszczenia.
 - Nie możemy sobie pozwolić na to, by pakować się w kolejne śledztwo, Haskin. Ilu chcesz ludzi?
 - Trzech - powiedział krótko. Go prawda potrzebował dwunastu, ale z trzema też sobie poradzi.
 - Na jak długo?
 - Tylko na dzisiaj. - Miał nadzieję, że w tak krótkim czasie zdoła coś wytropić, a wtedy przekona szefa do dalszego działania.
 - Masz trzech ludzi na osiem godzin. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. I nie zabawiaj mnie więcej opowiastkami o swoich przeczuciach. Konkrety, kochany. Konkrety!
- Mel uśmiechnął się szeroko.
- Dzięki. Postaram się coś przynieść.
 - Ty mi jeszcze nie dziękuj. Gdybyś miał wrócić bez czegoś namacalnego, a zamiast dowodów znów mi przedstawisz tylko swoje przeczucia, to lepiej nie pokazuj mi się na oczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lily otworzyła oczy i przerażona usiadła na łóżku. Na zewnątrz słychać było jakieś głosy. Przez moment nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co się dzieje, jednak po chwili nieco oprzytomniała. Na dworze było już jasno, lecz wciąż nie miała pojęcia, kto stoi na zewnątrz i tak głośno rozmawia. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że kołysanie nie jest wewnętrznym złudzeniem, wynikłym z niecałkowitego rozbudzenia, lecz powodują je fale uderzające o łódkę. Wydarzenia poprzedniej nocy stanęły jej wyraziście przed oczami. Zeskoczyła z koi na podłogę.

- Przecież Kumpel upierał się, żeby tutaj przyjechać - powiedział damski głos.

- Tak, wiem. Kumpla ostatnio coś bardzo gryzie - przytaknął męski głos.

Lily natychmiast go rozpoznała. Należał do Petera Curry'ego, weterynarza i właściciela tego jachtu. Poczuli się jak intruz, żeby nie powiedzieć złodziej. Wzięła głęboki oddech. Nie, nie było innego wyjścia, będzie musiała stawić temu czoło. Ale kto jej uwierzy, że ten czarny kot namówił ją, by tu przyjechała,

a następnie wręczył klucz i nakłonił, żeby przenocowała? Sama myśl o tym była już na tyle absurdalna, że Lily zrobiło się głupio. A co dopiero, gdy będzie musiała wypowiedzieć ją na głos? Zerknęła w stronę Susie. Wciąż jeszcze spała. To jej właśnie groziło więzienie za porzucenie dziecka. Jeśliby Susie aresztowano, jej mąż Wayman bez najmniejszych problemów wydostałby ją z więzienia, i wtedy dopiero dałby jej popalić. Lily nie mogła do tego dopuścić. Wdrapała się po stromych schodach na górę. Ostre słońce oślepiło ją na moment, przymrużyła więc oczy, a kiedy je znowu otworzyła, ujrzała przed sobą ogromnie zaskoczone twarze państwa Curry.

- Wszystko państwu wyjaśnię, choć nie sądzę, żebyście chcieli uwierzyć moim słowom. - Szła w ich kierunku z lekko uniesionymi rękami, by mogli się przekonać, że nie jest uzbrojona.

- Kumpel cię tu przyprowadził - powiedziała bardzo rzeczowo Eleonora Curry.

- Pani w to wierzy?! - zawołała ze zdziwieniem.

- Wiemy, że jest zamieszany w tę sprawę z dzieckiem. A poza tym musiałabym być ślepa, by nie zauważyć, że gdy tylko powstaje jakieś zamieszanie wokół Dawida, również pani wyłania się ni stąd, ni zowąd. Chciałabym się dowiedzieć, jaka jest pani rola w tej historii. I czy to wszystko nie obróci się przeciwko Johnsonom?

Lily usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się nerwowo. Na schodach stała Susie, była tylko w negliżu.

- Dość tej komedii - powiedziała. - To właśnie mi Lily pomagała przez cały czas.

Eleonora i Peter wymienili znaczące spojrzenia.

- Nie sędę, aby trzeba nam było więcej informacji
- powiedział Peter, który do tej pory milczał. Położył rękę na ramieniu Eleonory. - Przyprowadził was tu Kumpel, a to oznacza, że postanowił wam pomóc. Chcielibyśmy jedynie się przekonać, że to, co się tutaj dzieje, służy najlepiej pojętemu interesowi dziecka.

- Ochrona Dawida jest naszym głównym celem

- powiedziała Lily. - Jest mi bardzo przykro, że państwo Johnson znaleźli się na linii ognia, ale naprawdę trudno było przewidzieć, że to wszystko tak się potoczy. Jeśli jednak ktokolwiek może ochronić Dawida, to właśnie oni.

Eleonora kiwnęła ze zrozumieniem głową. Lily wiedziała, że oboje doskonale się orientują, kim dla dziecka jest Susie. Być może nie domyślali się jej nazwiska, ale prawdę mówiąc nie chcieli go znać. Chcieli pomóc swoim przyjaciółom, a zatem także i im.

- Pani nie chce odzyskać dziecka? - Eleonora patrzyła Susie prosto w oczy.

- Decyzja została podjęta, choć może wydać się państwu dziwna i niezrozumiała. - Jej głos zadrżał.

-Jednak bezpieczeństwo mojego syna i jego szczęśliwa przyszłość są dla mnie najważniejsze.

- Rozumiem, że w przypadku legalnej adopcji nie będzie stwarzać pani żadnych problemów? - zapytał Peter.

- Naturalnie, że nie.

Lily nie dopuściła do dalszego wypytywania Susie. Wiedziała, jak wiele ją takie rozmowy kosztują.

- Ojciec dziecka, a mąż mojej przyjaciółki, jest człowiekiem wyjątkowo brutalnym. W okrutny sposób wyżywał się na niej i z całą pewnością takie same

metody zastosowałyby wobec swojego dziecka. Oczywiście nigdy nie pozwoliłyby na oficjalną adopcję. Proszę mi wierzyć, wzięłyśmy wszystkie możliwości pod lupę. Najlepiej będzie dla małego, gdy zostanie uznane za porzucone dziecko niewiadomych rodziców. To najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich.

Peter i Eleonora raz jeszcze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Proszę pozostać na łodzi, jak długo będzie to potrzebne. Spiżarnia jest dobrze zaopatrzona. A jeżeli panie uznają, że możemy im w czymkolwiek pomóc, proszę dać nam znać.

- Bardzo dziękujemy. Może pewnego dnia będę mogła wytłumaczyć powody tego całego zamieszania
- dodała Lily.

Eleonora wsunęła dłoń pod ramię Petera. Odwrócili się i zeszli z pokładu na pomost. Pani Curry odwróciła się jeszcze na chwilę i zawołała:

- Być może. W każdym razie uważajcie na siebie i polegajcie na Kumplu. On naprawdę jest niezwykły.

- Myślałam, że wylądujemy w więzieniu - powiedziała Lily, kiedy państwo Curry znikli z horyzontu.

- Ja też.

- Ale numer...

- Co?

- Susie, to niesamowite. Czy ty nie rozumiesz? My, ludzie jakby nie było dorośli, jesteśmy przekonani, że możemy zdać się na inteligencję kota. Czegoś takiego Jeszcze nie było.

- O rety, co to? Słyszysz?

- To syreny policyjne! - Lily usiłowała je przekrzyczeć.

Złapała Susie za rękę i zbiegły na dół. Pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę to ta, że Peter i Eleonora powiadomili władze, lecz ku ich zaskoczeniu nie po to przyjechała policja. Po chwili dźwięk syren zaczął się oddalać, aż wreszcie całkiem ucichł. Samochody zatrzymały się na pobliskim nabrzeżu. Obserwowały przez okno powstałe zamieszanie. Po chwili wytaszczono na brzeg zwłoki mężczyzny. Najwyraźniej ktoś utonął w Potomaku. Natychmiast obskoczyli go lekarze z karetki pogotowia. Sądząc po ilości radiowozów, nie był to zwykły wypadek.

- Spójrz, tam jest ten detektyw, który prowadzi śledztwo w sprawie Dawida. - Susie wskazała palcem na Mela, zbliżającego się do denata. - Nie wiedziałam, że to taki przystojny mężczyzna - dodała ze zdziwieniem. - Nie, nie. Nie myśl, że jestem nim zainteresowana. W tej chwili żaden mężczyzna nie jest stanie zwrócić mojej uwagi.

Lily uśmiechnęła się pod nosem. Przez ułamek sekundy Susie mówiła jak młoda, zdrowa kobieta. Była wyjątkowo urocza. Jak ten łajdak mógł ją tak traktować? Jednak nawet ten krótki przeblysłk dał Lily nadzieję, że Susie po jakimś czasie zdoła uporządkować swoje życie.

- Ciekawe, kto utonął? - zastanawiała się na głos Susie.

- Myślę, że on wcale nie utonął - odparła Lily.

- To co, morderstwo? - Oczy Susie zrobiły się okrągłe.

- Nie mam pojęcia. W takiej zamożnej okolicy? Może raczej jakaś bijatyka - powiedziała Lily bez zastanowienia.

- No właśnie, przemoc wcale nie zależy od stanu konta. - Susie znów bardzo zmarkotniała. - Wiesz, czasami próbuję sobie wmówić, że to nigdy się nie stało. Jakbym oglądała jakiś film, a nie brała udział w rzeczywistych wydarzeniach. Odrywam się od tego, odsuwam od siebie, a chwilami nawet zupełnie zapominam...

- Zapomnienie wcale nie jest niczym złym, może nawet stać się prawdziwym błogosławieństwem. Ale... dlaczego właściwie nie miałybyśmy sobie trochę dogodzić? - Lily zmieniła nagle temat. - Przygotujmy sobie dobre śniadanko, a potem zastanowimy się, co robić dalej.

- Potrafię przyrządzić najsmaczniejsze tosty francuskie w całym mieście - zażartowała Susie. I znowu zadrzało serce Lily. Jeszcze raz obudziła się w niej nadzieja. Jej przyjaciółka wracała do życia.

- To brzmi cudownie. Już mi ślinka cieknie. Lily włączyła radio i próbowała złapać lokalne wiadomości, lecz nic z tego nie wyszło, a telewizora nigdzie nie znalazła. Zachowanie pozornego spokoju, którym starała się emanować na zewnątrz, wcale nie przychodziło jej łatwo. Czy ten topielec ma jakiś związek z historią Dawida? Gdziekolwiek by się znalazła, zaraz pojawiał się ten detektyw. Do diabła, co to ma znaczyć? Wiecznie depcze jej po piętach, choćby nawet nieświadomie. Zupełnie tak, jakby los się na nią wziął. Ten człowiek dziwnym trafem zawsze wyrastał spod ziemi tam, gdzie go się najmniej spodziewała. A przystojny to on rzeczywiście jest. Wysoki, dobrze zbudowany, inteligentny. No tak, ale znalazł się po niewłaściwej stronie. A zatem przystojny wróg? Czegoś się domyślał, na szczęście niezbyt niedokładnie. Nie,

dzisiaj nie będę się tym zamartwiać, pomyślała Lily. Lepiej będzie, jeśli skoncentruję się na parzeniu kawy.

Mel kiwał głową, słuchając wstępnego raportu prokuratora. Jim Lavert otrzymał śmiertelny postrzał w głowę, a dopiero później został wrzucony do wody. Jeszcze raz spojrzął na ciało i poczuł skurcz żołądka. Zawsze przeżywał śmierć ofiar, nawet w przypadku takiego drania, jakim był Lavert, który tak niedawno próbował go zabić. A teraz leżał bez ruchu na nabrzeżu.

- Zbierz wszystkie informacje, jakie uda ci się zdobyć - zwrócił się do Kenny'ego Banksa, prokuratora.

- I daj mi znać.

- W porządku. Myślę, że do szóstej będę gotowy.

- To dobrze. I dzięki - rzucił krótko Mel. Wiedział, że Kenny będzie pracował tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Mel nie był zdziwiony, że Jim zginął. Wprawdzie na ogół policjanci nie strzelają do siebie, ale tym razem tak właśnie się stało. Lavert musiał wplątać się w coś, co go najwyraźniej przerosło, a jego szef doszedł do wniosku, że stał się niebezpieczny i kazał go zlikwidować. Cholera, zaklął pod nosem Mel, że też nie udało mi się go dorwać. W taki oto sposób wymknął się ważny świadek w sprawie Dawida.

I znowu trzeba będzie zacząć wszystko od początku. Rozejrzał się dookoła. W dokach przycumowane były imponujące łodzie. Podrapał się po głowie. Dlaczego właśnie tu porzucono ciało Laverta? A może to tu go zastrzelili? Trzeba dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielach jachtów.

- Przejdź się po okolicy i dokładnie sprawdź, czy

w którejś łodzi ktoś jest - zwrócił się do jednego z policjantów.

- Szukasz naocznego świadka?

- Raczej nie, ale może ktoś coś słyszał? Albo... czyja wiem? Po prostu trzeba próbować.

Skierował się w stronę dwóch jachtów, stojących w pobliskim doku. Panowała tu absolutna cisza i spokój. Nagle jego wzrok przykuła piękna, imponująca łódź. Jeśli miałby mieszkać na wodzie, to właśnie w czymś takim. Postanowił obejrzeć ją z bliska.

- Należysz kawę? - zapytała Susie, zwabiona przecudnym zapachem, który wypełnił kuchnię.

Lily poczuła, jak żołądek wprost skręca jej się z głodu. Usiadła przy niewielkim kuchennym stoliku. Susie właśnie postawiła na nim wspaniale pachnące śniadanie.

- Pycha - szepnęła i poliała tost syropem klonowym. Obie ochoczo zabrały się do jedzenia, lecz nie zdążyły przełknąć pierwszego kęsa, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Jestem z policji - usłyszały. - Chciałbym zamienić kilka słów.

Susie omal się nie udławiła. Zaczęła chrząkać i kaszleć, a Lily natychmiast podskoczyła do niej, by ją uciszyć.

- Proszę otworzyć. To rutynowa kontrola. Chciałbym zapytać, czy nie słyszeliście państwo ubiegłej nocy niczego podejrzanego?

Serce Lily łomotało jak oszalałe. Wiedziała jednak, że musi wyjść i porozmawiać z policjantem.

Pospiesznie wbiegła schodami na górę. Raptownie otworzyła

drzwi i wpadła prosto w objęcia Mela Haskina. Spojrzał na nią badawczo. Na jego twarzy malowało się niepomierne zdziwienie.

- Porucznik Haskin? - powiedziała powoli, starając się zachować spokój. - Co pan tu robi?

- Również ja chciałbym zadać to pytanie szanownej pani. - Mocno ujął ją za ramię. - Mam dosyć tych gier! - rzucił wściekle. - Wciąż pojawiaasz się w miejscach, w których nie powinno cię być.

Dlaczego? Czy możesz mi to jakoś wyjaśnić? Lepiej byłoby dla ciebie, żebyś potrafiła sensownie się wytłumaczyć - dodał z groźną niecierpliwością.

Nie broniła się, tylko powoli skierowała się w stronę krzeseł na pokładzie. To jedyne, co w tej sytuacji mogła dla Susie zrobić. Widziała, że Mel stawał się coraz bardziej wściekły, a zarazem przeobrażał się w jedną wielką podejrzliwość.

Jak to możliwe, by Lily Markey pojawiała się na każdym zakręcie jego życia? Jakoś nie przemawiało do niego, że właśnie spędza uroczy urlop na jachcie. Weekend w środku tygodnia? Nie, to do niej zupełnie nie pasowało. Panna Markey w tym względzie była taka jak on: zawsze w pracy. Dostrzegł ślad syropu na jej ustach. A więc przeszkodził w śniadaniu.

- Zdaje się, że przerwałem ci posiłek. Możemy porozmawiać na dole, to skończysz jeść - powiedział niespodziewanie.

- Już się najadłam - ucięła krótko. - Wolę zostać tu, na słońcu. Powiedz, co się stało w doku?

Widziałam to całe zamieszanie, policję, karetkę... Czyżby jakieś morderstwo?

Piękny wywód. Nie była jednak zbyt zaskoczona

jego wizytą. Musiała go dostrzec przez okno i najwyraźniej nie próbowała tego ukrywać.

- Tak, mamy morderstwo. Facet z postrzałem w głowę. Z dwudziestki dwójki.

- Jakies porachunki gangów? Tutaj? W tak spokojnej i dostojnej okolicy?

- Może, kto to wie? Albo porzucono tu ciało.

- Dlaczego tutaj? - zapytała ponownie Lily.

Jej reakcja potwierdziła wszystko to, o czym myślał Mel. Nabrzeże nie było dobrym miejscem ani na morderstwo, ani na porzucenie ciała. Lecz tak właśnie się stało.

- To był jeden z ochroniarzy burmistrza - powiedział jakby nigdy nic. - Zresztą glina.

Widział, jak krew odpływa jej z twarzy. Starła się za wszelką cenę opanować, ale dostrzegł, jak oczy Lily wypełnia strach. W końcu, po dłuższej chwili, udało jej się pozbierać. Mel poczuł się jakoś dziwnie. Fakt, że wiadomość tak bardzo przeraziła Lily, ową nieustraszoną reporterkę, zaskoczył go i rozwścieczył zarazem. W co ta szalona kobieta się wplątała? Z drugiej jednak strony zaczęło go zastanawiać, dlaczego śmierć ochroniarza burmistrza tak bardzo ją przeraziła. Ją, wytrawną dziennikarkę, która przywykła do tego typu historii. Zawładnęło nim jakieś przedziwne przeczucie. Wiedział, że jest na dobrym tropie, choć nie był jeszcze pewien, jakie należało zadać pytanie.

- Lily, chwileczkę. Powiedz, nad czym ty tak naprawdę pracujesz? Tylko nie kręć. Czy to dotyczy burmistrza Torrella?

Nie odpowiedziała od razu. Z wyrazu jej twarzy

domyślił się, że próbuje zgadnąć, ile on już wie na temat tej sprawy.

- Nie pracuję nad niczym, co w jakimkolwiek stopniu związane byłoby z burmistrzem. - Jeśli chodzi o blefowanie, Mel był niezastąpiony, pomyślała. Ale ja też nie jestem najgorsza.

- Zatem z jego pracownikami - powiedział powoli i wiedział, że uderzył w czuły punkt.

- Dlaczego nie zapytasz mnie o morderstwo? Przecież po to tu przyszedłeś, żeby dowiedzieć się czegoś od ludzi, którzy byli w tym czasie na łodziach. Powinno cię interesować, czy ktoś coś zobaczył albo usłyszał. - Spojrzała mu prosto w oczy. - No więc oświadczam ci, że nie słyszałam i nie widziałam niczego. Pewnie spałam, gdy to się wydarzyło. Wystarczy? - Wstała, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Jesteś tu sama? - Mówiąc to, poczuł ukłucie zazdrości. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Lily mogła tu być z mężczyzną, który niecierpliwie czekał na nią na dole. Teraz jednak pomysł, żeby spędzić z Lily noc na pokładzie „The Illusion” - bo tak nazywał się jacht - wydał mu się niezwykle ekscytujący.

- Tak - odparła nieporuszona. - Chciałam trochę odpocząć i przemyśleć parę rzeczy.

Opuściła wzrok.

Dostrzegł w tym geście coś dziwnego, nietypowego dla tej kobiety i natychmiast stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Była kiepskim kłamcą. Jego wzrok pobiegł natychmiast w kierunku schodów prowadzących na dół. Podniósł się z krzesła i ruszył w tamtą stronę. Lily przebiegła przez pokład i zagroziła mu drogę.

- W żadnym wypadku! Nie pozwalam. Nie przesadzaj. To najście. Chyba że masz nakaz... - powiedziała wściekle.

Mel był zdziwiony siłą jej reakcji. Jeśli była z mężczyzną, nie musiała przecież z tego powodu robić takiej afery. Ale być może... Nie da się ukryć, że przyciskanie jej do muru sprawiało mu dziwną przyjemność.

- Jeśli nie masz nic ani nikogo do ukrycia, dlaczego nie pozwolisz, żebym się trochę tu rozejrzał? - zapytał.

- To kwestia zasad, Haskin. Nie ma powodu, dla którego miałbyś tu węszyć i zakłócać moją prywatność.

- Stała wyprostowana jak posąg. Nie cofnęła się nawet o milimetr.

Co za upierdliwa baba, pomyślał wściekły. Lecz z drugiej strony szanował ją i doceniał. Nie było dla niej sytuacji bez wyjścia.

- Chodzi o zasady, czy też masz coś do ukrycia?

- Naprawdę ją uwielbiał, jednak nie zamierzał jej odpuścić. Na przykład musiał się dowiedzieć, z kim była? Więc jednak mężczyzna... Znowu to cholerne ukłucie zazdrości. Lepiej skonfrontować się z faktami, niż dać się zezreć temu uczuciu. Tak, tego naprawdę potrzebował, kubła zimnej wody, który ostudziłby złudne nadzieje i głupie zapędy.

- Jeżeli nie masz nakazu, niczego się nie dowiesz

- powiedziała twardo Lily i zablokowała ciałem zejście w dół.

Mel zrobił jedną ze swoich groźnych min i podszedł bliżej. Każda normalna osoba automatycznie cofnęłaby się, ale nie ona. Stał tuż przed nią. Widział jej rzęsy. Były długie i zadziwiająco mocno wywinięte do góry. Czarne jak noc, kontrastowały z jasną karnacją. Potem

dłuższy czas patrzył jak zaczarowany w jej szmaragdowe oczy i w żaden sposób nie mógł od nich oderwać wzroku. Kiedy wreszcie mu się to udało, spojrział w dół, na pełne wargi. Ich boski wykrój i cudowna barwa sprawiły, że przeszył go dreszcz. Zrodziło się w jego głowie pragnienie, które go przeraziło. Czuł, że za moment popełni zawodowe samobójstwo, czego potem będzie żałował do końca swych dni. Jednak tym razem nie był w stanie i nie chciał słuchać swoich przeczuć. Pochylił głowę i powoli przybliżał do jej twarzy swoje rozpalone usta. Nie złapał jej wpół i nie przyciągnął do siebie. Miała możliwość usunąć się, jednak tego nie zrobiła. Ich usta spotkały się w namiętym pocałunku. Nie broniła się, co więcej, poddawała nastrojowi chwili, jakby już długo na nią czekała. Nie warto zgadywać, dlaczego ta kobieta pojawiła się w jego życiu, po prostu połączyło ich przeznaczenie. Ręce Mela wolno zsunęły się wzdłuż ciała Lily i oplotły jej talię. Mocno przyciągnął ją do siebie i jeszcze silniej przywarł do jej ust. Nie myślał już o podrzuconym dziecku ani o morderstwie, lecz rozkoszował się każdą ofiarowaną mu od losu sekundą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lily miała wrażenie, że śni. Co dzieje się z tym facetem? Najpierw sroży się i robi jej wyrzuty, a zaraz potem całuje ją jak najczulszy kochanek. Choć tego akurat nie miała mu za złe. Gdy objął ją i przyciągnął do siebie, kompletnie się zapomniała. To było cudowne uczucie. Niemniej zaskoczyła ją jej własna reakcja na dotyk tego mężczyzny. Nie tylko pragnęła, aby pocałunek nigdy się nie skończył, ale dałaby wszystko, by Mel przytulił ją tak mocno, że aż straciłaby dech. I to właśnie było najdziwniejsze. Od dawna nie pozwoliła zbliżyć się do siebie żadnemu facetowi, jednak temu nie mogła się oprzeć. Działał na nią jak narkotyk. Gdyby mogła to ogarnąć rozumem, na pewno nie posunęłaby się tak daleko. Nie potrafiła jednak zapanować nad sytuacją. Nagle przypomniało jej się, że na dole czeka na nią przerażona Susie. To ją przecież miała chronić, nie bacząc na trudności, niebezpieczeństwa i... wyrzeczenia. Wzięła więc głęboki oddech, zrobiła krok do tyłu i patrząc Melowi prosto w oczy, powiedziała:

- Tam nie ma nikogo. Dobrze o tym wiesz. Dostrzegła drobną zmianę w jego spojrzeniu. Wiedziała już, że wygrała. Nie może teraz nalegać, by oprowadziła go po jachcie. Oboje przekroczyli pewną granicę, która narzuciła nowe reguły gry. Coś niezwykłego zaiskrzyło między nimi. Namiętność, pożądanie, szalone pragnienia... Każdy dotyk lub szept wywoływał w ich ciałach burzę zmysłów. Nie będzie łatwo o tym zapomnieć. Nie będzie łatwo wyrwać się z objęć Mela. Przez te krótkie sekundy nic nie liczyło się bardziej niż on. Tego nie dało się po prostu zapomnieć. Wiedziała, że jeszcze nigdy nie stąpała po tak niepewnym gruncie.

- Gdzie znajdę cię dziś wieczorem? - zapytał Mel, gdy udało mu się zapanować nad swoim przyspieszonym oddechem.

- Mam nadzieję, że w domu.

- Mogę zaprosić cię na kolację?

Lily poczuła zawrót głowy. A więc nie było już odwrotu, choć co prawda najpierw powinien zaprosić ją na randkę, a dopiero potem całować. Lekko się uśmiechnęła, lecz szybko spoważniała. Jakoś dziwnie to wyszło: okłamała go, a on zabiera ją na kolację.

- Myślę, że powinniśmy pogadać - odparła po chwili. Musi jakoś mu to wszystko wyjaśnić, powinien wreszcie zrozumieć jej punkt widzenia.

- Tak. Byłoby dobrze, gdybyś powiedziała mi prawdę. Wiem, że jesteś po uszy uwikłana w tę aferę. Nie chciałbym, aby przytrafiło ci się coś złego.

Była przekonana, że jest z nią szczerzy. Tym razem nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Będę ostrożna - obiecała.

- Przyjadę po ciebie o ósmej. *Zarezerwuj* sobie trochę czasu, byśmy mogli spokojnie porozmawiać. Mogła znaleźć tysiąc powodów, by mu odmówić. No cóż, gdyby nie był Melem Haskinem, zrobiłaby to bez wahania...

- A więc do ósmej - powiedziała. Rozejrzał się raz jeszcze po łodzi.

- Chyba lepiej będzie, jeśli powrócę na ziemię. - Mówiąc to, przeszedł przez pokład, a ona obserwowała jego każdy ruch. Był zwinny jak kot. Gdy zeskakiwał na pomost, odwrócił się, spojrzał na nią przeciągle i zapytał: - To twoja łódź?

- Nie, należy do mojego przyjaciela. - Wiedziała, że brzmi to mało przekonująco. Zrobiło jej się głupio. Mel był naprawdę inteligentnym facetem i już wkrótce dowie się, kto jest właścicielem tego jachtu, oraz że państwo Curry są blisko z Johnsonami. Po co więc znowu skłamała? Żeby zyskać na czasie?

- Też chciałbym mieć takich przyjaciół - odpowiedział z uśmiechem.

- Do zobaczenia wieczorem, Mel. - Odwróciła się i zaczęła schodzić w dół. Chciała zniknąć z pola widzenia, zanim zada jej kolejne kłopotliwe pytanie. Wiedziała, że czym prędzej musi przetransportować Susie w jakieś inne bezpieczne miejsce, by w końcu móc wsadzić ją w samolot do Londynu. Miała straszne zaległości w pracy. Nawet nie zdążyła dokończyć artykułu. Kiedy tylko pojawi się w redakcji, szef urwie jej głowę.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Susie. Znalazła ją w kuchni. Siedziała na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach, skulona i przerażona.

- Nie martw się, Susie. Wszystko jest w porządku
- zapewniła ją Lily, najspokojniej jak potrafiła. - Muszę wyskoczyć do biura. Postaram się znaleźć dla nas jakąś inną kryjówkę i natychmiast wrócę po ciebie
- dodała prędko.

Gdy Susie usłyszała jej głos, uniosła głowę do góry. Była blada jak ściana.

- Ten facet... ten, którego wyłowili z rzeki... słyszałam wszystko... on pracował dla Waymana. - Jej głos drżał.

Lily pokiwała głową. Zastanawiała się przez chwilę, jak musi czuć się kobieta, która podejrzewa, że ojciec jej dziecka jest mordercą.

- Wayman specjalnie tutaj porzucił ciało. On dobrze wie, że tu jesteśmy. Wszystko stracone.

Obserwuj nas... - Rozplakała się.

Lily złapała ją za ramię.

- Nie, Susie. Gdyby wiedział, nie oszczędziłby nas. Na pewno nie wie, gdzie jesteśmy, i to go rozwściecza.

- Nie mam pojęcia, ale umieram ze strachu. Lily, ty go nie znasz!

- Uspokój się. Najlepiej połóż się trochę i odpocz- .nij. Może uda ci się zasnąć. Naprawdę muszę lecieć do redakcji. Poradzisz sobie jakoś?

Susie kiwnęła głową.

- Przecież nie mam innego wyjścia. - Znowu ukryła twarz w dłoniach. - Może źle postąpiłam? Może powinnam zabrać Dawida i wrócić do niego? Może mi jakoś wybaczy? W końcu nie ma żadnej pewności, że będzie brutalny również wobec naszego syna.

Lily odczuła pierwsze oznaki paniki. Już kiedyś słyszała coś podobnego z ust swojej siostry, choć Babs

dobrze wiedziała, że to ułuda. Za każdym razem, kiedy wracała, mąż dawał jej jeszcze większy wycisk niż poprzednio.

— Obiecuj mi, że nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie wrócę - wyrzuciła z siebie Lily. - Postaram się być i powrotem za godzinę, najwyżej półtorej. Wtedy coś wymyślimy. Znajdziemy dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce. Przysięgam, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Dobrze — wymamrotała Susie beznamiętnie. Była pogrążona w beznadziejnej rozpacz.

„Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda, a my płyniemy w dal...” - miau... Jaka to cudowna piosenka, ale jakoś dzisiaj nie pasuje do Potomaku. Mimo tego co się wydarzyło, dookoła unosi się intrygujący zapach wody, a fale delikatnie głaszczą łodzie zacumowane w dokach. Ale dla Laverta nie był to zbyt radosny dzień, choć nie można powiedzieć, żeby sobie na taką śmierć nie zasłużył. Poza tym wiedział, dla kogo pracuje... Strach pomyśleć, co będzie z Lily i Susie, gdy ten cały Wayman dorwie je w swoje łapy. Lepiej o tym nie myśleć. A tak swoją drogą, wcale nie było trudno ukryć się przed glinami, kiedy krążyli po okolicznych dokach. Zresztą na ogół ludzie nie zwracają uwagi na koty. Interesujące przeżycie, obserwować policję przy pracy. Biedna Lily pewnie umierała ze strachu, że je nakryją, ale wygląda na to, że teraz ma całkiem inny problem... To już nie morderstwo czy nawet Susie, ale... Mel. Niezła para: zajadła reporterka i detektyw-twardziel. Muszę przyznać ze skruchą, że trochę podglądałem,

kiedy... się całowali, ale między nimi już od dawna przepływały jakieś fluidy. Kiedy się spotykają, aż iskrzy w powietrzu. Zupełnie jak z Klotyldą i ze mną. Ciekawe, ile czasu zajmie im odkrycie, że są dla siebie stworzeni. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie dostrzegają takich oczywistych rzeczy. No dobra, muszę lecieć. Klotylda czeka na mnie i pewnie się już niecierpliwi. Wprawdzie Preston wynajął ochroniarzy, żeby pilnowali domu, ale i tak muszę mieć na to wszystko oko. Choć przyznaję, cieszę się, że to zrobił. Zeszłej nocy sam patrolowałem całą okolicę. Wierzcie mi, jestem na ostatnich łapach. Potrzebuję odrobiny snu i czegoś smacznego na ząb. Nie, lepiej w odwrotnej kolejności. Najpierw przekąska, a potem chrapan-ko. Poza tym muszę koniecznie porozmawiać z Melem. Może uda mi się ukazać mu tę historię w innym świetle. Wiem, jakie podłe miał dzieciństwo, ale i ja, gdy byłem mały, poznałem życie od nie najlepszej strony. Porzucenie, to rzeczywiście obrzydliwa sprawa. Niemniej nie potępiałbym wszystkiego w czambuł. Czasami zdarzają się zupełnie wyjątkowe sytuacje, z których nie ma dobrego wyjścia. Ciekawe, czy Mel będzie umiał to zaakceptować. W końcu było kilka filmów na ten temat. Nie sądzę jednak, żeby ten twardziel chodził do kina. Sam się do niego pofatyguję i trochę powęszę. Może znajdę coś, dzięki czemu zdołam to i owo wbić mu do głowy. Ten duży facet musi zmienić swój sposób myślenia. Całe szczęście, że mieszka po drodze. Inaczej chyba nie dałbym rady, bo ledwo powłóczę łapami. Myśl o mojej miękkiej, aksamitnej poduszce, która czeka na moim ulubionym oknie, przyprawia mnie o zawrót głowy. Kwietniowe

słońce przypieka już całkiem mocno, zwłaszcza przez szybę. Uwielbiam wygrzewać tam moje obolałe kości. Kochana Eleonora. To tylko dzięki niej żyję w takim luksusie. Ale służba nie drużba. W końcu nie jestem zwykłym kocurem. Inaczej popędziłbym prosto do domu, wrzucił coś na ruszt i zwinął się w kłębek na mojej czerwonej podusi. Co się odwlecze, to nie uciecze. Najpierw obowiązek, a potem przyjemność. O, proszę bardzo, idzie nasz porucznik... Nie wie jeszcze, że od tej chwili towarzyszyć będzie mały czarny cień na czterech łapach.

Mel wsiadł do samochodu i ruszył w stronę miasta. Rozmyślał właśnie o tej kobiecie, która była na fotografii razem z Lily. Przyszło mu do głowy, że to ona mogła być na jachcie. Dlaczego był przekonany, że to Jakiś facet? No cóż, zazdrość zmała mu zdrowy rozsądek. Czy to tę blondynkę ukrywała Lily? Bo że kogoś ukrywała, tego był pewien. Prowadziła bardzo niebezpieczną grę. Zastanawiał się, dlaczego go okłamała. On też kilka razy w swoim życiu wymyślał jakieś niestworzone historie, żeby kogoś ochronić lub nie zranić. Czasami była to jedyna droga do prawdy. Lecz po co robiła to Lily? Od tej odpowiedzi zależało bardzo wiele. Tylko jeden Bóg wiedział, jak bardzo Mel pragnął tej kobiety. Każda myśl o niej przyprawiała go niemal o utratę zmysłów. Jej usta, oczy, włosy...

- Haskin, jesteś głupcem - powiedział głośno, wjeżdżając na obwodnicę miasta.

- Miau!

Kumpel przekrzywił łebek i wpatrywał się w Mela. Jeśli chodzi o tego kocura, zdążył się już przyzwyczać,

że pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach i najdziwniejszych miejscach. Wcale nie potrzebował zaproszenia.

- Miau! - rozległo się ponownie, a zaraz potem Kumpel zaczął stukać łapą w kierownicę. Wystawił pazury i delikatnie przytrzymał prawą dłoń Mela.

- Chcesz, żebym skręcił? - Mel zaczął się zastanawiać, czy całkowicie oszalał, czy też jeszcze jest przed nim jakaś nadzieja. - A skąd wiesz, dokąd jedziemy?

Kot mocniej wbił pazury, jakby chciał powiedzieć: „Skręcaj, nie marudź”.

Mel posłusznie skręcił więc w prawo. Miał wprawdzie mnóstwo rzeczy do roboty, ale kocur był tak fascynujący, że nie sposób było mu odmówić. Po chwili zorientował się, dokąd jadą. Jego zdziwienie nie miało granic.

- OK, masz rację. Muszę przesłuchać sekretarkę - sam przed sobą usiłował z honorem wybrnąć z sytuacji. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że kot kieruje jego poczynaniami. - Ale muszę cię ostrzec, zaraz potem jadę do biura.

Zaparkował i weszli do budynku. Przyglądał się, jak Kumpel z zainteresowaniem przechadzał się to tu, to tam. Oczami znawcy oglądał modernistyczne obrazy wiszące na ścianach i oceniał stare meble.

- No dobra, wiem, to niezbyt imponujące mieszkanie. - Przycisnął guzik automatycznej sekretarki. Jako pierwszy nagrał się Laster Bennett. Chciał wiedzieć, co się dzieje z Melem. Potem burmistrz Torrell prosił o natychmiastowy kontakt. Dalej jakiś głuchy telefon i na końcu informacja od Chrisholma: „Cześć, Mel. Mamy pewien ślad dotyczący tej kobiety ze zdjęcia. Zadzwoń do mnie”.

Szybko wystukał numer.

- Witaj, Chris. Dzięki za wiadomość. Czy możesz teraz wpaść do mnie z Tannerem i Barrettem?

- Jasne. Niedługo u ciebie będziemy.

- Dobra, czekam.

Poszedł do kuchni i nastawił kawę, podczas gdy Kumpel nadal węszył po kątach. Wyraźnie zafascynowała go kolekcja kaset wideo. Mel lubił kino, więc trochę się tego zbierało.

- No co, stary, podoba ci się coś? Niestety nie znajdziesz tu „Księgi Dżungli” ani „Króla Lwa”.

Zaskoczyło go przenikliwe spojrzenia Kumpla.

- Wybacz, nie chciałem cię dotknąć - powiedział, a potem głośno się roześmiał.

Kot nie tracił czasu, tylko łapą wygrzebał z półki Jeden z filmów.

- Chcesz obejrzeć „Smażone zielone pomidory”? Dobra. - Mel wyjął kasetę z opakowania i wsunął do wideo. - Masz około dwudziestu minut, bo potem zawiozę cię do Johnsonów. Nie mam pojęcia, jakim cudem przemieszczasz się z miejsca na miejsce, ale ja odwiozę cię tam osobiście. Przy okazji dowiem się, czy u nich wszystko bez zmian. - Przycisnął start.

Jego oczy zrobiły się całkiem okrągłe, gdy Kumpel uruchomił łapą przewijanie i usiadł, jakby oczekiwał na jakąś konkretną scenę. Mel zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, dlatego oparł się o poduszkę

i po prostu czekał. Nie trwało to zbyt długo, bo Kumpel zatrzymał przewijanie i na ekranie ukazała się młoda, pobita kobieta. Przycisnął „stop,” zeskoczył z sofy i po chwili wrócił ze zdjęciem Lily i Susie w pyszczku.

- Miau!!!

Zdumiony Mel natychmiast się domyślił, o co chodzi Kumpłowi.

- Chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta była bita przez męża? Ale to nie jest jeszcze powód, żeby porzucać niemowlę. Przecież jest prawo. Mogła zwrócić się po pomoc albo legalnie oddać dziecko do adopcji.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

- Poczekaj, stary.

Otworzył drzwi. Zobaczył uśmiechającego się promiennie Chrisholma.

- Cześć, Mel. Mamy dla ciebie kilka informacji. Jak sądzę, trochę cię zaskoczę. Nigdy byś nie zgadł, kim jest ta kobieta ze zdjęcia.

Szef zmierzył Lily od stóp do głów. Wciąż jeszcze było jej cholernie głupio. Wypowiedziane przez niego słowa, a raczej wyrzuty, sprawiły jej wielką przykrość, wiedziała jednak, że miał rację. Ostatnio zupełnie odpuściła sobie redakcję, jako że sprawa bezpieczeństwa Susie wypełniła jej wszystkie myśli. Mimo gorzkich słów szefa, wiedziała, że jej decyzja była słuszna. Kiedy się wszystko w końcu wyjaśni i będzie mogła wytłumaczyć swoje postępowanie, na pewno ją zrozumie. Na razie musiała walczyć o przetrwanie.

Kiedy wróciła na nabrzeże, dostrzegła dwa radiowozy zaparkowane tuż przy doku, w którym zakotwiczona była łódź państwa Curry. Podeszła do dwóch policjantów przesłuchujących starszą kobietę.

- Ona po prostu otworzyła drzwi, wyciągnęła mnie z samochodu i odjechała - uskarżała się staruszka. Była bardzo zdenerwowana. - To straszne! - Wymachiwała rękami. - Rozbój na prostej drodze.

- Przyjrzała jej się pani dokładnie?

- Tak. Ciemne włosy, ciemne oczy... niezbyt wysoka. No, taka... zwyczajna. Tylko jedno budziło moje wątpliwości. Miała szalony wyraz twarzy. Absolutnie szalony. To przepraszała mnie, mówiąc, że wcale nie chce mi tego robić, to znowu krzyczała, żebym się pospieszyła, bo musi ratować swoje dziecko.

Lily zamknęła oczy. Spojrzała w kierunku łodzi, ale wiedziała, że nie ma po co tam wracać. Susie postanowiła działać na własną rękę. Była w drodze... ale dokąd? Lily bez słowa pobiegła do samochodu. Wskoczyła do środka i ruszyła z piskiem opon.

- To jest jej przyjaciółka! - krzyknęła starsza kobieta, wskazując na odjeżdżający samochód. - Widziałam je obie dzisiaj rano na pokładzie. Zatrzymajcie ją!

- Stać! - wrzasnął młody policjant, usiłując przekrzyczeć ryk silnika.

Lily, mimo że usłyszała jego okrzyk, nie miała najmniejszego zamiaru dostosowywać się do tego żądania. Musiała czym prędzej znaleźć Susie. Mocno zacisnęła palce na kierownicy. Droga była wąska i mokra, a za jej samochodem wciąż pędził wrzeszczący policjant. Musi go zgubić. Przycisnęła pedał gazu do dechy. Silnik zawył żałośnie. Przy odrobinie szczęścia uda jej się uciec. Jechała wzdłuż rzeki, a potem nagle skręciła ostro w prawo, aż nią zarzuciło. Teraz nie miał już szans. Znowu nadepnęła gaz do dechy i znikła z pola widzenia. A więc jeszcze raz udało się, pomyślała. Odetchnęła ciężko i trochę zwolniła. W tym momencie Jakiś czarny sedan wyskoczył z podporządkowanej ulicy i zajechał jej drogę. Lily zaklęła ze złością.

Musiła ostro zahamować, żeby go nie staranować. Zatrzymała samochód i wyskoczyła z niego jak oparzona. Gdy była zaledwie kilka kroków od niego, drzwi otworzyły się i wysiadł z niego Mel Haskin. W ślad za nim pojawił się czarny kot.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dłuższą chwilę Mel stał i przyglądał się jej bacznie, aż nagle wszystko przybrało zawrotne tempo. Nim Lily zdołała zorientować się, co się dzieje, znalazła się w policyjnym wozie. Zauważył, że zrobiła się przerażająco blada, a w jej pięknych oczach pojawił się wyraz szaleństwa. Usta zwęziły się w jedną wąską kreseczkę, a gdy Mel zapytał o Dawida, prawie całkowicie znikły z jej twarzy. Nawet nie drgnęła, gdy zakomunikował, że zabiera ją na posterunek. Dopiero gdy oznajmił, że zidentyfikował matkę podrzuconego dziecka, policzki Lily oblały się mocnym, szkarłatnym rumieńcem. Do tej chwili wyglądała niebezpiecznie, teraz jednak wprost buchała wściekłością. W takim stanie najłagodniejsi ludzie popełniają najcięższe zbrodnie.

- Sama rozumiesz, że Susie Bishop za porzucenie dziecka trafi do więzienia. A ty pomagałaś jej uknuć ten cały plan...

Nie odezwała się ani słowem. Mel już żałował, że pozwolił sobie na tak szorstkie i bezceremonialne starcie z Lily. Niepotrzebnie zagrały w nim emocje.

Zdał sobie sprawę, że gdyby wybrał inną taktykę, być może zdecydowałyby się na współpracę z policją. W tej chwili ich tak nieodległy pocałunek stał się jak senne złudzenie. Po tym, co teraz zaszło, z pewnością Lily nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wręcz ziała nienawiścią. Gdyby miała przy sobie pistolet, z całą rozkoszą wpakowałyby w Mela cały magazynek. Nie miał złudzeń, tylko tego mógł się po niej spodziewać.

- Miau! - Czarny kocur przeskoczył do przodu i usiadł między nimi, tym samym przerywając smętne dywagacje Mela. Spoglądał to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał sprowokować choćby najmniejszą wymianę zdań.

Lecz w tej sytuacji jakakolwiek próba mediacji między zajadłą reporterką i brutalnym policjantem z góry skazana była na klęskę. Kumpel jednak nie rezygnował. Głośno i przeciągle mruczając, ocierał łebek o ramię Lily.

- Zdrajca! - syknęła jadowicie.

- Kumpel nie ma z tym nic wspólnego - powiedział Mel. - Wpadł nam w ręce film zrobiony przez Jima Laverta. Były na nim zdjęcia twoje i Susie.

Przez moment wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana, a potem głośno jęknęła. A więc udało mu się wywołać w niej jakąś reakcję. Sprawilo mu to zaskakująco dużą przyjemność. Lecz już po chwili znowu odwróciła się i zacisnęła usta.

- Lavert śledził was. Wtedy, kiedy opuściłaś dom Johnsonów, po napadzie... Pamiętasz?

Sfotografował Susie, jadącą twoim samochodem. Tobie też zrobił kilka niezłych fotek. Na początku mieliśmy kłopoty, bo zmyliła nas ta blond peruka, w końcu jednak się

udało. A skoro chłopakom z wydziału się powiodło, to również komuś innemu może się udać. Takie właśnie zadanie otrzymał Lavert, zanim dostał kulkę w głowę.

Tego było za wiele. Lily, słysząc te przerażające słowa, zaczęła drzeć na całym ciele, a w jej oczach pojawiły się łzy. Mel musiał ze wszystkich sił zaciąć się w sobie, aby nie zatrzymać samochodu i nie wziąć jej w ramiona. Teraz naprawdę nie mógł sobie pozwolić na tego typu zachowanie. Nieważne, jakimi pobudkami kierowała się Susie, i tak będzie musiała odpowiedzieć za to, co zrobiła.

- Miau! - Kumpel trącił nosem łokieć Lily. Wzięła go na kolana i zaczęła głaskać jego błyszczące futerko. Naprawdę ufała temu kocurowi.

- Kumpel i ja oglądaliśmy dzisiaj rano kawałek filmu... - powiedział Mel, chcąc przerwać milczenie.

- Właściwie to on zachowywał się tak, jakby koniecznie chciał, abym obejrzał pewien fragment „Smażonych zielonych pomidorów”. Ten kawałek ze zmaltretowaną kobietą. Wiesz może, o co mu chodziło? - Cały czas obserwował Lily. Obawiał się, że za chwilę gruntownie go podsumuje.

Ona jednak odwróciła głowę i spoglądała na niego z zainteresowaniem.

- Dokładnie wiem, co ci Kumpel próbował wytłumaczyć. - To były pierwsze słowa, jakie powiedziała do Mela, odkąd wyjechali z portu.

To go ośmieliło.

- Więc mi to wyjaśnij.

- Czasami kobieta nie ma wyboru, ale ty nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Trochę cię rozumiem, bo rzeczywiście niełatwo sobie wyobrazić, że ktoś cię

katuje, bo na przykład zupa jest za słona albo za zimna. Albo ręcznik krzywo wisi... Wierz mi, nie każdy czuje się na siłach walczyć z czymś tak obezwładniająco strasznym.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Wayman Bishop bił swoją żonę? Prawa ręka burmistrza? Facet odpowiedzialny za ostatnią kampanię dotyczącą bezpieczeństwa kobiet na ulicach Waszyngtonu?

- Bitą, to mało powiedziane. Susie ukrywa się od dwóch tygodni, ale to nie jest gra w chowanego, to nie są żarty! Do tej pory Wayman nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest jego żona. - Zamilkła na chwilę.

- Widzę, że mi nie wierzysz. Proszę, sprawdź, ile razy trafiła na izbę przyjęć Lakeland Memorial Hospital z połamanyimi kośćmi, oparzeniami i najróżniejszymi obrażeniami. Nawet wtedy, gdy była w ciąży!

- Przecież szpitale mają obowiązek zgłaszania takich rzeczy, to znaczy jeśli zachodzi podejrzenie, że obrażenia powstały na skutek przemocy w rodzinie. Na pewno wiedziałbym o tym, gdyby został złożony raport na Waymana Bishopa.

- Pomyśl wreszcie przez chwilę, człowieku! - Zacisnęła tak mocno palce na jego ramieniu, że aż syknął.

- Chyba raz możesz użyć swego małego mózdzku? Która przerażona kobieta, panicznie bojąca się męża, złoży na niego skargę? Dobra, nie męcz się. Odpowiem za ciebie: żadna! Wykaż się odrobiną wyobraźni. Wiesz, co by ją za to spotkało? Oficjalne powody obrażeń bywają różne. Te nieszczęśnice albo spadają ze schodów, albo przelatują przez drzwi, albo wpadł na nie pies i się przewróciły, albo, albo... To bez znaczenia. Nikt nie wnika w szczegóły, bo nikomu nie zależy na prawdzie.

Rozluźniła dłoń i poczuła ciepło jego skóry. Była na niego autentycznie wściekła. Nie miało to jednak Żadnego wpływu na emocje iskrzące między nimi, bowiem działały na innych falach, były ponad wszystko. Mel także o tym wiedział. Próbował zebrać myśli. Zapadło krótkie milczenie.. To jasne, Lily święcie wierzy w to, co przed chwilą powiedziała, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Był tylko jeden problem: Mel nie mógł tak po prostu kupić podobnej opowiadki, a Już na pewno nie w całości. Wciąż nie usprawiedliwiała to porzucenia dziecka. Istniało wiele innych rozwiązań.

- Susie nie jest jakąś prostytutką lub przez nikogo niechcianą sierotą. To kobieta po studiach. Swego czasu zajmowała wysokie stanowiska. Wcale nie musiała tolerować brutalności swojego męża. A poza tym, gdy tylko przekonała się, że również dziecko może znaleźć się w niebezpieczeństwie, natychmiast powinna była podjąć prawne kroki, żeby je uchronić. Tak właśnie postąpiłaby każda dobra matka.

Lily patrzyła mu teraz prosto w twarz.

- Człowieku, na jakim świecie ty żyjesz? Pracujesz w policji, twoim chlebem powszednim są ludzie spaczeni, przestępcy i zbrodniarze, a opowiadasz mi tu Jakieś banialuki, jakby naszą rzeczywistością rządziły sprawiedliwość, miłość i prawo! Nie udawaj, że wierzysz w te bzdury, bo aż takim idiotą chyba nie jesteś. Z Waymanem nie ma żartów! Nie wiesz, czym mogło się to skończyć dla Susie? Trwałym kalectwem albo nawet śmiercią. Nie mówiąc o dziecku. Nie chciała, by Wayman zrobił z niego takiego potwora, jakim sam Jest. Doskonale to rozumiem. Właśnie bezgraniczna

miłość do Dawida zdecydowała o tym, że Susie się go wyrzekła. Myślisz, że taka decyzja jest łatwa? Wiesz, ile łez ta kobieta wylała i w jakiej jest rozpacz?

Mel zwolnił i zatrzymał się w pobliżu parku. W oddali małe dzieci bawiły się na placu zabaw. Przyglądał się przez dłuższą chwilę ich igraszkom, aż w końcu powiedział:

- Jeśli jesteś tak bardzo przekonana o słuszności jej postępowania, to skłoń ją do tego, by wyszła z ukrycia. Załatwię jej ochronę i niech w tej sprawie zdecyduje sąd.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Nie mogę tego zrobić, Mel. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wayman jest mocniejszy, niż sądzisz. Czyżbyś był aż tak naiwny? On ma władzę i pieniądze. Bez trudu odbierze jej dziecko, udowadniając, że jest niezdolna do wychowywania Dawida. A to ją zabije. Wiedział, że to, co za chwilę powie, zniszczy w niej wszelkie uczucia, które dla niego miała.

- Sądzisz zatem, że dziecko zostanie z Johnsonami?

- Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas nie spuszczała go z oka.

- Jako przedstawiciel prawa mam obowiązek oddać Dawida naturalnemu ojcu. - Spodziewał się wybuchu gniewu, szalonej, wściekłej burzy.

Ale ona nie uczyniła nic, nie powiedziała ani słowa. Odwróciła jedynie wzrok i tępo patrzyła w szybę.

- Lily, zrozum, ja muszę to zrobić. Nie mam innego wyjścia.

Nadal milczała, lecz jej twarz stała się przeraźliwie blada. Przez moment wydawało mu się, że uchodzi z niej życie.

Nagle spojrzała mu prosto w oczy z taką przenikliwością, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Jak tylko dostanie dziecko, będzie polował na Susie, jak myśliwy na zwierzynę. A kiedy poderżnie jej gardło, nikt nawet się o tym nie dowie. Dobrze o tym wiesz. Takie jest twoje prawo!

Patrzył na nią z niejakim przerażeniem. Wciąż miał nadzieję, że jednak przeważy rozsądek.

- Susie powinna się zgłosić na policję. Nie ma innej drogi i ty też o tym wiesz. Jestem pewien, że jeżeli ten facet jest rzeczywiście tak brutalny, żaden sąd nie powierzy mu opieki nad dzieckiem.

- Z pewnością masz rację. - W głosie Lily brzmiało Jadowite szyderstwo. - W Waszyngtonie nie może zdarzyć się nic podobnego.

- To najlepsze rozwiązanie, jakie mogę ci zaoferować - powiedział na zakończenie Mel.

W tym momencie odezwało się w samochodzie radio.

- Do wozu numer 22. Było porwanie na 1212 Mulberry Lane. Chodzi o dziecko. Porwała je kobieta poruszająca się taurusem. Zrozumiałeś?

- Cholera! - wyrwało im się jak na komendę. Mel odpalił silnik, włączył koguta i ruszył przed siebie z piskiem opon. Poruszające się po ulicy samochody zaczęły zjeżdżać na pobocze. Oboje wiedzieli, co się stało. Susie wykradła małego Dawida z domu Johnsonów. Zabrała go i uciekła.

- Czy wszyscy pracownicy policji słyszeli ten komunikat? - zapytała z lękiem.

Mel tylko kiwnął głową, koncentrując się na prowadzeniu auta.

- O Boże! - jęknęła. - Przecież Wayman ma dostęp do policyjnych częstotliwości. Musimy się spieszyć. Będzie próbował ją dopaść, a wtedy, to już koniec... Jedź prędzej, pomogę ci ją odnaleźć!
 - Masz jakiś pomysł? - rzucił krótko.
 - Chyba wiem, dokąd pojedzie...
 - Dokąd? Mów! - Był zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu Lily.
 - Na końcu ulicy osiemnastej jest stary magazyn. Tam miałyśmy się spotkać, gdyby coś poszło nie tak. Jestem pewna, że tam właśnie będzie na mnie czekać, licząc na to, że pomogę jej wydostać się z miasta.
 - Skąd ta nagła zmiana? Dlaczego mi pomagasz?
 - Wayman wszędzie ma swoje wtyczki. Nie może być tam przed nami. Ty go nie znasz i nie wiesz, do czego jest zdolny. Susie nie dożyje południa, jeśli ten bydlak odnajdzie ją pierwszy. Jesteśmy jej jedyną szansą.
 - Nawet jeśli miałyby trafić do więzienia za porzucenie swojego dziecka? - Choć sympatyzował z tą nieszczęsną, beznadziejnie zastraszoną kobietą, nie mógł zmienić swojego postępowania. Przede wszystkim liczyło się dobro dziecka.
 - Więzienie jest lepsze niż trumna - syknęła wściekle przez zęby.
 - Pilotuj mnie - rzucił krótko, jak gdyby nagle coś do niego dotarło.
- Jakie miękkie i ciepłe są kolana Lily. To prawdziwie rajskie przeżycie znaleźć się tutaj. Ale nie o tym chciałem... Biedna Susie nie wytrzymała napięcia i teraz ciąży na niej jeszcze zarzut o porwanie. Jakoś nie wydaje mi się, aby oddanie się w ręce prawa miało

przynieść dobre rezultaty. Muszę jednak przyznać, że Jeśli chodzi o karkołomną jazdę, Mel mnie nie zawiódł. Nieźle popruwa. I wcale mnie to nie przeraża... Choć nie zaszkodziłaby tu jakaś mała modlitwa w intencji bezpiecznego zakończenia tej podróży. Szanse są coraz większe, bo już widzę magazyn, o którym wspomniała Lily. O, parkujemy, czy raczej zatrzymujemy się po-lirodku drogi. No, ale w końcu bierzemy udział w poważnej akcji. Nawet porucznik Columbo nie miałby do nas startu.

Mel wyskoczył z samochodu i wyciągnął z kabury pistolet.

- Zostań w środku - powiedział do Lily.

- Susie nie wyjdzie, jeśli mnie nie zobaczy. Muszę z tobą pójść.

Chciał zaoponować, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

- Lily, to może być bardzo niebezpieczne - ostrzegł tylko.

- Tak, ale przede wszystkim dla Susie - powiedziała, wysiadając z samochodu. Spojrzała na Kumpla. - Może to on powinien zostać w środku?

- Dobra, a ty trzymaj się za mną - zakomenderował. Otworzył drzwi i weszli do magazynu. Panowała tam

absolutna ciemność. Dopiero po chwili zaczęły wyłaniać się z niej poszczególne przedmioty.

- Gdzie miała na ciebie czekać? - spytał szeptem.

- Tam. — Lily wskazała uchylone drzwi, prowadzące do małego biura.

- Zawołaj ją.

- Lepiej będzie, jeśli tam wejdziemy - wyjaśniła Lily i ruszyła do przodu.

Mel złapał ją za rękę i pociągnął w swoją stronę.

- Miałaś się trzymać za mną - zbeształ ją szorstko.

- Cokolwiek rozkażesz - szepnęła, po czym pokornie zajęła swoje miejsce w szyku.

Czuł jej oddech na swoich plecach. Przeszył go rozkoszny dreszcz. Lecz już po chwili ponownie skoncentrował się na uchylonych drzwiach. Boże, co za obrzydliwe miejsce, pomyślał. Same pudła i skrzynie. Przeciwnik może czańć się wszędzie. A do tego ta pełna grozy cisza. Ciekawe, czy Susie tam rzeczywiście jest? I to razem z dzieckiem?

Ostrożnie, krok po kroku, zbliżali się do biura.

- Poczekaj tu chwilę - powiedział nagle Mel. - Ta cisza mi się nie podoba. Susie jest z pewnością sparaliżowana strachem.

- Zgoda, ale pozwól, że ja ją zawołam. Inaczej dostanie ataku serca.

Mel rozejrzał się uważnie dookoła.

- Dobra.

- Susie, to ja! - krzyknęła Lily. - Jesteś tam? Przyszliśmy, żeby ci pomóc. Mel podejdzie do ciebie. Nie wpadaj w panikę! Zobaczysz, wszystko dobrze się ułoży.

Rzucił jej przez ramię krótkie, ale pełne wdzięczności spojrzenie.

- Dzięki! - szepnął. - Zrobię dla niej, co tylko będę mógł. Wiesz...

Lily kiwnęła głową i wbiła wzrok w podłogę.

- Wiem - odparła cicho, gdy był już przy drzwiach. Wsunął do środka głowę i nasłuchiwał. Po chwili zniknął z pola widzenia.

- Susie, jesteś tu? - zapytał łagodnie.

W odpowiedzi usłyszał trzask zamykających się za nim drzwi, a potem zgrzytnięcie zasuw. Było zbyt ciemno, by mógł cokolwiek dostrzec.

- Przepraszam, Mel - odezwała się Lily. - Nie pozostawiłeś mi innego wyboru. Jak tylko Susie z Dawidem będą bezpieczni, przyjdę i wypuszczę cię stąd.

- Lily, proszę, nie rób tego. Ściągniesz w ten sposób na siebie same problemy! - Był wściekły, że dał się tak wymanewrować. Wystrychnęła go na dudka jak jakiegoś żółtodzioba. - Lily! Lily! Jesteś tam jeszcze? Wypuść mnie, a zapomnimy o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

- Naprawdę nie mogę, Mel. Chciałabym, ale nie mogę. Wierz mi.

Słyszał w jej głosie autentyczną rozterkę.

- Zastanów się, co robisz? Wchodzisz w poważny konflikt z prawem! Lily! - Czekał na odpowiedź, na jakąś reakcję. Na zewnątrz panowała jednak niczym nie zakłócona cisza. Wiedział, że to nie ma sensu, bo już wyszła.

Lily wybiegła na dwór. O mało co nie zapomniała o zamknięciu drzwi wejściowych do magazynu. Znała właściciela, dlatego bez trudu zdobyła klucze. Hala, mimo że załadowana starymi pudłami i kontenerami, od dawna nie była używana i Melowi nic nie groziło. Gdy wszystko się przewali, wróci tu, by z wysoko podniesioną głową ponieść wszelkie konsekwencje swoich czynów. Z całą pewnością Mel jej nie odpuści. Był na nią potwornie wściekły. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Czym prędzej wsiadła do samochodu. Ze zdziwieniem spostrzegła, że nie ma Kumpla, nie miała jednak

czasu, by szukać kota, nawet jeśli był istotą zupełnie wyjątkową. Czas naglił. Była pewna, że Kumpel i tym razem poradzi sobie. Przede wszystkim musiała znaleźć Susie i dziecko, zanim uda się to Waymanowi. Zaczęła się intensywnie zastanawiać, dokąd Susie mogła pojechać, aby się ukryć. Co sama by zrobiła w takiej sytuacji? Wśród tak zwanych przyjaciół nie było nikogo, kto zechciałby jej pomóc, z pewnością też nie pojechała do domu samotnej matki, gdzie ukrywa się mnóstwo kobiet maltretowanych przez swoich mężów. A więc gdzie? Możliwości było niewiele, zwłaszcza dla takiej kobiety, jaką była Susie. Nie mówiąc już o tym, że została zidentyfikowana i każdy policjant w mieście, który by ją rozpoznał, miał prawo czy raczej obowiązek zatrzymać ją. Żadne publiczne miejsce nie wchodziło więc w grę. Niemal wszędzie porozstawiani byli ludzie Waymana i jak sępy czekali tylko, kiedy pojawi się jego udęczona żona. Nieszczęsna Susie nie miała także rodziny. Lily poczuła się zupełnie bezradna. Nie miała pojęcia, gdzie szukać przyjaciółki. Instynktownie skierowała się w stronę rezydencji Johnsonów, choć wiedziała, że tam z całą pewnością jej nie znajdzie. Liczyła jednak, że dowie się jakichś szczegółów. Gdy była już niedaleko Mulberry Road, nagle do głowy przyszła jej pewna myśl. Kiedyś, dosyć dawno temu, kiedy przejeżdżały koło pewnego małego parku, Susie zwierzyła jej się, że marzy o tym, by pójść ze swoim, wówczas jeszcze nienarodzonym dzieckiem, na plac zabaw. Rozkleiła się, wyobrażając sobie, jak by to było cudownie spędzić popołudnie na zabawie, a potem wrócić do domu do kochającego i czekające-

go z utęsknieniem męża. Nie mogła wtedy przestać o tym myśleć, choć dobrze wiedziała, że to tylko fantazje. Lily nie liczyła na to, że ją tam znajdzie, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Dojechała do Ambelly Park i zatrzymała samochód. Wszędzie było mnóstwo dzieci. Przypomniało jej się nagle, jak siedziała w parku z Melem i próbowała mu wyjaśnić postępowanie Susie. Dlaczego ten facet był taki uparty i za nic w świecie nie chciał zrozumieć, że nie każdy musi być takim twardzielem, jak on? Ciężko było jej z tym wszystkim, choć za wszelką cenę starała się jakoś trzymać. Pochyliła głowę nad kierownicą, a jej oczy wypełniły się łzami. Otarła je ze złością. Nie kto inny jak Mel Haskin zmusił ją do tego, co przed chwilą zrobiła. Zawinił jego idiotyczny upór. Ciekawe, czy i dla sądu będzie to takie oczywiste, pomyślała z rozzaleniem. Ale ktoś przecież musiał jej pomóc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mel, stary byku, kiedy w końcu przestaniesz rżnąć naiwniaka? Wpadłeś jak śliwka w kompot. A wyglądało na to, że ona naprawdę zrozumiała swój błąd. Chociaż nie zaprzeczam, trochę mnie zaskoczyło, że tak nagle poszła na współpracę. Jasne, że nie miała zamiaru zaprowadzić go do Susie. Wyprowadziła go, ale w pole. Co za numer, zamknęła naszego detektywa na klucz! Chylę przed nią czoło. Trzeba przyznać, że to było coś. Wydaje mi się jednak, że słono będzie musiała za to zapłacić. Wścikłość Mela czuć przez ściany. Oj, biedna będzie Lily, gdy już ją dopadnie. Bo widzicie, ludzie to najbardziej irracjonalny gatunek na tej planecie. Na przykład z całą pewnością wiem, że do Mela nic nie docierało, kiedy Lily usiłowała mu cokolwiek wytłumaczyć. Niby słuchał, ale nic nie słyszał. Więc co miała robić? Ałe teraz to ma u niego naprawdę prze-chlapane. Nic a nic jej nie ufa. Znalazła się na pierwszym miejscu jego czarnej listy. Sytuacja strasznie się skomplikowała i aż wstyd przyznać, ale nie mogę powiedzieć, żebym miał w zanadrzu ileś tam

fantastycznych rozwiązań. Trochę trzeba będzie podumać. Zaraz... W tej chwili widzę właściwie tylko dwa wyjścia. Albo pomogę wykaraskać się z tarapatów Melowi, albo skoczę zobaczyć, co dzieje się u Johnsonów. Może mają jakieś nowe wieści? Poza tym strasznie tęsknię za Klotyldą. Moje słodkie biedactwo całymi dniami samotnie czeka na mnie. Jednak męska lojalność podpowiada mi, że powinienem pomóc Melowi. Może ten facet jest uparty jak osioł, może czasami trudno do niego dotrzeć, a nawet bywa agresywny, ale w sumie jest bardzo podobny do mnie. Rzecz jasna nie chodzi mi o podobieństwo fizyczne, ale o bardzo zbliżony sposób myślenia. Sądzę więc, że lepiej będzie, jeśli uwolnię go z tej pułapki, bo poważnie obawiam się, że Susie i Lily będą potrzebowały jego pomocy, i to już niedługo. Ten cały Wayman Bishop wygląda mi na wyjątkowo bezwzględnego faceta. Jeżeli zaplanował, że zamorduje żonę, to najpierw będzie musiał sprzątnąć Lily. To oczywiste. I nikt go nie powstrzyma. Najrozsądniej więc będzie wypuścić Mela, aby mógł zabawić się w superglinę i w razie potrzeby obronić obie panie. Zobaczmy, co się da zrobić. A może niech sobie jeszcze kilka minut porozmyśla o tym, co mówiła Lily? Usiądę na chwilę i troszeczkę odpocznę. Kumpel przycupnął w pobliżu drzwi, za którymi znajdował się Mel, i zwinął się w kłębek. Przez chwilę wodził wzrokiem za muchą krążącą wokół lufcika. Nie chciało mu się jednak ruszyć z miejsca. Jak przerwa, to przerwa, pomyślał. Przymknął oczy i zasnął. Nie była to jednak zbyt długa drzemka. Nie mógł się odprężyć. Wstał, przeciągnął się, a potem podrapał za uchem. No dobra, zaraz wezmę się do roboty, chyba już mu

wystarczy. Teraz pomyślę, jak otworzyć drzwi. A może, zanim go uwolnię, powinien uroczyście mi przyrzec, że będzie słuchał moich rad? Nie, to chyba jednak byłoby za wiele.

Mel zamarł. Dałby się pokroić, że słyszy jakieś szmery po drugiej stronie drzwi, coś jakby skrobanie, szuranie... Może to szczur albo mysz? - pomyślał. Wsłuchiwał się raz jeszcze. Tak, z pewnością coś się poruszało.

- Jest tam ktoś? - wyrwało mu się. - Halo! Halo! Proszę otworzyć drzwi! - zaczął nawoływać.

Wiedział jednak, że szanse były niewielkie, a poza tym, jeśli nawet ktoś się tam skradał, mógł mieć zarówno dobre, jak i złe intencje. Ale nie było przecież czasu na grę w podchody. Później będzie się martwił, bo teraz za wszelką cenę musi się stąd wydostać. Niech no on dostanie tę pannę w swoje ręce! W tej chwili dałby głowę, że złamie jej kark. A tak w ogóle, kto wie, może przydałaby mu się jakaś terapia, żeby wykurowali go z tej piekielnej, graniczącej z głupotą naiwności. Sam już nie wiedział, na kogo był bardziej wściekły, na Lily czy na siebie.

Znowu usłyszał głośnie szuranie.

- Hej! Muszę stąd koniecznie wyjść! Kto to?

W odpowiedzi nie padło wprawdzie ani słowo, ale zauważył, że w szparze pod drzwiami pojawia się jakiś przedmiot. Schylił się i podniósł wymięty kawałek papieru. Zapalił zapalniczkę i ujrzał kościelną ulotkę.

- „Wybaczenie jest kluczem do raj” - przeczytał na głos. Ze złością odrzucił kartkę. - Już ja ci pokażę wybaczenie... - zachnął się. - Jeśli natychmiast nie

otworzysz tych drzwi, to kimkolwiek jesteś, obiecuję ci, że zmienię twoje życie w piekło!

- Miau!

- Kumpel? To naprawdę ty? - Nie mógł wprost uwierzyć, że to znowu ten kot. Zawsze zjawiał się w najbardziej nieoczekiwanym momencie, kiedy nie widać było szansy na jakiegokolwiek rozsądne rozwiązanie. - Zorganizuj pomoc! Wiem, że stać cię na to. Jesteś najinteligentniejszym kotem pod słońcem - wyrzucił z siebie jednym tchem, zachodząc przy tym w głowę, dlaczego zleca zwierzakowi tak odpowiedzialne zadanie. No cóż, intensywna psychoterapia będzie jednak konieczna.

I znowu jakieś szmery. Chwila napięcia i pod drzwiami ukazuje się kolejna kartka. Identyczna jak poprzednia, z takim samym przesłaniem.

- Kumpel? Ty też postradałeś zmysły?

- Miau...? - W jego głosie Mel wyczuł wyraźne pytanie.

- A więc o to ci chodzi? - Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. - Chcesz, żebym przebaczył Lily? Tego już za wiele! Widzisz przecież, co nabroiła.

- Miau... - Tym razem głos Kumpla zabrzmiał miękko i słodko.

Czyżby świadkiem tej sceny była ta przeurocza kotka? - pomyślał Mel. Jak też ona miała na imię? A, Klotylda! Faktycznie, wyjątkowo urodziwa. Nie to co Kumpel, stary intrygant i szantażysta. Wiedział, że musi zaakceptować warunki przedstawione przez tego kocura albo spędzi w tym magazynie następne długie godziny.

- Przebaczyć Lily? Nie mogę! Nie rozumiesz tego? Zapanowała cisza, mroczna i całkowita. A zatem nie

ma wyjścia. Będzie musiał czekać, aż zjawi się tu jakiś człowiek i wreszcie otworzy te przekłete drzwi. Oparł się o ścianę. Ale niby dlaczego miałby go tutaj ktoś szukać? Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach dobrowolnie by tu się pojawił? Dopiero gdy wreszcie ktoś zatrzyma Lily, która z pewnością zabrała jego samochód, cała historia się wyda. Choć nie jest to takie pewne, bo ta spryciara gotowa wymyślić jakąś zgrabną bajeczkę, a on nadal będzie tkwił z założonymi rękami w tym ciemnym, zapyziałym pomieszczeniu.

- Kumpel! - zawołał w nadziei, że kot wciąż tam jest. W odpowiedzi zobaczył kolejną kartkę z duchowym przesłaniem.

- Myślałem, że jesteś po mojej stronie - spróbował wziąć kota na męską solidarność.

Cisza.

- No dobra, zastanowię się, ale nie odchodź.

- Miau... - Kumpel zdawał się już niecierpliwić. Mel ciężko westchnął. Nawet gdyby przyszło mu siedzieć pięć lat w tej ciemnej, śmierdzącej budzie, nie zmieniłby zdania. Sytuacja zdawała się być beznadziejna. Nie chciał rzucać słów na wiatr. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Kumpel? A co ty na to, gdybym wprowadzie jej nie wybaczył, ale zrezygnował z ukarania?

- Miau!!!

Klasnął w ręce. Przynajmniej zgodzili się co do jednego.

- Więc jak mnie stąd wyciągniesz?

- Miau! Miau!

Zabrzmiało to tak, jakby Kumpel miał już gotowy plan działania i Melowi nie pozostało nic innego, jak

tylko czekać. Po około dziesięciu minutach usłyszał podekscytowane męskie głosy. Wyraźnie przybliżały się w jego kierunku.

- Hej! Halo! Tutaj jestem! - zawołał.

- Dobrze, dobrze, już idę. A gdzie podział się ten czarny kocur?

Po chwili rozległ się dźwięk otwieranej zasuwki i przez drzwi wpadło do pomieszczenia jaskrawe światło. Mel zamrugał oczami. Oślepiło go na moment. Po chwili dostrzegł przed sobą trzech facetów.

- Dzięki - powiedział z ulgą. Mężczyźni byli mocno zdziwieni.

- Kim pan jest? - zapytał jeden z nich podejrzliwie.

- Mel Haskin, porucznik policji. - Z kieszeni wyciągnął swój identyfikator. - Wpadłem w pułapkę.

Myślałem, że przyjdzie mi tu zemrzeć. - Spojrzał na Kumpla, który właśnie pojawił się koło jego nóg.

- Jak mnie znaleźliście?

- Chcieliśmy złapać tego czarnego kota. Miał pianę na pysku, myśleliśmy, że jest wściekły.

Chcieliśmy go tu zagonić i zadzwonić po weterynarza.

- No tak... - Mel pokiwał głową. - W każdym razie dziękuję za uwolnienie. A co do kota, proszę się nie martwić. Jest absolutnie zdrowy. To mój kot. - Z trudem powstrzymywał uśmiech, widząc zakłopotane twarze swoich wybawców. Sam był zresztą mocno zaskoczony pomysłowością i inteligencją tego przedziwnego zwierzaka.

- Ostro grasz, stary - powiedział w końcu. I wcale nie było mu już głupio, że gada z kotem.

Kumpel, który spokojnie wylizywał sobie jedną z łap, teraz spojrzał na Mela i mrugnął do niego

bursztynowym okiem, po czym wybiegł na ulicę. Melowi nie pozostawało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

Lily poczuła się bezradna. Nie mogła przecież cały dzień krążyć po mieście. To nonsens. Już dwa razy omal nie wpadła na policję. Wiedziała też, że Mel nie będzie siedział w tej starej budzie beczynnie, ale zrobi wszystko, żeby jak najszybciej wydostać się stamtąd. No i natychmiast zgłosi kradzież samochodu. A wtedy to już naprawdę koniec. Zatrzyma ją każdy patrol. Na samo wspomnienie tego, co zrobiła, poczuła przerażenie. Nie, teraz nie mogła o tym myśleć. Porucznik Haskin nigdy jej tego nie wybaczy. Nigdy. Ciało Lily przeszły gwałtowny dreszcz. Dlaczego czuje tak niewymowny żal? Przypomniła sobie dotyk jego ręki na swojej skórze... Kiedy zbliży się do niej następnym razem, to tylko po to, żeby założyć kajdanki... i już nigdy jej nie pocałuje. Choć z pewnością wtedy i tak był to tylko jeden z elementów jego taktyki. Ten człowiek przyciągał ją do siebie z jakąś magiczną siłą. Jeden pocałunek Haskina przewrócił jej świat do góry nogami. Niestety Mel nigdy w to nie uwierzy. Dawniej uwielbiała facetów. Kochała z nimi flirtować i uwodzić ich, aż do momentu, gdy Babs... Najbardziej przerażające było to, że jej siostra pomimo tego, iż mąż katował ją i poniżał, wciąż wracała do niego i nie potrafiła nad tym zapanować. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że coś takiego jest możliwe. A jednak... Od tego czasu zmieniła się. Przekonała samą siebie, że życie bez facetów jest

dużo lepsze, a już na pewno spokojniejsze i bezpieczniejsze. Nauczyła się też jeszcze jednego, a mianowicie że nikt nie wierzy bitej kobiecie. Ta myśl przerażała ją i oburzała zarazem. Jednak Mel tego nigdy nie zrozumie i chyba właśnie to było w tym wszystkim najsmutniejsze. Dla niego Lily po prostu złamała prawo. Żył w tym swoim czarno-białym świecie i za żadne skarby nie chciał dostrzec tysiąca innych barw. Czy dwoje tak różnych ludzi mogło kiedykolwiek się zrozumieć? Przez chwilę ludziła się, że był jedynym facetem na świecie, który mógłby sprawić, iż znów zaczęłyby naprawdę żyć. Jednak dzisiejszym posunięciem straciła go na zawsze. Próbowała się otrząsnąć, pozbierać. Spojrzała na Susie. Przytulona do Dawida spała na tylnym siedzeniu. Dobrze, pomyślała. Przynajmniej ona trochę odpocznie. Nie miała pojęcia, dokąd pojechać i co zrobić. Nagle Susie, jakby czując jej wzrok, poruszyła się i otworzyła oczy. Mały zaczął płakać.

- Chyba jest głodny - powiedziała. - Może spróbowałabym nakarmić go piersią?

- Spróbuj, a ja podskoczę do sklepu i kupię wszystko, co potrzebne. Jakoś sobie poradzimy.

Idąc do pobliskiego sklepu, rozmyślała raz jeszcze nad zaistniałą sytuacją. Nie powinna pozwolić, by więź między Dawidem a Susie zacieśniła się jeszcze bardziej. Ale z drugiej strony jaki miała wybór w chwili obecnej? Znajdowały się w nie najlepszej części miasta, ale zdawała się dzisiaj być bardziej bezpieczna niż inne. Weszła do środka. Wybrała pieluchy, rozpuszczalne mleko w proszku dla niemowląt, butelki i jeszcze kilka

innych artykułów, które mogły się przydać Susie lub małemu. Na szczęście w sklepie było pusto. Podeszła do kasy, zapłaciła i szybko wyszła na ulicę. A teraz co? Co powinna zrobić? Z rozważań wyrwał ją pisk opon ostro ruszającego samochodu. Myślała, że śni. To był samochód Mela. Z jego wnętrza słychać było rozzwierający krzyk Susie. Nim przepadł za zakrętem, zdołała jeszcze dostrzec, kto siedział za kierownicą. Był to młody, potężny facet. Na pewno jeden z ludzi Waymana. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Rzuciła siatki i pobiegła za autem.

- Stać! Stać! Zatrzymaj się!

Lecz samochód coraz bardziej oddalał się, aż w końcu znikł z pola widzenia. Przez dłuższą chwilę Lily stała na ulicy, nie mogąc się poruszyć. W jej głowie kłębiły się myśli. Więc znalazł ją. I ma ich teraz w swoich rękach. Susie i Dawida. Jak mogła sądzić, że ucieczka się powiedzie?

Mel wyszedł z domu Johnsonów z przedziwnym uczuciem. Nie było wątpliwości, że to Susie Bishop wykradła swoje własne dziecko, ale ku jego zdziwieniu ani Rose, ani Preston nie chcieli skierować przeciwko niej sprawy do sądu. Czyżby z nią sympatyzowali? Kiedy jeden z policjantów przekazywał mu klucze od radiowozu, zauważył, że zarówno Kumpel jak i Klotylda podążają za nim.

- O nie, nie tym razem. Wracajcie do domu — powiedział.

Tego było już za wiele. Naprawdę nie potrzebował, żeby te dwa kocury włóczyły się za nim krok w krok. Musiał czym prędzej działać, znaleźć te dwie szalone

kobiety z dzieckiem i aresztować je. Co prawda przyrzekł Kumplowi, że odpuści Lily incydent w magazynie, ale współdziałanie w porzuceniu, ukrywanie przestępcy i na koniec porwanie, to już zupełnie inna historia. Odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że koty posłuchały jego prośby. Wiedział, że nie tylko on chce odnaleźć Lily i Susie. Wayman Bishop był jeszcze bardziej tym zainteresowany. Poczł skurcz żołądka, gdyż zdał sobie nagle sprawę, że ten facet rzeczywiście byłby zdolny zabić obie kobiety. I co gorsza, nie spadłby mu z tego powodu nawet włos z głowy. Wiedział, że w tej sprawie Lily mogła mieć rację. Swoją drogą, jakie to uczucie, być żoną człowieka, który w każdej chwili bezkarnie może cię zamordować? Toż to Jakieś średniowiecze! Mimo tych wszystkich wątpliwości I tak nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiła ta kobieta. Ale z pewnością nie chciał, aby przytrafiło jej się coś złego. Postanowił pojechać do mieszkania Lily. To kawał drogi, pomyślał, ale będzie miał przynajmniej trochę czasu, żeby nad kilkoma rzeczami się zastanowić. Na przykład dokąd mogła się udać cała trójka? Skreślił w małą uliczkę i dosłownie zamarł za kierownicą. Czarny Taurus stał zaparkowany na rogu. To był samochód, który ukradła Susie. Nawet nie musiał sprawdzać tablic rejestracyjnych, aby potwierdzić swe przypuszczenia. Zatrzymał się zaraz za nim. Wysiadł i zajrzał do środka. Na podłodze leżał mały, dziecięcy koszyk. Ten widok zasmucił go. Już miał połączyć się z komisariatem, żeby zidentyfikować wóz, ale w ostatniej chwili przypomniały mu się słowa Lily. Przecież Wayman ma wszędzie swoje wtyczki, na wszystkich szczeblach departamentu policji. Jima Laverta też kupił. Mel nie mógł więc ryzykować. A zatem zdany był wyłącznie na siebie. Przeczesał cały pobliski park.

Wprawdzie nie znalazł ani Lily, ani Susie, ale kilka kobiet je zapamiętało. Były tam. Miały ze sobą dziecko. Zdecydował, że wróci do samochodu. Z daleka słyszał już przez otwarte okno terkoczące radio.

- Słucham. O co chodzi?

- Porucznik Haskin? - zapytał dyspozytor.

- Tak.

- Mamy dla pana prywatną informację, a raczej list.

- Tak, tak...

- Dostałem dyspozycję, żeby skłonić pana do przyjazdu na posterunek, by odebrał pan przesyłkę.

Mel wyczuł niepewność w głosie dyspozytora.

- Nie mam czasu.

- Ale ta kobieta powiedziała, że to bardzo ważne. Dodała, że jest panu winna przeprosiny i potrzebuje pańskiej pomocy.

Lily! Serce zaczęło walić mu jak młot. Ale zaraz się pozbierał. O nie, drugi raz nie da się wystrychnąć na dudka!

- Przyjadę, jak skończę.

- Nalegała, że to bardzo pilne. Dlatego dzwonię. To ta dziennikarka. Poznałem ją od razu. Jest naprawdę strasznie zdenerwowana.

Mimo że Mel nie ufał jej, czuł, że musi się z nią zobaczyć. Starał się zachować zimną krew.

- Jak tylko będę mógł, przyjadę.

- Pospiesz się. - Dyspozytor niemal szeptał. - Wygląda, jakby miała za chwilę eksplodować. Twierdzi, że nikt poza tobą nie może jej pomóc.

Mel uruchomił silnik i mocno nadepnął pedał gazu. To, czego nie dopowiedział dyspozytor, dla niego stało się jasne. Lily desperacko błagała go o pomoc. Coś

musiało pójść nie po jej myśli. Ostro zahamował przed komendą. Wyskoczył z samochodu i wbiegł po schodach na górę. Gdy tylko pojawił się w drzwiach, natychmiast wstała i podbiegła w jego kierunku.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekły - szepnęła, zanim zdążył się odezwać. - Nie interesuje mnie, co zrobisz ze mną. Wayman ma Susie i dziecko! Nie mam pojęcia, dokąd ją zabrał i co z nimi robi. Jej rzeczywiście chodziło tylko o Susie. Mógł ją mieć za oszustkę, idiotkę czy przestępczynię. Nie dbała o to. Widział w jej oczach autentyczny strach. Wziął ją za łokieć i wyprowadził na zewnątrz. Nie sprzeciwiała się. Musieli porozmawiać na osobności.

- Skąd wiesz, że Bishop ją ma?

- Porwano ją z parkingu, nieopodal sklepu, w którym robiłam dla niej zakupy. Czekala z małym w samochodzie. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, jak znikają za zakrętem. Za kierownicą siedział młody facet. Susie krzyczała wniebogłosy. Porwali ją. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdyby to była policja, dawno wiedziałbyś już o tym, prawda?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- A jeśli to znowu część twojego planu?

- Mel, wiem, co myślisz, ale ratuj ją! Błagam! Byłam jedyną osobą na świecie, która jej pomagała.

- Skąd wiesz, że jest w tak wielkim niebezpieczeństwie? Może przesadzasz?

- Jej mąż to potwór. Nie znosi sprzeciwu. Zabije ją za to, co zrobiła. Chce teraz tylko dziecka. Zrozum!

- Przecież nie wszyscy faceci katują kobiety, które im się sprzeciwiają. Inaczej byłabyś w tej chwili w poważnych tarapatach.

W Lily jakby piorun strzelił. Nic nie kapował.

- To nie moja wina, że tego nie pojmujesz! Jesteś zupełnie innym człowiekiem i nigdy nie dotknąłbyś kobiety nawet najmniejszym palcem, ale to nie powód, żebyś teraz bagatelizował moje słowa. - Zacisnęła palce na jego dłoniach. - Wayman ma Susie. Jeśli ich szybko nie znajdziemy, Susie zniknie na zawsze z tego świata! Wiem, że trudno ci to zrozumieć, bo jesteś inny. Ty nikogo byś nie skrzywdził.

Ścisnęła go tak mocno, jakby nie chciała wypuścić z rąk prawdy, którą przed chwilą przed samą sobą odkryła. Dostrzegła w jego oczach ciepło. Wprawdzie próbował je ukryć pod maską pozornego chłodu, ale to nie miało znaczenia. Czują, że być może tym razem uda jej się wyrwać go z czarno-białego świata, w którym tkwił od lat. Wspięła się na palce i gorąco go pocałowała. Przycisnęła ją do siebie i odpowiedział długim pocałunkiem. Wtuliła głowę w jego tors, a po chwili lekko się odsunęła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę powiedzieć ci w końcu prawdę, Mel. Nigdy nie pragnęłam żadnego mężczyzny tak bardzo, jak ciebie. Nigdy. Być może wszystko zepsułam, ale to niczego nie zmienia, poza tym, że za swoją głupotę będę musiała zapłacić bardzo wysoką cenę. Ale nie mogę znieść myśli, że Susie zginie z mojej winy!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na moment cały świat przestał istnieć. Była tylko Lily i jej szmaragdowe oczy. Jej oszałamiająca uroda i niezwykła wręcz odwaga zawładnęły nim bez granic. Wpakowała się w sytuację niemal bez wyjścia, a wciąż myślała tylko o tym, jak uratować Susie. Gdzie podział się jej instynkt samozachowawczy? Do reszty obezwładniła go ledwie dostrzegalna, lecz mimo to wyraźna nuta aksamitnej wprost miękkości, przebijająca spod bezkompromisowej determinacji tej kobiety. To było coś nowego. Najchętniej porwałby Lily w ramiona i całował do nieprzytomności, lecz niespodziewanie zakłócił tę idyllę dźwięk klaksonu. Odwrócił się i zobaczył Kumpla siedzącego na przednim fotelu radiowozu z łapą opartą na przycisku. Po chwili wyłoniła się też łepetyna powabnej, białej kotki, spoglądającej na nich z pewnym wyrzutem. I znowu rozdarł powietrze ostry, ponagląjący dźwięk.

- Poganiają nas i mają rację. Kumpel dobrze wie, że czas pracuje na naszą niekorzyść. Chodźmy. - Lily odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu.

- Gdzie może być Susie? - zapytał Mel.

- Nie wiem. Wiem tylko, że była w twoim samochodzie, kiedy ją porwano. Powiedz, że uda nam się ją odnaleźć...

Otworzył w milczeniu drzwiczki i pomógł Lily wsiąść, a potem zgrabnym ruchem wskoczył za kierownicę. Oba koty leżały przytulone na tylnym siedzeniu.

- Jak myślisz, Lily, gdzie Bishop mógł kazać ją zawieźć?

Była bardzo zdenerwowana. Zaciśnęła dłonie w pięści, aż pobieleły jej kostki. Tak wiele zależało od tego, co teraz powie.

- Myślę, że nie do jej domu i raczej nie do ich górskiej chaty. Pewnie gdzieś, gdzie nikt by się nie spodziewał. Może... tam, gdzie załatwił Laverta?

W odpowiedzi Mel chwycił mikrofon i połączył się z posterunkiem. Lekarze sądowi byli zdania, że Lavert został odnaleziony wkrótce po zamordowaniu, zatem zbrodni musiano dokonać w okolicach nabrzeża.

Wówczas Lily przypomniała sobie, jak Susie opowiadała jej, że zaraz po ślubie Wayman zabrał ją na przejażdżkę bardzo piękną i drogą łodzią.

Widząc w jej oczach bezgraniczne zaufanie i nadzieję, że potrafi zapobiec temu, co najgorsze, Mel miał ochotę roztrzaskać coś w drobny mak.

- Lily, w tym mieście jest jakieś dziesięć tysięcy łodzi! - wybuchnął. Dostrzegł, jak jej oczy matowieją, a nadzieja zamienia się w smutek i bezradność.

- Ten człowiek jest nieobliczalny - powiedziała zrezygnowana.

- Miau - odezwał się Kumpel. Wstał, przeskoczył

do przodu i otarł się pyszczkiem o radio. Klotylda zamruczała z aprobatą.

- Co masz na myśli? - zapytała Lily.

Gdy spojrzała na Mela, dostrzegł w jej oczach zażenowanie.

- Nie przejmuj się, ja też z nim rozmawiam. Kumpel zaczął niecierpliwie uderzać łapą w radio.

- Pewnie chce, żebyś się z kimś połączył. Może z prokuraturą? Tak, Kumpel? O to chodzi?

Kocur nie zareagował.

~ Zaraz, dzwoniłeś przecież w sprawie Laverta.

- Maiu! - zamiauczały oba koty zgodnym chórem.

- A więc Jim. No tak, on jest jedynym namacalnym śladem, jaki mamy - powiedział powoli Mel, kiwając głową. - Na pewno był zamieszany w tę historię. Z kim by tu pogadać na jego temat? - zastanawiał się na głos.

- Może z jego żoną? Musi przecież coś wiedzieć, choćby domyślać się, co robił jej mąż i dlaczego zginął. Być może da nam jakąś wskazówkę, która doprowadzi nas do celu.

- Zbyt na to nie licz, to może być kolejna ślepa uliczka. - Delikatnie pogładził ją po ramieniu. Potem włączył silnik i ruszył z miejsca.

- Pozostała mi tylko nadzieja - szepnęła Lily.

Mel przełknął nerwowo. Złość i rozdrażnienie znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nikt inny nie działał tak na niego. A już na pewno nie ktoś, kto wcześniej z całą premedytacją zamknął go w magazynie. Lily stanowiła absolutny wyjątek. Miał jednak pewność, że jej intencje były bez zarzutu. Ale wiedział też, że droga do piekła usłana jest dobrymi chęciami.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

- Dlaczego pomagam Susie? - Lily uśmiechnęła się pod nosem. Spojrzała przez okno. Na dworze było ciepło i słonecznie. Prawdziwie wiosenny dzień. - Do głowy by mi nie przyszło, że tak się sprawy potoczą. Myślę, że byłam bardzo naiwna, zobowiązując się, że jej pomogę. Sądziłam, że będzie to o wiele prostsze. Miałam znaleźć dla Dawida kochający dom, a Susie wsadzić do samolotu, by odleciała ku nowemu życiu. Wszystko jednak strasznie się skomplikowało, a ja nie mogłam tak po prostu wycofać się i zostawić jej samej, gdy dowiedziałam się, że ona nie ma nikogo.

Mel nadal nie rozumiał Lily, ale zaczynał jej ufać. Widział, że działała pod wpływem emocji, zupełnie przy tym nie zdając sobie sprawy z czyhających na nią niebezpieczeństw.

- Co chciałaś w ten sposób osiągnąć? - zapytał.

- Sądziłam, że uda mi się uchronić małego przed jego wynaturzonym ojcem, a Susie ułatwić start w nowe, lepsze życie.

- Według ciebie nie mogła zacząć tego nowego, lepszego życia razem ze swoim dzieckiem? - zapytał zszokowany.

- Dużo łatwiej byłoby wywieźć ją samą niż z dzieckiem. Co ja mówię? Gdyby chciała opuścić kraj z Dawidem, nigdy by jej się to nie udało.

Zapadło milczenie. Mel dłuższą chwilę zastanawiał się, czy zadać to pytanie. W końcu zdecydował się.

- Powiedz mi, jak ona mogła tak po prostu oddać swoje dziecko?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo z tego powodu cierpiała. Kocha Dawida ponad wszystko. Tak strasz-

nie się bała, że nie będzie potrafiła dobrze go wychować. Miała zacząć w zupełnie nowym miejscu, w innym świecie, prawie bez grosza przy duszy. Nie mogła pójść na takie ryzyko. Wiedziała, że Johnsonowie od lat pragną dziecka. Obie ich znałyśmy i było dla nas jasne, że będą wspaniałymi rodzicami. Może ty nie podjąłbyś takiej decyzji, ale Susie w rozpaczy doszła do wniosku, że tak będzie najlepiej. Ani ty, ani ja nie zrozumiemy do końca, dlaczego tak właśnie zdecydowała.

- Właśnie próbuję - powiedział Mel. Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Ujął Lily za dłoń i wyszeptał: - Naprawdę próbuję ją zrozumieć.

- Wiem. - Odwzajemniła jego uścisk.

Kumpel i Klotylda skorzystali z sytuacji i wyskoczyli na zewnątrz. Mel nawet nie próbował ich powstrzymać. Koty przebiegły przez trawnik i znikły z pola widzenia. Mel wziął Lily pod rękę i poprowadził w stronę pobliskiego domu. Dopiero teraz zorientowała się, że byli przed domem Laverta.

- Miejmy nadzieję, że uda nam się dowiedzieć czegoś użytecznego - szepnął do Lily i przycisnął dzwonek.

Otworzyła im filigranowa blondynka. Niepewnie spojrzała na przybyszy. Mel wyciągnął swoją legitymację i wyjaśnił, że chcieliby porozmawiać na temat jej męża. Margie Lavert wprowadziła ich do przestronnego salonu. Usiadła na sofie, naprzeciwko Lily. Mel rozejrzał się wprawnym okiem po pokoju i nagle dostrzegł w oknie dwa kocie łby.

- Znaleźliście już mordercę? - zapytała, nie mogąc powstrzymać łez.

- Niestety jeszcze nie. Ale może pani mogłaby nam w tym pomóc?

Pokręciła przecząco głową.

- Jim nigdy mi o niczym nie mówił. Zawsze tylko powtarzał, że niepotrzebnie się martwię. Wciąż się gdzieś spieszył. Przyzwyczaiałam się do tego, że nigdy go nie było. Wiedziałam jednak, że wróci... - Znowu łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Pani Lavert, proszę się dobrze zastanowić, zanim mi pani odpowie. Czy pani mąż wspominał kiedyś coś o jakiejś łodzi lub o jakimś miejscu położonym nad wodą?

- Nie mamy nic takiego - odparła natychmiast - ale marzyliśmy o tym, że może w przyszłości, jak uzbieramy trochę pieniędzy... Dawno temu snuliśmy nie kończące się plany na temat wspólnych wypraw. Ale to było naprawdę dawno, co najmniej pięć lat temu. Chociaż chwileczkę... Jim opowiadał coś, że burmistrz ma dużą łódź, którą od czasu do czasu udostępnia swoim pracownikom. Mel wydobyl z kieszeni notatnik i zapisał kilka informacji.

- A Wayman Bishop?

- Z tego co wiem, nie miał jachtu ani łodzi motorowej. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Mogę się mylić. Pamiętam jednak, jak Jim opowiadał, że wypożyczał czasem jacht od Torrella. To piękna, stara łódź. Jakiś czas temu byliśmy na niej na przyjęciu.

- I gdzie trzymał tę łódź?

- U Hendersona. To taki mały, zaciszny i uroczy port. Jim lubił to miejsce. Powtarzał, że jak przejdzie na emeryturę, kupimy sobie taką łódź i będziemy podró-

zować. Był niepoprawnym marzycielem - powiedziała Margie, ocierając łzy. Mel uniósł się z fotela.

- Proszę przyjąć moje kondolencje, pani Lavert. Będziemy panią na bieżąco informować o przebiegu śledztwa. Proszę wybaczyć to najście.

Mel wyciągnął rękę w stronę Lily i oboje szybkim krokiem skierowali się do wyjścia, starając się jednak nie wzbudzać podejrzeń wdowy. Wskoczyli do samochodu. Z ulgą stwierdzili, że oba koty siedzą jakby nigdy nic na tylnym siedzeniu.

- Port Hendersona... - Jego instynkt podpowiadał mu, że są na dobrym tropie.

- Gdzie to jest? - zapytała Lily.

- Około dwóch mil w górę rzeki. To bardzo ekskluzywne miejsce. - I prawie odcięte od świata, dodał w duchu.

Jechał tak szybko, jak tylko mógł. W pewnej chwili wyciągnął ze schowka pistolet i podał go Lily.

- To na wszelki wypadek.

Z niejakim ociąganiem wzięła broń do ręki.

- Nie przypuszczam, żebym mogła do kogokolwiek strzelić.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale nie chciałbym, abyś była kompletnie bezbronna. Jeśli Wayman Bishop jest tam z Susie... - Nie dokończył. Nie musiał. Lily dobrze wiedziała, na co było stać tego człowieka.

- Pospiesz się - powiedziała tylko. - Zaczyna się ściemniać.

- Kiedy dojedziemy, będzie już zupełnie ciemno. Zobaczymy, co uda nam się zdziałać.

Mel, łamiąc po drodze wszystkie przepisy ruchu drogowego, dotarł do portu w rekordowym tempie. Gdy byli już na drodze dojazdowej, wyłączył światła. Nie chciał stracić jedynej przewagi, jaką posiadał, a mianowicie elementu zaskoczenia. Zresztą księżyc świecił jasno, widoczność była więc całkiem niezła. Mel zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Nigdy wcześniej tu nie był. Słyszał na temat tego miejsca różne barwne opowieści, ale żadna z nich nie oddawała piękna i malowniczości tej okolicy. W promieniu kilku mil nie było żadnych zabudowań, tylko niczym nieskażona przyroda. Po prostu żywego ducha. Na końcu długiego pomostu przycumowana była piękna, stara, drewniana łódź. Poruszana wiatrem, lekko kołysała się na wodzie. Tylko jej środkowa część była oświetlona, wszystko inne tonęło w mroku. Mel dał znak Lily, żeby podążała za nim. Krok po kroku przybliżali się do łodzi. Obejrzał się i dostrzegł, że Kumpel i Klotylda także im towarzyszą. W razie kłopotów koty na pewno będą pomocne, pomyślał.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała szeptem Lily. Czuł jej ciepły, delikatny oddech na swojej szyi.

Gdyby nie niesprzyjające okoliczności, z pewnością przygarnąłby ją do siebie i pocałował.

- Zaczekaj tu. Spróbuję wśliznąć się na pokład. W ten sposób mamy większą szansę. A jeśli coś miałyby pójść nie tak, wrócisz do samochodu i wezwiesz pomoc. Mógłbym zrobić to teraz, ale nie jestem pewien, czy nie są na podsłuchu. — Nie chciał wspominać o tym, że pojawienie się policji zmieniłoby diametralnie sytuację ofiary porwania. Najkorzystniej byłoby, gdyby udało mu się samodzielnie rozwiązać tę sprawę.

Lily wyjęła z kieszeni marynarki telefon komórkowy.

- Użyteczny gadżet - powiedziała, podając mu go. Mel szybko wystukał numer posterunku, a potem popatrzył się na nią zaskoczony.

- Jest kompletnie rozładowany.

- Cholera... - zaklęła Lily. - Mel, jeśli na łodzi jest Wayman, to z całą pewnością są z nim również jego ludzie. Mam lepszy pomysł. Wejdę na pokład i odwrócę uwagę. Jak mi się uda, dam ci znać, ilu ich jest. Wtedy zadzwonisz po posiłki i nas odbijesz.

Mel wzdrygnął się na samą myśl o tym szalonym pomysle.

- Mowy nie ma, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Co to, to nie. - Mógł nie zgadzać się w pełni z działaniami, które podjęły Lily i Susie, ale za to całkowicie uwierzył, że Wayman Bishop był człowiekiem nieobliczalnym, zdolnym posunąć się do najgorszego. - Ja tam pójdę. Nawet jeśli mnie zobaczy, będzie wiedział, że wpadł i że wszystko stracone. Co najwyżej będzie chciał się ratować ucieczką. A ciebie po prostu zabije, zanim zdążysz otworzyć usta.

- Może nie...

Spojrzał na nią i w tym momencie stało się dla niego Jasne, że poglądy Lily na temat agresywnych mężczyzn wynikają z jej osobistych doświadczeń. Nie powiedział ani słowa, ale poprzysiągł sobie, że ten, kto kiedykolwiek ją skrzywdził lub kiedyś skrzywdzi, słono za to zapłaci.

- Zostań, proszę. Nie mogę pozwolić ci tam pójść.

- Dlaczego dbasz o moje bezpieczeństwo? Uśmiechnął się.

- Gdy jesteś bezpieczna, mogę skupić się na

działaniu, a jeśli będę się cały czas zastanawiał, co z tobą się dzieje, to już po chwili oboje możemy być w niezłych tarapatach.

- Jak na faceta, jesteś zdecydowanie za mądry. To komplement - wyjaśniła po chwili, widząc w jego oczach wahanie.

Nie mógł się dłużej opanować. Przycisnął ją mocno do siebie i pocałował.

- Jeszcze wiele musisz się nauczyć o mężczyznach, a przynajmniej o niektórych. Mnie też przydałoby się dowiedzieć czegoś więcej o kobietach. Myślę, że moglibyśmy spróbować wspólnej nauki...

Splotła dłonie wokół jego szyi.

- Mel, obiecaj, że to nie są czcze słowa. Wrócisz, aby nauczyć mnie tych kilku rzeczy. Przysięknij!

- Przymknęła oczy, a spod jej powiek popłynęły łzy.

- Chcę się ciebie nauczyć - szepnęła.

Pochylił głowę i delikatnie dotknął wargami jej ust. Były miękkie i aksamitne.

- Jeśli tylko sama tego zechcesz, żadna siła już mnie nie powstrzyma.

Nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, lecz teraz musiał radykalnie zmienić swoje poglądy. Postanowił, że gdy tylko Susie będzie bezpieczna, a Wayman znajdzie się za kratkami, poprosi Lily, by spędziła z nim resztę życia. Nie dopuszczał odmowy, zresztą wiedział, że i ona tego pragnie. Raz jeszcze pocałował ją delikatnie.

- Widzisz to okno? - powiedział cicho, wskazując dłonią w kierunku łodzi. - Kiedy znajdę się w jego pobliżu, machnę do ciebie dwa razy. Będzie to dla ciebie znak, żebyś zadzwoniła po posiłki.

- Jasne, zrobię tak.

- O, jestem przekonany, że mogłabyś zrobić dużo więcej! - Uśmiechnął się szeroko. - Jednak na wszystko przyjdzie czas. - Wcale nie było mu łatwo zostawić ją tu samą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że groziło Jej niebezpieczeństwo. W każdej chwili mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

- Uważaj na siebie. Za każdym krzakiem może się czaić człowiek Waymana - szepnął, po czym powoli odwrócił się i ruszył w stronę Jachtu.

Po chwili zniknął w ciemności. Od czasu do czasu wylaniał się jego cień widoczny w świetle księżyca. Lily zaczęła błagać Boga, by wspomógł Mela w jego misji.

Podczas gdy ta urocza para migdałiła się, udałem się na mały rekonesans. Nie żebym zdobył jakieś rewelacje, poza olbrzymią ilością śladów po oponach samochodowych. Najwyraźniej w ciągu ostatnich kilku godzin był tu całkiem spory ruch. Ale coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Margie Lavert była podejrzanie wylewna, jeśli chodzi o udzielanie informacji na temat tej łódki i miejsca jej postoju. Oczywiście jest wdową po gliniarzu i przykłada wagę do szczegółów, ale to Klotylda zwróciła uwagę na jej zaskakującą chęć współpracy. A ta kotka, zapewniam was, posiada naprawdę nieprzeciętną inteligencję, bystrość umysłu oraz intuicję. Czasem widzi rzeczy, o których ja nawet nie śniłem. Sam nie wiem, co powinienem teraz zrobić. **Czy** podążać za naszym Jamesem Bondem na łódkę, **czy** też raczej zostać z dziewczynami? Szkoda, że nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Czasem

by się przydało. Poradzę się Klotyldy. Zaraz, chwileczkę, co to za hałas? Jasny gwint! Uciekaj, Lily! Uciekaj! Na szczęście połapała się w sytuacji i zdążyła się schować. Chwilowo nie ma możliwości, żeby wróciła do radiowozu. Ależ ten gość ma wściekle jasne światła. Jakby wiedział, że za moment kogoś nakryje. O rany koguta! Klotylda miała rację. W środku siedzi Margie Lavert i kilku napakowanych dryblasów. Wysiedli i idą w naszym kierunku. A więc ta wiedźma najpierw wysłała nas tutaj, aby zaraz potem podążyć naszym śladem. Rety, jesteśmy jak szczury na tonącej łajbie. Nie ma drogi odwrotu. Mel jest już przecież na łodzi. Cholera, właśnie daje znaki, że potrzebne będzie wsparcie, a Lily nie może zrobić ani kroku! Jedyne co jej pozostało, to modlić się, żeby bystre oko tej wiedźmy nie dostrzegło niczego. O rany! Nie, to niemożliwe, mają Lily..Mądra dziewczyna. Nie próbuje uciekać. Jak może, stara się zachować zimną krew. Zawlekli ją na pomost, a teraz najwyraźniej szukają Mela. Nie potrwa to zbyt długo, zaraz i jego będą mieli. Co robić? Co robić? Póki co, musimy się z Klotyldą dobrze schować. Jak się sytuacja trochę unormuje, może da się coś wymyślić. Mel uratuje Lily, jestem tego pewien. Szkoda, że nie umiem gadać po ludzku, bo nie sądzę, żeby facet na posterunku zrozumiał mój koci komunikat. Dobrze, Lily, rób, co ci mówią. Grzeczna dziewczynka. Nie, nie wyciągaj pistoletu! O rety, moja Klotylda ładuje się właśnie w samo oko cyklonu. Nie skacz na niego! Nie! On cię zabije! Uf. Uciekła. Zaraz, muszę się upewnić, czy jej nie drasnął. Obezwładnili Lily i odebrali jej pistolet. Nie można powiedzieć, żeby obchodzili się z nią zbyt delikatnie.

Prowadzą ją w kierunku łodzi. Gdzie jest Klotylda? Boże, co za zamieszanie, a do tego kompletne fiasko! Chyba stracę głowę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lily próbowała wyrwać się z uścisku. Miała po-ścierane dłonie i kilka siniaków. Dała też sobie odebrać pistolet, który dostała od Mela. Ale przede wszystkim straciła nadzieję, że uda im się coś wskórać.

- To nie było najmądrzejsze z twojej strony — powiedziała z rozbawieniem w głosie Margie Lavert. - A teraz przypomnij sobie, że jesteś damą. Idź grzecznie przed siebie. Jestem przekonana, że Way-man ucieszy się na twój widok.

Jeden z osiłków popchnął Lily w stronę pomostu. Potknęła się i omal nie upadła. Odwróciła się i rzuciła mu ostre spojrzenie. Kochana Klotylda, próbowała jej pomóc. Lily miała nadzieję, że temu draniowi nie udało się postrzelić kotki. Ona nie liczyła na tyle szczęścia. Było to bardzo mało prawdopodobne. Chyba że Kumpel coś wymyśli. Dobrze, że nie zdradził swojej obecności.

- Nie ujdzie wam to na sucho - wypaliła Lily.

- Tak uważasz? Gdzie jest ten gliniarz?

Nic nie odpowiedziała, w zamian za co poczuła kolejne szturchnięcie.

- Nie wiem. Kazał mi tu zostać, ale nie powiedział, dokąd idzie. Miałam obserwować łódź.

- A on poszedł na piechotę z powrotem do miasta. No pewnie - zaśmiała się Margie.

Lily miała nadzieję, że strzelanina ostrzegła Mela. Może zaszył się gdzieś na łodzi i czekał na odpowiedni moment, żeby obezwładnić Margie i tych facetów, kiedy wejdą na pokład. Jej nikłe nadzieje runęły w gruzy, gdy wepchnięto ją do kabiny. Mel siedział na krześle, a za nim stał Wayman Bishop z pistoletem przyłożonym do jego głowy.

- Lily! - krzyknęła z przerażeniem Susie, zwinięta w kłębek w kącie kabiny. - On nas wszystkich pozabija! - zaszlochała.

Lily zebrała wszystkie siły i udało jej się zapanować nad strachem.

- Nie sądzę - odparła spokojnie.

- Zamknij się, ty dziwko! - ryknął Wayman do swojej żony i wymierzył w nią pistolet. - Zamknij się albo zrobię to teraz!

Susie opanowała łkanie. Zaczęła rytmicznie huśtać się w tę i z powrotem, mocno przytulając do siebie Dawida. Lily udało się wymienić krótkie spojrzenie z Melem. Był spokojny. Widziała w jego oczach, że nie zamierza się poddać. Odwrócił się do Margie.

- A to niespodzianka - powiedział jakby nigdy nic.

- Tego bym się nie spodziewał.

- A powinienes. No cóż, zawiodła cię intuicja.

- Podeszła bliżej i stanęła obok Waymana. - A może by pozbyć się ich wszystkich za jednym zamachem?

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się szeroko. Lily pomyślała, że ten łajdak przypomina rekina.

Krwiożerczy potwór w garniturze. Pan i władca. Nic dziwnego, że Susie tak panicznie się go bała.

- Nie będzie to takie proste, jak myślisz. Mój szef nie da się tak łatwo oszukać - rzuciła Lily. - Nie licz na to, że zamordujesz kolejne trzy osoby i znowu uda ci się zwiać.

- Zapominasz, że jestem prawą ręką burmistrza. Naprawdę nie jest aż tak trudno zaaranżować na przykład pożar albo wypadek samochodowy. Nie sądzisz? A kto ośmieli się podważyć moje słowa? Porwałyście moje dziecko! On - wskazał na Mela - próbował wam w tym przeszkodzić. I może by mu się udało, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek... Rozumiesz? I co ty na to?

Uśmiech Waymana był najohydniejszym ze wszystkich uśmiechów, jakie widziała do tej pory.

- Nie uda się - blefowała Lily. Wiedziała z doświadczenia, że najgorszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić w takiej sytuacji, to pokazać, że się boi. Takich facetów jak Bishop strach ofiary podkreca jeszcze bardziej. - Trzy ciała razem? Zapomnij o tym. W końcu i ty kiedyś wpadniesz. Poza tym zostawiłam w biurze wiadomość, dokąd pojechałam i po co. Tak więc jeśli coś mi się stanie, będą wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Mogę cię zapewnić, że w śledztwie nie będziesz pominięty. - Lily zacisnęła dłoń w pięści. Oczywiście nie zostawiła żadnych informacji, tylko jak szuler wyciągnęła fałszywą kartę z rękawa i zamierzała w nią zagrać.

Oczy Waymana zwięziły się w nienawistnym spojrzeniu. Z jego ust pozostała jedynie wąska kreska.

- Jej mieszkanie, jej biuro... wszystko sprawdzić.

Znajdźcie tę notatkę - zwrócił się do dwóch osiłków. - Jeśli będą jakieś problemy, załatwcie nakaz. Mężczyźni wyszli bez słowa.

- Jak widzisz, ślicznotko, to bardzo użyteczne być prawą ręką burmistrza. Mam taką władzę, której ty nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jeśli czegoś chcę, po prostu to mam.

- Tak, teraz posiadasz władzę, ale wszystko ma swoje granice. Nie łudź się, że nigdy cię nie dopadną. Niejeden już na tym wpadł, ciebie też w końcu przycisną. Zgnijesz w więzieniu. Pomyśl o tym, Bishop. Odrobina wyobraźni wystarczy. Najpierw pojawiają się twoi ludzie i dopominają się informacji na mój temat. Załatwiają zgodę na przeszukanie mojego mieszkania, a wkrótce potem okazuje się, że właśnie przypadkiem zginęłam. Nie sądzisz, że to szyte zbyt grubymi nićmi?

- Zapewniam cię, że wszystkie ślady doprowadzą do naszego kochanego detektywa Haskina - zaśmiał się Wayman szyderczo. - Ale gadaj sobie, gadaj. Widzę, że to lubisz.

Lily zacisnęła zęby.

- Może nie powinniśmy ich teraz zabijać? - odezwała się miękko Margie i podeszła do Waymana. Uniosła ręce i zaczęła masować jego ramiona. - Chyba najpierw lepiej dowiedzieć się, co ona tam napisała?

Bishop jednym ruchem zrzucił jej dłonie ze swoich ramion i warknął:

- A może myślenie zostawisz mi, co? Przez ostatnie dwa lata chyba całkiem nieźle mi szło? I dziwnym trafem to ja potrafiłem pozbyć się twojego męża.

Margie uśmiechnęła się niepewnie.

- Masz rację, kochanie. Tylko próbowałam ci pomóc.
- Susie, zbierz rzeczy dziecka! - rzucił Wayman tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- Nie! - krzyknęła i pochyliła się do przodu, chcąc osłonić małego.
- Ty przekłeta dziwko! - Podszedł do niej i mocno pociągnął ją za włosy. - Nie podskakuj, bo pożałujesz! A może chcesz, żebym dał ci jeszcze jedną lekcję? Wypolerować ci tę twoją twarzyczkę?
- Nie... - zaszłochała Susie.

Mel wstał, ale Wayman skierował na niego pistolet.

- Haskin, nie prowokuj mnie! - Poczekał, aż Mel usiadzie. - A teraz, Susie - raz jeszcze szarpnął ją za włosy - pozbieraj to i wychodzimy.

- Wayman, proszę - płakała Susie. Jej głos drżał z bólu i przerażenia. - Dlaczego.... - jego spojrzenie spowodowało, że nie dokończyła zdania.

- Nie zaczynaj - pociągnął ją za włosy do góry - bo twoja pyskata przyjaciółeczka też oberwie.

Susie zaczęła pospiesznie wrzucać rzeczy do torby.

- Pilnuj jej! - nakazał Margie, po czym wycelował broń w Mela i Lily. - A wy dwoje, wyłazić! Jest tu na łodzi mała rupieciarnia. Właśnie tam spędzicie kilka ostatnich godzin waszego pieprzonego życia.

Spróbujcie je interesująco spożytkować. Może jakaś wzajemna spowiedź albo coś w tym rodzaju.

Kiedy wrócę, zamienię was w grzanki. - Roześmiał się.

Lily, kiedy przekraczała próg ciemnego, wąskiego pomieszczenia na dziobie jachtu, poczuła się, jakby wstępowała do własnego grobowca. Odgłos roztrzaskujących się o rufę fal potęgował jeszcze bardziej jej przerażenie. Na plecach czuła dłoń Mela. Wiedziała, że

próbuję dodać jej otuchy, jednak prawda była taka, że nic nie mógł w tej sytuacji zrobić.

- Spokojnie, Lily - szepnął Mel, widząc jej spiętą twarz.

- Zamknij się! - warknął Wayman. - Jeszcze jedno słowo, a przestrzelę jej kolano. - Popchnął ich brutalnie w nieprzeniknioną ciemność obskurnej pakamery. Drzwi się zatrzasnęły, zaskowyczała zasuwka.

Lily poczuła, że nie musi być już odważna. Wreszcie mogła pozwolić sobie na słabość. Jej odwaga i tak już nikomu nie była potrzebna. Po jej policzkach potoczyły się łzy. Znalazła się w ramionach Mela. Przytulił ją z całych sił, jakby chciał powiedzieć: „Malaśka, nie bój się, wszystko dobrze się skończy”. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zapalniczkę. Mały płomyk pozwolił im rozejrzeć się po pomieszczeniu. Było bardzo małe, bez okien. Jedynym wyjściem były drzwi, przez które zostali wepchnięci. Na podłodze leżał materac przykryty cienką derką. W kącie dostrzegli małą dziecięcą butelkę. Domyślili się, że Susie też była tu zamknięta przez jakiś czas. Po chwili światelko zgasło. Mel ujął Lily za rękę i ostrożnie poprowadził w kierunku materaca. Usiedli i mocno się do siebie przytulili.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - szepnął Mel. Zaskoczył ją. Nie spodziewała się zwierzeń.

- Tak? Słucham?

- Cholernie się myliłem - powiedział, delikatnie gładząc jej włosy.

- Myliłeś się? Ale w czym? - zapytała niepewnie.

- Co do Susie i dziecka. Sam oddałbym własne,

byle tylko nie wpadło w łapy tego drania. Zrobiłbym dokładnie to samo co ona. Miałaś rację, Lily. Dlaczego nie chciałem cię słuchać? Nie mogę sobie tego darować. Gdybym nie był taki uparty, nie wpakowalibyśmy się w te wszystkie kłopoty.

Wtuliła głowę w ramiona Mela. Słyszała bicie jego serca. Mocne i spokojne. To, co powiedział, było dla niej bardzo ważne. Ale nie da się przecież cofnąć czasu.

- Dzięki.

- Jak tylko się stąd wydostaniemy, pomogę wam, a Wayman spędzi resztę życia w więzieniu. Solennie ci to obiecuję. Susie wreszcie poczuje się bezpiecznie i nie będzie musiała oddawać swojego dziecka. Zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić przyjaciółkę z małym Dawidem w parku. Cóż za piękna i idylliczna wizja, ale jakże daleka od rzeczywistości. Nie wiedziała nawet, czy Susie jeszcze żyje, i czy uda im się jakimś cudem wybrnąć z tej strasznej sytuacji.

- Co to była za strzelanina? - zapytał niespodziewanie Mel.

- Strzelali do Klotyldy. Zaatakowała jednego z tych osiłków. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- A Kumpel? - W głosie Mela zabrzmiała nutka nadziei.

- Też pewnie gdzieś tam był, ale nie widziałam go. Zresztą co on może zrobić? Przecież to tylko zwierzę. Wprawdzie inteligentne, ale zwierzę. Nie potrafi użyć telefonu, posługiwać się bronią ani prowadzić samochodu... Co mógłby wskórać?

Mel przytulił do siebie Lily.

- Ta historia nauczyła mnie kilku rzeczy. Po pierw-

sze nikogo nie należy osądzać pochopnie, a po drugie nie wolno nie doceniać tych dwóch kotów.

- Też się czegoś nauczyłam - powiedziała Lily, kładąc dłonie na torsie Mela. - Muszę ci coś wyjaśnić. Moja siostra była żoną policjanta. Wyjątkowo brutalnego drania, który wykorzystywał każdy pretekst, żeby ją katować. Źle cię oceniłam. Przepraszam. Bardziej nie mogłam się pomylić.

- Miałaś wszelkie prawo tak o mnie myśleć. Zachowywałam się okropnie.

- Jak sądzisz, ile czasu nam zostało? - Wiedziała, że Jej nie okłamie.

- Myślę, że najwyżej kilka godzin.

Lily poczuła jego ciepły oddech. Nie potrzebowała więcej zachęty.

- Spróbujmy wykorzystać je jak najlepiej - szepnęła miękko, delikatnie ocierając się włosami o jego policzek. Potem uniosła głowę do góry i zbliżyła lekko rozchylone usta do twarzy Mela.

Miała zamknięte oczy. Nie czuła ani wstydu, ani zażenowania. Jej ręce zaczęły rozpinać guziki jego koszuli. Oddech Mela był przyspieszony. Delikatnie ściągnął z niej bluzkę. Ciepło jego dłoni rozkleiło ją do reszty. Chciało jej się płakać i śmiać. Tak bardzo go pragnęła. Tyle razy myślała o tej chwili, wyobrażając sobie najróżniejsze sceny, ale rzeczywistość przerastała najśmielsze wyobrażenia. Była jak w transie, upojona gorącymi pocałunkami. Dłonie i usta Mela zdawały się pochłaniać każdy centymetr jej ciała, uważnie bacząc, by żaden jego zakamarek nie umknął ich uwagi. A jego gładkie, muskularne ciało przeżyło się niczym drapieżny zwierz do skoku.

- Mel... - szepnęła.
 - Tak?
 - Muszę ci coś powiedzieć...
 - Tak, słuchani cię.
 - Być może to moja ostatnia szansa, dlatego... chciałabym, żebyś wiedział. - Rozpaczliwie próbował w ciemności odnaleźć jej wzrok. - Kocham cię.
 - O, moja najdroższa, będziesz jeszcze żałowała tych słów, kiedy stąd wyjdziemy. Nie dam ci spokoju. Zadrżała na samą myśl, jak cudownie byłoby kochać się z nim na ogromnym, miękkim łożu.
 - O nie. Jestem pewna, że nigdy nie będę żałował tych słów.
 - Moja Lily. Pokochałem cię już wtedy, kiedy mnie po raz pierwszy wkurzyłaś - wyszeptał czule i uśmiechnął się sam do siebie.
 - Pomyśl tylko, ile czasu zmarnowaliśmy.
 - A więc wykorzystajmy ten, który nam pozostał
 - dodał, całując ją namiętnie.
- Lily zapomniała o trudnym położeniu, o niebezpieczeństwie, o tysiącu obaw, o strachu... o wszystkim
- poza tym mężczyzną, którego kochała bez granic.
 - Kumpel, Kumpel! - wołała Klotylda już z oddali. - Ci źli ludzie zabrali Susie i dziecko i gdzieś ją wywieźli!
- Na szczęście Klotylda wyszła z szamotaniny bez szwanku. Tylko jeden z pocisków trochę osmalił jej futerko.
- Te potwory zapłacą za to. Obiecuję ci, kochana! Moja dzielna kotka ma stalowe nerwy. Prawdziwie ją podziwiam. Strasznie się o nią martwiłem, choć wiem, że jest zwinna i sprytna. Teraz czym prędzej

musimy znaleźć Mela i Lily. Na pewno są na łodzi. Jakoś nie wydaje mi się, żeby Wayman miał ich zabić. Kiedy uda już się nam ich odszukać, trzeba będzie wytropić, dokąd wywieźli Susie z Dawidem. Co prawda nie umiem gadać po ludzku, ale jeśli udałoby nam się uruchomić w samochodzie radio, to na pewno ludzie Mela zrozumieliby, że coś z nim jest nie tak. Klotylda mówi, że to dobry pomysł. Potem pobiegniemy na łódkę. A kiedy się to wszystko wreszcie skończy, powinni nam postawić olbrzymią miskę łososia. Tak dużą, jak młyńskie koło.

Trzeba przyznać, że w samochodzie jest o wiele cieplej. No i proszę, już włączyłem radio... i jeszcze ten guzik... Świetnie! Jest odbiór! Ojej, a czemu ta pani jest taka zdenerwowana? No tak, nie słyszy odpowiedzi... Gdyby tylko wiedziała... Co tu zrobić? Jak dać jej do zrozumienia, że coś jest nie w porządku? Klakson! Włączmy po prostu klakson. Prawda, Klotyldo, że to wspaniały pomysł?

Naciśnijmy razem. O tak! Dobra. Teraz na pewno się domyślą, że coś się nie zgadza.

Mel trzymał Lily w ramionach. Zasnęła. On też był wykończony, ale nie mógł przestać myśleć. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Mel nie myślał jednak o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli. Czuł, że jakoś się wygrzebią. Rozmyślał o swojej przyszłości z Lily, o dzieciństwie i o tak wielu związanych z nim problemach. Wciąż widział siebie stojącego w holu domu dziecka i swoją matkę, znikającą za wyjściowymi drzwiami. Tylko tym razem słyszał jej płacz i czuł jej rozpacz. W żaden sposób nie potrafił odepchnąć od siebie tej wizji. Dziwne, dlaczego nigdy wcześniej nie pamiętał, że płakała? Może ona wcale nie

chciała go tam zostawić, tylko, tak jak Susie, nie widziała innego wyjścia? Mel westchnął ciężko. Skąd miał wiedzieć, jaka była prawda? Lecz jakież to dziś mogło mieć znaczenie? Po długiej wewnętrznej walce przecież jej wybaczył. A najdziwniejsze w tym wszystkim było, że w tym samym momencie poczuł, iż wyzwolił się ze swego własnego więzienia.

- Dziękuję, Lily - powiedział i pocałował ją w czoło. Przez sen coś zamruczała, a potem jeszcze mocniej przytuliła się do niego.

Mel zaczął się zastanawiać, ile czasu siedzieli już w zamknięciu. Czyżby nie słyszał, kiedy wrócił Way-man? W tym całym zamieszaniu zapomniał spojrzeć na zegarek.

Lily poruszyła się.

- Mel? - szepnęła zaspana.

- Tak, słucham? - Jakże cudownie ciepły był jej głos.

- Nie opuszczaj mnie, proszę.

- Nigdy - zapewnił ją, jak zapewnia się małe zasmucone dzieci, i przycisnął ją do siebie z całych sił. - Nigdy - powtórzył gorąco.

W pakamerze zrobiło się zdecydowanie zimniej. Nic dziwnego, przecież w nocy zawsze spada temperatura. Mel siedział oparty o ścianę i próbował wymyślić jakiś rozsądny plan działania. Przeraziła go myśl, że Bishop ich po prostu zostawił i wcale nie miał zamiaru dłużej się nimi przejmować. Jeśli czegoś prędko nie wymyśli, zginą z pragnienia. Nigdy nie marzył o takiej śmierci. Nagle usłyszał lekkie drapanie w drzwi. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Po chwili rozległo się ciche miauknięcie. Ściany były grube, więc nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

- Też to słyszałaś? - Lekko potrząsnął Lily za ramię.

- Co?

- Wsłuchaj się.

Drapanie powtórzyło się znowu. A zaraz za nim miauczenie. Lily poderwała się na równe nogi.

- Przecież to Kumpel! - krzyknęła z nadzieją w głosie. - Co za kot! On chce nam pomóc!

- Chcieć nie zawsze znaczy móc. Jak miałyby otworzyć te cholerne drzwi? A na tym diabelskim odludziu nikogo nie znajdzie do pomocy - zachnął się Mel.

- Wayman dobrze wiedział, że nie mamy żadnych szans wydostać się stąd. Inaczej postawiłby kogoś na straży.

- Myślę, że nie doceniasz Kumpla. - Zbliżyła się do drzwi. - Kumpel - powiedziała, zniżając głowę niemal do samej podłogi - jesteśmy tutaj! Sprowadź pomoc!

- Miau!

Słyszając tę rozmowę, również Mel podniósł się z podłogi.

- Kumpel, spróbuj. Może coś uda ci się wymyślić

- dodał bez większego entuzjazmu.

- Miau! - rozległo się przeciągłe miauknięcie.

- Ojej, to była przecież Klotylda - ucieszyła się Lily.

- Więc nic jej się nie stało. Tak bardzo się bałam, że ją postrzelili.

- Dobra. Ruszajcie już i zobaczcie, co da się zrobić. Pospieszcie się. Obawiam się, że nasze minuty są policzone - powiedział Mel i zasepił się.

Zdał sobie sprawę, że znaleźli się w sytuacji raczej beznadziejnej. Już po raz drugi w ciągu ostatnich godzin zdani byli na dwa kocury. Cóż za paradoks.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lily po omacku usiłowała odnaleźć poszczególne części swojej garderoby. Pojawienie się Kumpla i Klotyldy z jednej strony wyrwało ją ze świata złudzeń, ale z drugiej obudziło w niej nadzieję, że wyjdą z tego cało.

- Wyciągną nas z tego bagna - powiedział na głos Mel, jakby czytając w jej myślach.

- Jestem pewna, że im się uda - przytaknęła Lily. - Dlatego muszę szybko się ubrać. Nie chciałabym być półnaga, kiedy przyjdzie tu ktoś z odsieczą.

Mel położył jej dłoń na plecach i przyciągnął do siebie.

- A teraz obiecaj mi, że to nie pierwszy i zarazem ostatni raz. Że nie tylko groźba śmierci sprowokowała cię do wyznania mi miłości. Że odtąd będziesz robić to zawsze...

- Jasne, obiecuję... - Uśmiechając się, pocałowała go delikatnie. Nagle jednak spoważniała. - Cokolwiek się stanie, tego, co między nami jest, nie mamy prawa zaprzepaścić.

- Nie sądzę, by udało nam się przed sobą uciec.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Dlatego nie możemy dać się wykończyć. Pamiętaj, jeśli przyjdzie tu ktoś i otworzy drzwi, zostań w środku. Dopiero kiedy się upewnię, że wszystko jest w porządku, dam ci znać.

- Za nic nie puszcę cię samego.

- Nie o to chodzi. Oni chcą głównie ciebie, a ja nie mogę dopuścić, żeby mi ciebie odebrali. Zwłaszcza teraz, kiedy cię wreszcie odnalazłem.

- Tobie łatwiej uda się uciec, Mel. Gdy tylko otworzą się drzwi, uciekaj. Ja sobie jakoś poradzę

- dodała bez przekonania, wiedząc, że Mel jej propozycji nie weźmie nawet pod uwagę.

- Kochanie, nie mów do mnie w ten sposób. Wiesz, że nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił. Nie bądź uparta i zrób to, o co cię proszę. Przynajmniej tym razem.

- Ale tylko tym razem... - Lily nagle urwała.

- Słyszysz?

Dobiegły ich jakieś dziwne hałasy. Jak gdyby ktoś za ścianą przesuwiał meble.

- Słyszę, ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

No cóż, Wayman mógł w każdej chwili zdecydować, że z nimi skończy, a jedyne co mogli zrobić, to cierpliwie czekać.

- Mel, mogę cię o coś zapytać? - Odszukała w ciemności jego dłoń.

- Zawsze... - Przyciągnął ją do siebie.

- Dlaczego ta sprawa z dzieckiem tak bardzo cię rozjuszyła? To znaczy... - zaczęła się plątać - domyślałam się, że ma ona coś wspólnego z tobą, ale...

Zapanowała długa, przejmująca cisza. Wiedziała, że Mel nie lubił mówić o sobie i swojej przeszłości

ani o prześladowających go demonach. Wiedziała też, że tym niespodziewanym pytaniem postawiła go przed nie lada dylematem.

- Kiedy miałem cztery lata, moja matka zaprowadziła mnie do domu dziecka pod wezwaniem świętego Antoniego. To było najstraszniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem. Gdy szliśmy w dół długiego korytarza, echo naszych kroków odbijało się od ścian i dudniło mi w uszach. Do dziś pamiętam stukot jej wysokich obcasów. Byłem mały i niewiele z tego rozumiałem. Myślałem, że to jakiś szpital, bywałem w jednym, kiedy odwiedzaliśmy chorą babcię. Moja matka była tego dnia bardzo smutna. Bałem się, że zaraz mi powie, że babcia nie żyje, bo to miejsce, ciemne i zimne, kojarzyło mi się ze śmiercią... i z trumną.

Lily stała bez ruchu. Bezwiednie przesunął dłonie to w górę, to w dół jej ramion, próbując dodać otuchy, zanim powie jej to, co dla niego samego tak trudne było do zrozumienia. Tej samej otuchy, której zabrakło mu, gdy był jeszcze dzieckiem.

- Potem rozmawiała przez chwilę z jakąś kobietą, bardzo brzydką i niemłą - kontynuował Mel. - A następnie wstała, pocałowała mnie w czoło i wyszła z pokoju. Po jej policzkach płynęły łzy.

Lily starała się za wszelką cenę nie rozkleić. Wiedziała, że Mel musi to z siebie wreszcie wyrzucić. Nie chciała mu w tym przeszkodzić.

- Pobiegnę za nią - mówił z przejęciem. - Ale kiedy znalazłem się w holu, ona była już przy wyjściu. Szła bardzo szybko, a kiedy mnie zobaczyła, zaczęła biec. Biegła i płakała. A potem popchnęła te ciężkie

drzwi i znikła. Drzwi zatrzęsły się z hukiem i już nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Nie mogła zmienić jego przeszłości ani przemawiającego przez niego bólu. Westchnęła tylko ciężko, a z jej oczu popłynęły łzy. Nie znalazła słów, które byłyby choćby w najmniejszym stopniu adekwatne do tak przejmującej sytuacji.

- Zawsze myślałem, że bała się odpowiedzialności i że zmęczyła ją ciągła opieka nade mną. A ojciec? Cóż, pewnie nas zostawił. Nic o nim nie wiem.

- Próbowałeś odnaleźć swoją matkę? - spytała Lily niepewnie.

- Do dziś myślałem, że była pozbawioną serca egoistką i nie miałem najmniejszej ochoty jej szukać.

- A teraz? - zapytała Lily z nadzieją w głosie.

- Sam nie wiem - powiedział powoli. - Może wcale nie chcę dowiedzieć się prawdy? Co by to miało zmienić? Wychowałem się w domu dziecka. Nigdy nie brakowało mi jedzenia i otrzymałem dobre wykształcenie. Nie wszystkie dzieci dostają aż tyle od swoich rodziców.

- Jesteś wspaniały! - Lily czule pocałowała Mela w policzek.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest wybaczyć rzeczy, które wydają nam się nie do wybaczenia. No powiedz, potrafiłabyś wybaczyć swojemu szwagrowi?

Wzięła głęboki oddech.

- On prawie zabił moją siostrę... Bezustannie ją katował i poniżał. Nawet kiedy była w ciąży. Przez niego poroniła. Nie wiem, czy umiałabym mu wybaczyć... Ale wybaczyłam Babs.

- Siostrze? - był zaskoczony.
- No tak. To, że kochała kogoś takiego jak Bob, że wiedząc, co ją czeka, gdy wróci, wracała jak bezrozum-na ćma do świecy. Dawała się niszczyć. Byłam na nią wściekła. Nie mogłam tego w żaden sposób zrozumieć. Bałam się takiego uzależnienia. Przerażała mnie myśl, że i ja mogę popaść w coś podobnego. Dlatego wzbraniałam się przed wszelką miłością. Wystrzegałam się jej jak ognia. A wszystko ze strachu, że będę taka głupia jak moja biedna siostra. Że nie potrafię właściwie ocenić człowieka.

Mel przygarnął ją mocno do siebie, a Lily powiedziała jeszcze:

- Wiesz, to nie Bob jest problemem. To ja nim jestem, a raczej mój strach.

- A ja sądziłem, że jesteśmy parą mądrych, inteligentnych ludzi. Tymczasem każdy ma swoje zahamowania. Co dzieje się z tym światem? Co dzieje się z nami?

- Każdy ma za sobą swoją historię i nieraz bardzo ponure doświadczenia. Najpierw trzeba rozprawić się ze swoją przeszłością, wtedy dopiero można być naprawdę szczęśliwym, Mel.

- Obiecuj mi jedną rzecz. Kiedy już wydostaniemy się stąd, nie pozwolimy, żeby nasza przeszłość kładła się ponurym cieniem na teraźniejszość. I tak będziemy żyli: bez przeszłości i bez przyszłości.

Będziemy cieszyć się każdą piękną chwilą.

- Niczego bardziej nie pragnę - szepnęła Lily z uśmiechem.

Tuż przy drzwiach rozległ się straszny huk i głośne kocie miauczenie.

- Cokolwiek tam się dzieje, wygląda na to, że trwają Intensywne przygotowania, by nas stąd uwolnić - powiedział Mel.

- O, wierzę, że Kumpla stać na wszystko. Sam tak kiedyś powiedziałeś. - Poczowała jego usta na szyi.

- Musimy zawsze sobie wierzyć - szepnął jej do ucha.

Klotylda, to jest kocica! Żadna jej nie dorówna. Miała wspaniały pomysł. Zrobić z kabla telefonicznego lasso, wleźć po pudełkach na górę i zaczepić pętelkę o zasuwę. Jest tylko jeden problem. Ta cholerna łajba nie może nawet na chwilę stanąć spokojnie. Cały czas się kołysze i przez to obsuwają się pudła. Nikt chyba nie powinien się dziwić, że nie lubię wody. Zawsze miałem do niej nieodpartą niechęć. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego tak się dzieje. W ogóle woda to rzecz co najmniej podejrzana. Można do niej wejść, lecz gdy spada się na nią z wysoka, staje się twarda jak kamień. Podczas mrozu zamienia się w ląd, a gdy jest gorąco, całkiem znika. Nie można na nią nigdy w stu procentach liczyć. Do tego bez przerwy się porusza i przeszkadza w realizacji ważnych planów, jak na przykład w zarzuceniu lassa na zasuwę. Spadłem z tego cholernego pudełka i wystawiłem się na pośmiewisko. Nienawidzę wody! Klotylda śmiała się ze mnie i twierdziła, że zabawnie wyglądałem, kiedy tak leciałem w dół i kiedy rozjechały mi się łapy, a mój tułów skręcił się w spiralę. Moja urażona duma boli zdecydowanie bardziej od tylnej części, którą z całym impetem uderzyłem o pokład. Żeby to chociaż przybliżyło nas do celu. Ale nie, skądże. Nie udało mi się nic zdziałać.

A przecież Wayman może wrócić w każdej chwili. Nie pozostaje mi nic innego, jak jeszcze raz wdrapać się na to pudło. No, jestem. Jak wreszcie wszystko dobrze pójdzie, gdy uda mi się wspiąć na czubki pazurów, to może... Uff! Zwycięstwo! Czuję się, jakbym zdobył himalajski szczyt. Ale to była długa i ciężka batalia. Teraz wystarczy jedno pociągnięcie i... mamy ją! Sznurek zacisnął się posłusznie na skoblu. Swoją drogą, jaki to głupek z tego Waymana. Nie przewidział, że pan porucznik i jego dziewczyna mogą mieć lojalnych współpracowników, którzy pomogą im w ucieczce. Błąd, niewybaczalny błąd. No dobra. Teraz trzeba tylko otworzyć ten zamek. Raz, dwa, trzy... Słucham? Klotylda twierdzi, że słyszy jakieś podejrzanе odgłosy. Według mnie to woda obija się o burzę, a nie rekin ani piranie... O rany, to Wayman, który właśnie wchodzi ze swoimi ludźmi na pokład. Trzymajcie się! Nadchodzi pomoc! Jeszcze jedno pociągnięcie i zasuwka odskoczyła. Mel popchnął drzwi. Proszę, to wcale nie było takie trudne. Przedstawienie skończone. Mel rzucił okiem na Klotyldę. Miała zjeżone futro, niczym wściekły tygrys. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Po chwili i do niego dotarły jakieś głosy. No, pięknie. A on przecież nie miał broni.

- Lily, chodź! - Posłusznie przytuliła się do niego i poczuł jej ciepłe ciało na swoich plecach. - Oni tam są.

- Ilu?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. - Wziął ją za rękę i powoli, cichutko ruszyli w dół korytarza.

Znajdowało się w nim wiele drzwi. Mel otworzył

jedne z nich. Była to mała sypialnia. Niestety nie można było wydostać się z niej na zewnątrz. Otworzył więc drugie drzwi, najwyraźniej do gabinetu. Może to nie był najlepszy pomysł, ale nie miał czasu na myślenie, bowiem słyszał czyjeś kroki na schodach. Cała czwórka wśliznęła się do środka. Koty doskonale wiedziały, co mają zrobić. Natychmiast przepadły w ciemnych zakamarkach pokoju. Mel lekko uchylił niewielkie drzwi z tyłu kabiny. Była to łazienka, ale także bez okna.

- Musimy dostać się na górę. Luki zaczynają się dopiero ponad pokładem - powiedział.

Nie miał możliwości zwiedzić łodzi, wiedział więc tylko o schodach, którymi sprowadzono ich na dół.

- Idą - szepnął.

Lily odwróciła się twarzą w stronę drzwi. Mel wysunął się przed nią. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Był przygotowany na wszystko. Lecz ludzie Waymana nie zajrzeli do środka. Ominęli pokój, w którym skazańcy czekali na wyrok. Mel odetchnął z ulgą. W kilka sekund później usłyszeli wściekły ryk. Wayman musiał odkryć, że uciekli. W rogu pokoju stała duża skrzynia. Może nie było to najlepsze miejsce na kryjówkę, ale Mel miał nadzieję, że Wayman uzna, iż już dawno opuścili łódź. Uniósł wieko i pomógł wejść Lily do środka. Zwinęła się w kłębek.

- Nie zostawiaj mnie tu! Pamiętaj!

Mel nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Nigdy! - Przykrył ją kocem i zamknął pokrywę. - Będę mógł skuteczniej działać, jeśli będę wiedział, że jesteś bezpieczna. Klotylda zostanie tu z tobą - szepnął jeszcze i ruszył przed siebie.

Przez chwilę nasłuchiwał, a potem uchylił drzwi. Na korytarzu panowała cisza. Rozejrzył się jeszcze raz i ostrożnie wyszedł na zewnątrz. Kumpel przemknął mu pomiędzy nogami. Może powinien wyciągnąć Waymana poza łódź? A może dopaść do radiowozu i wezwać pomoc? Nie, radio nie. Dotarł do schodów prowadzących na pokład i powoli zaczął wspinać się na górę. Po chwili ujrzał rozgwieżdżone niebo i poczuł dość silny wiatr. Najwyraźniej zbierało się na sztorm. Jednak na łodzi panowała absolutna cisza. Ani śladu po Waymanie i jego ludziach. Ciekawe, dokąd ten drań zawlókł Susie. Ogarnęła go nieopisana wściekłość, gdy przypomniał sobie, w jaki sposób Wayman chwycił ją za włosy.

- Cześć, Mel - usłyszał niski, spokojny głos. Odwrócił się i ujrzał tuż przed sobą lufę olbrzymiego pistoletu trzymanego przez Margie.

- Szczury wychodzą, żeby prysnąć? - syknęła zadowolona. - Gdzie jest twoja dziennikareczka?

- Nie wiem - odparł powoli. W ciemności nie widział dobrze jej twarzy. Dziwnie było tak rozmawiać z kobietą-widmem.

- Byłoby dla niej lepiej, gdyby nie ukrywała się na jachcie. - Zapaliła papierosa.

W świetle zapalniczki Mel zauważył, że miała świeżo podbite, prawie całkiem zapuchnięte oko.

- O rety, co ci się stało? - zapytał zszokowany.

- Nic takiego. Niezdara ze mnie i tyle. Wpadłam na drzwi. - Zaciągnęła się głęboko. - Czy to nie tak mówi się w podobnej sytuacji?

- Ale ty nie musisz w niej tkwić - zaproponował Mel z nadzieją w głosie. - Przecież, jak się domyślam, nic złego nie zrobiłaś.

- Poza tym, że pragnęłam śmierci własnego męża.

- Jeszcze nikogo nie wsadzili za same pragnienia, wiesz o tym, prawda?

- Jim sam wykopał sobie grób - powiedziała nagle Margie. - Już wiele lat temu zaprzedał się Waymanowi. A kiedy był sfrustrowany postępowaniem swojego szefa, odbijał to sobie na mnie.

- A teraz zamieniłaś Jima na Waymana? - Mel nie mógł wprost uwierzyć w ironię tego wyboru.

- Doszłam do wniosku, że skoro już muszę być bita, to przynajmniej chcę z takiego życia coś mieć. Przynajmniej od czasu do czasu. - Zaśmiała się nieprzyjemnie, aż Mela przeszył dreszcz.

- I co, uważasz, że było warto?

- Niezupełnie... - Zawiesiła głos i spojrzała na Mela z dziwnym smutkiem w oczach. - Nigdy nie potrafiłam podejmować decyzji. Tak się składa, że zawsze dokonywałam złego wyboru.

- To może się zmienić. Nie musisz się niczego obawiać, przecież nie byłaś zamieszana w morderstwo Jima. A więc? - Omal nie krzyknął z bólu, bo Kumpel z całą zapalczywością zaczął wgryzać się w jego łydkę. O co mu chodzi? Prawie ją przekonał. Był tego pewien.

- Tak? A co będę z tego miała, jeśli ty nie zginiesz?

- Pomyśl, Margie. Jeśli mnie teraz puścisz...

- Wayman cię złapie. To tylko kwestia czasu - przerwała mu.

- Nie żartuj. Lily poinformowała już wszystkich. Wayman długo już nie pociągnie. A póki co, masz czyste ręce.

Pistolet zadrżał w jej dłoni i Mel już chciał go jej odebrać, gdy nagle poczuł coś koło swojego ucha. Odwrócił

się i zobaczył Waymana, trzymającego tuż przy jego głowie magnum kaliber 9. Kryło go kilku dryblasów.

- A kogo my tu mamy? Nasz detektywek. Już myślałem, że uciekłeś. Jak miło.

- Twierdzi, że dziennikarka ziała - syknęła ze złością Margie.

- Nic nie szkodzi, za to on jest tutaj. I coś mi podpowiada, że również ją gdzieś tu znajdziemy. Czyż nie byłby to zadziwiający zbieg okoliczności? - powiedział spokojnie i podsunął Melowi pod nos swoją rękę, przesiąkniętą zapachem benzyny.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął Mel.

- Ach, nic takiego. Przygotowałem sobie tylko plan zbrodni doskonałej. Idziemy na pokład! - ryknął nagle. - Ty, Margie, będziesz ubezpieczać mnie od tyłu.

Mel rozejrzał się dookoła. Okolica wyglądała na całkowicie wymarłą.

- Co zrobiłeś z Susie i dzieckiem? - zapytał, obawiając się tego, co usłyszy.

- Susie? O nią się nie martw. Jest bezpieczna. Zrozumiała, że powinna zająć się moim synem. Gdyby mnie tylko słuchała, wszystko byłoby w porządku. To naprawdę cudowny materiał na matkę.

Mel nie potrafił znaleźć słów, które wyraziłyby jasno jego uczucia. Wayman po prostu go szokował. Ten człowiek jest chory, pomyślał. Chyba nie zdaje sobie sprawy, co mówi. Stać go dosłownie na wszystko.

- Proszę, siadaj - wycedził przez zęby Wayman, wskazując mu miękką skórzaną sofę.

Mel odwrócił się dyskretnie i jeszcze raz rzucił okiem na Margie, stojącą za jego plecami. W świetle wyraźnie zobaczył, jak bardzo miała obitą twarz. Mu-

siało się to wydarzyć niedawno, gdyż w wielu miejscach widoczne były świeże ślady krwi.

- Czego się gapisz? - syknęła, zakrywając twarz dłońmi.

- Detektywie Haskin, gdzie pana dobre maniery?

- rzucił szyderczo Wayman. - Zrozum, Margie się wstydzi, że musiała zostać ukarana. Nie powinieneś się tak przyglądać, bo sprawiasz jej przykrość.

- Nie wiem, które z was jest bardziej chore - powiedział Mel, zwracając się już do Waymana.

- To nie twoja rzecz. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Nie sądzisz, że najwyższa pora, żebyś zaczął martwić się o pannę Lily?

Nagle ryknął na całe gardło i w pokoju pojawiło się dwóch mężczyzn. Musieli stać pod drzwiami i czekać na rozkazy.

- Przeszukajcie całą łódź! Wszystko! I dobrze wam radzę, znajdźcie mi ją!

- Przecież jej tu dawno nie ma - przerwał mu Mel.

- Twój czas się kończy, Wayman.

- Ach tak? Więc mogę cię teraz zastrzelić, bo to i tak już nie ma żadnego znaczenia. Jeden wte czy wewte... Niczego to już nie zmieni. - Wayman uniósł do góry pistolet, odbezpieczył i wycelował w głowę Mela.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Lily zamarła. Siedząc w swojej kryjówce, słyszała każde słowo wypowiedane w pokoju obok. Wiedziała, że życie Mela wisiało na włosku. W końcu zdążyła trochę poznać tego szaleńca Waymana. Skoro katował swoją żonę i zabijał bez mrugnięcia okiem, dlaczego nagle teraz miałby mieć jakieś skrupuły. Sytuacja zdawała się być naprawdę bez wyjścia. Mel siedział tam z pistoletem przystawionym do głowy, a jej szukało kilku bandziorów. Gorzej już być nie mogło. Wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w każde słowo.

- Proszę bardzo, zabij mnie - zagrał Mel va banque.
- W ten sposób i Margie będzie zamieszana w morderstwo. Może do tej pory byłaś czysta - zwrócił się do niej
- a może nawet sama byłaś ofiarą, ale teraz to już co innego.
- Poczekaj chwilę, Wayman — usłyszała błagalny kobiecy głos.

Ta skrzynia była naprawdę ciasna. Lily w żaden sposób nie mogła zmienić pozycji. A musiała. I to koniecznie. Ścierpła jej noga. Starła się bezgłośnie

oddychać. Zastanawiała się, gdzie jest Susie i Dawid, i co powinna teraz zrobić. Nie było czasu na błędy. Lekko uchyliła wieko. W pokoju panowała cisza. Kroki poszukujących jej ludzi oddaliły się. Rozejrzała się i wyszła ze skrzyni. Bezszelestnie podeszła do drzwi i spojrzała przez szybkę. Na korytarzu przed kabiną, w której toczyła się dyskusja, zobaczyła jakiś cień.

- Nie wtrącaj się! Nie będziesz mi mówić, co mam robić, Margie. Inaczej skończysz tak samo, jak oni.

- Dlaczego chcesz mnie zniszczyć, Wayman?! - krzyknęła przerażona.

- Jeszcze nie zrozumiałaś, kto tu rządzi? Nie wystarczyła ci nasza pierwsza rozmowa? Potrzebujesz kolejnej?! - ryknął na nią z furją.

Lily zagryzła wargi. Niczym nie różnił się od Boba. Ohydny sadysta i zwyrodnialec.

- Nie. Oczywiście ty decydujesz, ale jeśli go zastrzelisz, policja ci nie odpuści. I tak już zabiłeś jednego gliniarza. Nie możesz liczyć na to, że i w tym przypadku ochroni cię twoja pozycja. - Jej głos był bardzo spokojny. - A jeżeli podpalimy łódź, będzie to wyglądało na wypadek. Ogłusz go! A potem będziemy działać zgodnie z twoim planem.

Nogi ugięły się pod Lily. Zaczęła ogarniać ją panika. Po cichu wyszła na korytarz. Drzwi wejściowych do kabiny, w której znajdował się Mel, pilnowały dwa koty. Ostrożnie zajrzała przez okienko do środka. W pierwszym odruchu chciała rzucić się na Waymana, ale wiedziała, że to by tylko wszystko pogorszyło. Koniecznie musiała coś wymyślić.

- Miau. - Głos Kumpla był niski i nieprzyjemny. W podobny sposób zawtórowała mu Klotylda. Musiały przeczuwać coś niedobrego. Miały wygięte w łuk grzbiety, najeżoną sierść i sztywno postawione ogony. Usłyszała zbliżające się głosy. Zamarła z przerażenia.

- Tu jej nie ma. Sprawdźmy na górze.

Lily rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu jakiegoś miejsca do ukrycia. Muszę wydostać się na pokład, pomyślała gorączkowo. Koty torowały jej drogę. Na palcach pobiegła w kierunku mostka. Usłyszała głośnie miauknięcie, więc obejrzała się. Kumpel stał przy linie mocującej łódź do brzegu i szybkimi, zgrabnymi ruchami uderzał w nią łapą. Natychmiast zrozumiała, co chciał jej przekazać. W mgnieniu oka znalazła się przy nim i odwiązała linę. Przynajmniej przez jakiś czas nie będą mogli opuścić łodzi, a tym bardziej wysadzić jej w powietrze. Nie zastanawiając się ani sekundy, ruszyła pędem w stronę steru. Nie miała pojęcia, czy będzie umiała uruchomić silnik. Liczyła na to, że mechanizm funkcjonuje tak samo jak w samochodzie. Klucz tkwił w stacyjce. Nie myśląc długo, przekreśliła go. W tej samej chwili poczuła straszne szarpnięcie. Było tak silne, że z całym impetem uderzyła o tablicę rozdzielczą. Miała nadzieję, że panowie na dole nieźle się poturbowali. Po chwili usłyszała rytmiczny stukot silników. Była z siebie dumna. Chwyciła za ster, usiłując wyprostować łódź. Nie było to jednak wcale proste, gdyż ster reagował na najdrobniejszy ruch. Zaczęło miotać jachtem to w jedną, to w drugą stronę. Cholera, zaklęła Lily pod nosem. Wiedziała, że nie upłynie nawet kilka sekund, jak przylecą ludzie Waymana. Słyszała już ich kroki na schodach. Świetnie!

Wystarczy jedno mocne szarpnięcie i... Łomot dochodzący od schodów potwierdził, że osiągnęła swój cel.

- Miau! Miau! - nagradzały ją kociaki jeden przez drugiego.

- Zatrzymaj łódź! - usłyszała wściekły głos Waymana. - Albo zaraz ją zatrzymasz, albo wpakuję twojemu oficerkowi kulę w łeb!

Jeszcze raz obróciła raptownie koło steru. Łódź stanęła niemal dęba i zmieniła kurs. Płynęła teraz prosto na brzeg. Jeśli mieli zginać, to na pewno nie bez walki. Nagły wystrzał przeszył chłodne, nocne powietrze. Lily zamarła. W ostatniej chwili wyprostowała łódź.

- Miau - odezwała się Klotylda. W pyszczku trzymała kawałek sznurka.

Lily zablokowała ster i wyszła na zewnątrz. Żaglówka poruszała się teraz po okręgu. Na pokładzie nie było nikogo. Huk wystrzału wciąż brzmiał w jej uszach. Musiała zejść na dół i zobaczyć, co się stało. Dobiegła do schodów. Ale w tym momencie pojawił się na nich jeden z ludzi Waymana. Kulał, ale w rękę trzymał pistolet. Zaraz za nim zjawił się drugi. Rzuciła się do ucieczki, ale zauważyli ją i już po chwili poczuła na szyi szorstką dłoń. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, było mocne uderzenie w głowę. Potem spłynęła na nią wszechogarniająca ciemność.

Mel zacisnął zęby. Złapali ją, pomyślał. Teraz do niego należy następny ruch. Podczas szarpnięcia łodzi obaj przewrócili się, jednak Wayman nie wypuścił broni z ręki. Teraz przyciskał pistolet do jego brzucha. Przez koszulę czuł przenikliwe zimno stali. Zaczęli się szamotać. Próbował wyrwać broń z ręki szaleńca, lecz mu się to nie udało. Nagle pistolet wypalił. Mel poczuł

nieprzyjemne ciepło w okolicy ramienia, a zaraz potem przejmujący, piekący ból. Ostatkiem sił odwinął się i z całym impetem uderzył Waymana w głowę. Pistolet wysliznął się z jego dłoni, zakreślił w powietrzu szeroki łuk, po czym spadł z hukiem na podłogę. Ignorując ból, Mel próbował podczołgać się w tym kierunku. Miał go już w ręku, gdy poczuł obcas wbijający się w jego nadgarstek.

- Nie tak szybko, Mel.
To była Margie. W złączonych dłoniach trzymała pistolet.

- A teraz proszę, bez numerów. Siadajcie obaj przy ścianie. - Pochyliła się i podniosła z podłogi broń Waymana. Cały czas trzymała ich na muszce. - Gdy mnie uderzyłeś, popełniłeś błąd - zwróciła się do Bishopa. - Zawsze myślałam, że Susie była parszywą jędzą i dlatego ją tłukłeś. Jednak się myliłam. Ty po prostu uwielbiasz katować kobiety.

- Nie bądź głupia, Margie. Jestem trochę porywczy, to fakt, ale jakoś się przecież dogadamy.

- Jesteś mordercą. Również mnie zabiłbyś bez mrugnięcia okiem.

- Margie, nie żartuj, wiesz, że to nieprawda - mówił spokojnie Wayman, idąc w jej kierunku.

- Stój! Nie jest to wprawdzie magnum, ale też strzela! Uprzedzam.

- Odłóż pistolet! - wrzasnął. Nie potrafił zapanować nad swoją wściekłością. - Nie będę się powtarzał.

Odłóż ten cholerny pistolet i chodź tu w tej chwili!

Margie nawet nie drgnęła.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki do mnie mówisz - powiedziała spokojnie.

Mel postanowił na razie nie wtrącać się w tę rozmowę. Nie bardzo wierzył w nagłą przemianę tej kobiety. Czyżby rzeczywiście dopiero teraz zrozumiała, kim naprawdę był Wayman?

- Chodź tu! - ryknął dziko.

Po twarzy Margie przebiegł ledwo dostrzegalny grymas niepewności, ale nadal stała w miejscu.

W tym momencie Mel zdecydował się pospieszyć Jej z odsieczą.

- Margie - odezwał się cicho - wiem, że nie jesteś złym człowiekiem. Trochę się uwikłałaś, ale będę mógł ci pomóc. Obiecuję, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, tylko oddaj mi te pistolety.

- Nie słuchaj go! - darł się Wayman. - Nie daj się nabrać, głupia. Chodź tu do mnie! W tej chwili! - cedził przez zęby.

- Bo co? - zapytała zaczepnie Margie. - Co mi zrobisz? Stłuczysz mnie? Będę miała sine również drugie oko? No i co? Myślisz, że jesteś taki nieomylny? Już mi jest wszystko obojętne. Mam przy tobie zostać, żebyś doprowadził mnie do stanu, w jakim jest Susie? Oddała własne dziecko, by je przed tobą chronić! Musiałam być kompletną idiotką, żeby nie dostrzec tego wcześniej.

W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadło dwóch osiłków. Margie bezwiednie pociągnęła za spust. Pocisk odbił się o podłogę i zranił Waymana w kolano.

Rozwścieczony do ostatnich granic, z rykiem padł na podłogę. Jeden z jego ludzi dopadł Margie, wytrącił jej z rąk pistolety, a potem z całej siły popchnął na przeciwległą ścianę. Ogromne magnum upadło na sam środek kabiny,

a mniejszy pistolet pod szafę. Nieprzytomna Margie osunęła się obok Waymana. Mel, ignorując palący ból w ramieniu, jednym susem rzucił się w kierunku magnum. Już go trzymał, gdy jeden z tych drani bolesnym kopniakiem wytrącił mu go z ręki. Zwinął się z bólu, podczas gdy tamten stał i przyglądał mu się z zadowoleniem.

- Dalej, zabij go! - wrzeszczał Wayman, zaciskając dłonie na kolanie. - Zabij ich wszystkich! I ją też!
- wskazał głową na Margie, która powoli odzyskiwała przytomność. - Zastrzel te parszywe baby, a potem podpalimy łódź! Upozorujemy, że to on, ten zasmarkany detektywek, je zamordował. Ale miał pecha, bo kiedy chciał zatrzeć ślady, tak się niestety stało, że sam zginął. - Wayman wstał z trudem i kulejąc dotarł do krzesła. - Tylko pospieszcie się. Potrzebuję lekarza.

- A co z dzieckiem? - rzucił jeden z osiłków.

- Z moim synem?

- Właśnie. I z Susie?

Wayman obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- Już jej nie potrzebuję. Sprzątnij ją. Najlepiej od razu, na samym początku. A dziecko przyniesiesz mi. Teraz! I niech któryś dobije do brzegu. Szybciej! Macie tę dziennikarkę?

- Spokojnie, szefie. Leży sobie jak niemowlę. Nawet nie drgnie.

- I tak trzymać! Dawaj sfluwę - Wayman wyciągnął rękę - i spadaj!

- Coś mi się zdaje, że mój postrzał nie pasuje do twojej historyjki - zauważył Mel, próbując zatamować krwawienie z ramienia.

- Zostaw to mnie. To już nie twoja sprawa. I tak nie dożyjesz, by się o tym przekonać.

Mel rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyglądało na to, że przegrał, jednak nie miał zamiaru się poddawać. Lily była taka dzielna i taka odważna... A teraz leżała gdzieś na łodzi związana i rzucona w kąt. Na samą tę myśl pękało mu serce. Ale wciąż żyła, więc nie mógł się poddać. Być może była to już ostatnia szansa, by podjąć próbę ocalenia z tej zupełnie beznadziejnej sytuacji. Z rozmyślań wyrwało go pomrukiwanie dochodzące spod szafy. W pierwszej chwili sądził, że to tylko jego wyobraźnia. Ale nie, to nie była żadna imaginacja. Spod szafy wysunęła się czarna łapa, aby natychmiast zniknąć. Potem Kumpel wystawił na ułamek sekundy pyszczek, w którym trzymał pistolet. Nie do wiary... Mel postanowił natychmiast wykorzystać sytuację.

- O... - jęknął. - Mam mdłości. Będę wymiotował.

- Taki z ciebie twardy glina? - naśmiewał się z niego Wayman.

- Niedobrze mi... - jęknął znowu Mel i opadł na podłogę, kładąc się na swoim zdrowym ramieniu i wyciągając je w stronę szafy. Już miał schwycić za pistolet, gdy usłyszał rozkazujący głos:

- Wstawaj! Zejdziemy na niższy pokład.

- Nie mogę - stękał Mel. - Jest mi potwornie niedobrze. - Wykonał nieznaczny ruch ciałem i tym razem udało mu się pochwycić broń. Dźwignął się na kolana i wsuwając pistolet za pasek spodni, zaczął się podnosić.

- Szybciej! - ryknął Wayman - albo wpakuję ci kulę w łeb!

- Idę, już idę - jęczał Mel, powoli się podnosząc.

Niespodziewanie z całym impetem kopnął Wayma-na w przestrzelone kolano. Gdy Bishop zawył i przewrócił się na podłogę, Mel wyciągnął zza paska pistolet i wycelował mu prosto w twarz.

- Widzisz, waźniaku, jak szybko i niespodziewanie może nastąpić zamiana ról? Nawet nie wiesz, jak żałuję, że nie wolno mi cię zastrzelić - powiedział, po czym ogłuszył go potężnym kopniakiem w głowę. Upewnił się, że Wayman jest nieprzytomny i podszedł do Margie. Patrzyła na niego spojrzeniem zalęknionego zwierzęcia. - Tylko mnie nie prowokuj, bo potraktuję cię tak samo - ostrzegł.

- W porządku...

- Masz sznase wyjść z tego obronną ręką, o ile znów nie zrobisz czegoś głupiego. Albo pójdiesz na dno, albo wyprostujesz swoje życie.

- Mam nadzieję, że to zdanie będzie moim mottem na następne lata...

Mel uśmiechnął się pod nosem z nie ukrywanym zadowoleniem, lecz już po chwili wrócił do rzeczywistości, bardzo trudnej i niebezpiecznej. Wprawdzie udało mu się zdobyć małą przewagę, ale dotyczyła ona tylko tego pomieszczenia. Gdzie jest Lily? To pytanie nie dawało mu spokoju. Co ci dranie zrobili z Susie i z jej dzieckiem? Nie wiedział też, ilu bandziorów jest jeszcze na jachcie.

- Ilu ich tu jest? - rzucił w stronę Margie. Jego ostre spojrzenie sugerowało, że żarty się skończyły.

- Tutaj tylko dwóch, ale w sumie niezmierna masa.

- Umiesz obsługiwać radiostację na łodzi?

- Tak - powiedziała, podnosząc się bardzo powoli.

Potem wlepiła w Mela błagalne spojrzenie i zapytała: - Naprawdę mi pomożesz?

- Najpierw sama musisz sobie pomóc - odpowiedział bez namysłu. - Skontaktuj się z policją. Muszą się **tu** jak najszybciej zjawić. A tak w ogóle... czasu nie da się cofnąć, ale przynajmniej musisz uważać, żeby nie brnąć dalej w to bagno.

- Masz rację... - Wyszła z kabiny, nie zerkając nawet na Waymana.

Dokoła unosił się silny zapach benzyny. Gdzie jest Lily? A co, jeśli tych dwóch miało rozkaz podpalenia łodzi? Mel rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby związać tego szaleńca, jednak nie znalazł nic takiego. W tej sytuacji, tak na wszelki wypadek, Jeszcze raz potraktował Waymana kopniakiem.

- Miau! - Ni stąd, ni zowąd pojawił się Kumpel I począł ocierać się o nogi Mela.

- Masz rację, nie mamy chwili do stracenia. Musimy czym prędzej odnaleźć Lily. Pewnie zawlekli ją na dolny pokład, a to nie jest najlepsze miejsce na strzelaninę. Chodź, zobaczmy co warci są ci dwaj atleci.

- Miau - potaknął Kumpel. O rany, znowu ten dolny pokład! Brrr! Wszędzie woda. Co będzie, jeśli tam utkniemy? No dobra, nie ma chyba innego wyjścia. Idziemy. Poprosiłem Klotyldę, żeby miała na oku Margie i Waymana. Nie sądzę, żeby ta nieszczęsna kobiecina chciała jeszcze coś zbroić, ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Jest w końcu tylko człowiekiem. O, o! Słysząc tych dwóch...

Rozmawiają z Susie. Próbują odebrać jej dziecko. Nie daj się! Nie daj! Jesteśmy już blisko! Tak, to dobry moment, żeby wysunąć się na-

przód i ruszyć do ataku. Najlepszy będzie skok na głowę. No to jazzzda! Mam jednego z nich! Trzymam mocno i na pewno nie popuszczę. Wrzeszczy jak opętany. A ten drugi chyba zgłupiał i stracił orientację. Hej, Mel! Teraz twoja kolej. Rety, trzeba przyznać, że jest niezły. Stalone i Schwarzenegger mogliby pobierać u niego lekcje. Porusza się jak Batman. Nie dziwię się. Gdybym walczył o moją Klotyldę, też dałbym z siebie wszystko. Super! Charles już leży rozłożony na łopatki i błaga o litość. Dobra. Teraz ten, Mel! Czas, bym się ewakuował. Muszę zajrzeć do wybranki mego serca. Póki co, jest dobrze, choć Susie i Dawid zanoszą się od płaczu. O rany koguta! Za stołem leży Lily. Ależ ją związali. Ledwo oddycha. Dobrze, że Mel jest już przy niej. Nawet nieźle radzi sobie z tymi supłami. Nareszcie jest wolna. Rzuciła mu się w objęcia. Czyżby zanosilo się na podwójny happy end? No proszę, nawet Susie się uśmiecha i mały przestał płakać. Może powinienem na wszelki wypadek zajrzeć do Waymana? Chętnie bym go jeszcze trochę popieścił pazurkami, ale z drugiej strony po co brudzić sobie łapy takim nędznikiem? No cóż, w takim razie czeka mnie niebanalny wieczór w towarzystwie mojej cudownej kotecz-ki. W końcu zasłużyliśmy na małe co nieco. Pachnąca rybka... Zaraz, zaraz, a jeśli chodzi o zapachy, co to takiego? I ten dym? Chryste! Pali się!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lily czuła się kompletnie przegrana. Kiedy pojawił się Mel, była u kresu wytrzymałości.

- Boże, jak to cudownie, że jesteś przy mnie

- wyszeptała.

Gdy minęła pierwsza euforia, dostrzegła, że jego marynarka przesiąknięta jest krwią, Mel jednak upierał się, że to tylko draśnięcie i nie warto się nim zajmować. Jakże bezpiecznie czuła się w jego obecności.

- Zabierz Susie z małym i wydostańcie się na brzeg

- powiedział cicho. Nagle spojrział na nią z niedowierzaniem. - Czujesz ten zapach?

Oba koty w panicznym strachu wybiegły na korytarz, lecz już po chwili, przeraźliwie miauczając, powróciły. Mel wyjrzał z kabiny i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Schody prowadzące na górę płonęły. Powinienem był jednak związać Margie i tego drania, pomyślał.

- Musimy znaleźć gaśnicę! - rzucił krótko.

Lily ruszyła do akcji. Otwierała wszystkie szafy i schowki.

- Jest jakaś inna droga na pokład? - zwrócił się do Susie.

- Nie wiem. Byłam tu wprawdzie kilka razy, ale Wayman nie spuszczał mnie z oka. Nie miałam więc okazji dobrze się tu rozejrzeć.

- Miau! - Klotylda oparła łapkę na jednym z półprzysłomnych osiłków. Kumpel dołączył do niej i teraz oboje rytmicznymi ruchami ze wszystkich sił starali się go ocucić.

- Dobra myśl - powiedziała Lily.

Poszła do łazienki, po chwili wróciła ze szklanką zimnej wody i bez wahania chlusnęła Charlowskiemu w twarz. Ocknął się, klnąc pod nosem. Kiedy jednak zobaczył przed sobą pistolet, natychmiast ucichł.

- Twój szef podpalił łódź. Oznacza to, że jeśli nam nie pomożesz, wszyscy, włącznie z tobą, spłonimy. Może wiesz, gdzie jest gaśnica, albo znasz inną drogę na górny pokład?

Zaczął się zastanawiać.

- Gaśnica... - wycedził powoli - jest na mostku.

- A co z inną drogą? Pokręcił przecząco głową.

- Są tylko te schody - sapnął. - Może jakoś da się przejść?

- Nie ma mowy - uciął krótko Mel.

- Musi być jakieś wyjście. Po tym co przeżyliśmy, nie możemy się tu po prostu usmażyć. Nie mam zamiaru czekać tu na śmierć! - krzyknęła Lily i rzuciła krótkie spojrzenie Susie.

Ta jednak wyglądała na kompletnie zrezygnowaną. Siedziała na krześle i rytmicznie kiwała się to w przód, to w tył, przytulając do siebie małego.

- Gdyby Dawid został u Johnsonów, przynajmniej on byłby bezpieczny. Miałaś rację, Lily. To był błąd

- wymamrotała pod nosem.

- Nie martwcie się. Wyjdziemy z tego. - Mel chyba miał jakiś plan.

Lily podeszła do niego i przytuliła się mocno.

- Przecież to sobie obiecaliśmy - szepnęła.

- Wyjedziemy z tego - odparł, patrząc na nią z miłością. - Zobaczysz... - urwał nagle i nerwowo się rozejrzał. Usłyszał jakieś dziwne, bliżej nieokreślone syczenie... Czyżby ten bandyta chciał potraktować ich gazem?

- Hej! - dobiegł ich znajomy głos. - Hej! Życie?

- To Margie! - wykrzyknęli oboje jednocześnie.

- Miau! - Kumpel wyskoczył na korytarz. - Miau! Lily i Mel zerwali się na równe nogi. Płomienie co prawda nadal pełzały po ścianach, ale utworzyło się niewielkie przejście.

- Spróbujcie opanować trochę ogień od dołu!

- krzyknęła Margie i rzuciła gaśnicę.

Mel zawył z bólu, gdyż trafiła go prosto w przestrelone ramię, ale za to trzymał ją teraz w rękach. Otrząsnął się i przystąpił do działania.

- Trzymaj się z tyłu, Lily! - wrzasnął. Biała piana pokryła dużą część schodów i ogień przygasł. -

Udało się - westchnął i ruszył schodami do góry, sprawdzając, czy nie załamią się pod ciężarem wbiegających ludzi.

- A gdzie Wayman?

- Uciekł, kiedy nadawałam przez radio. Podrzucił ogień i wyskoczył za burtę.

- Pewnie popłynął w stronę brzegu...

- Jest ciemno, nie wiem. Poza tym próbowałam

gasić pożar. - Wyciągnęła rękę w stronę Mela i pomogła mu wdrapać się na pokład. Mel zaś pomógł najpierw Lily, a potem wszystkim pozostałym. Usłyszeli szum śmigła helikoptera.

- Pewnie wysłali brygadę antyterrorystyczną - wyjaśniła Margie. - Zaraz powinni zjawić się też strażacy. Gdy tylko zauważyłam ogień, od razu nadałam komunikat.

Mel położył rękę na ramieniu Margie.

- Dziękuję ci. Zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. Obiecuję.

- W takim razie mam prośbę: znajdź Waymana i wsadź go za kratki. - A po chwili dodała: - Nawet gdybym i ja musiała coś odsiedzieć. Trudno byłoby mi znieść myśl, że znowu mu się udało.

Okłamywał mnie, a ja nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Nie mogę wprost uwierzyć, że byłam taką naiwną idiotką. Chciałam wierzyć w każde jego słowo... - Obtarła usmoloną ręką łzy, spływające jej po policzkach. - Nawet w to, że Susie zasłużyła sobie na takie traktowanie. Mówił, że go zdradzała i oszukiwała.

Susie stała ze spuszczoną głową i nie odzywała się ani słowem. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała ze zrozumieniem w stronę Margie i powiedziała:

- Ja też mu ufałam. Nie wiem, dlaczego. Rozumiem cię... Kiedy dotarło do mnie, że to bandyta i sadysta, było już za późno. Nie widziałam drogi odwrotu.

- Ale teraz wygrałaś, ocaliłaś swoją przyszłość - szepnęła Lily, podchodząc do niej.

- I mam mojego synka - dodała Susie z uśmiechem. Jej oczy przepełnione były szczęściem.

Helikopter wylądował niedaleko nabrzeża. Mel stanął **na** środku górnego pokładu i zaczął dawać pilotowi znaki, że wszystko jest w porządku. Podeszedł do radia i polecił odszukać Waymana Bishopa. Łódź z wolna dryfowała do brzegu. Mel odpalił silniki i skierował ją w stronę doku.

- Jeśli chcesz, mogę przejąć ster - powiedziała Margie. - Teraz już sobie poradzę.

Niezbyt chętnie, ale przystał na jej propozycję. Czuł się bardzo osłabiony. Stracił sporo krwi, koszula i marynarka przesiąkły na wylot. Lily podeszła do niego i pociągnęła go lekko za rękę.

- Już po wszystkim. Chodź do kabiny, jesteś ranny. Kumpel i Klotylda również podążyli za nimi. Lily zamknęła drzwi i zanim zdążył zaprotestować, zdjęła mu marynarkę.

- Pokaż, jak to wygląda. - Rozpięła koszulę i zsunęła ją z ramienia. - O Boże! - wykrzyknęła przerażona, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Pobiegła do łazienki po ręczniki i próbowała obwiązać ranę, by zatamować wciąż sączącą się krew.

Po chwili poczuli lekkie stuknięcie o nabrzeże. A więc Margie udało się przybić do doku. Całe szczęście, pomyślała. Kiedy wreszcie wyjdą na brzeg, Mel trafi w ręce fachowców. Choć ledwo trzymał się na nogach, niełatwo było go przekonać, że czym prędzej powinien jechać do szpitala. Stracił bardzo dużo krwi. Co za twardziel z tego faceta. Wiedziała o tym od pierwszej chwili. Dobrze rokował na przyszłość... A nie było to całkiem bez znaczenia, bo przecież zamierzała spędzić z nim długie, długie lata.

Coś próbowała mu jeszcze powiedzieć, ale zagłuszyły ją coraz głośniejszy syreny radiowozów.

- Wreszcie nadeszły posiłki! - w euforii krzyknęła mu wprost do ucha, z czułością odgarniając opadające na czoło kosmyki włosów.
 - Dobrze i to - powiedział Mel, kiedy umilkł ryk syren.
 - A co z Waymanem? - zapytała.
 - Nie ma szans. Może sobie uciekać, ale nic mu to nie pomoże. I tak go złapią. Margie i Susie będą zeznawać przeciwko niemu, dzięki czemu spędzi resztę swojego życia za kratkami.
 - Właśnie, a co będzie z Susie?
 - O nią nie musisz się już martwić. Ani o małego. Lily pocałowała go mocno. Boże, jakże była mu wdzięczna!
 - Lepiej mi powiedz, co z naszą przyszłością, moja dzielna dziewczynko?
 - Nas też już nic nie rozdzieli...
- Lily zamknęła drzwi szpitalnego pokoju, w którym leżał Mel.
- Musisz trochę odpocząć, kochanie - szepnęła. Jeszcze przed chwilą było tu pełno ludzi. Odwiedził go nie tylko Laster Bennett, ale również całe mnóstwo kolegów. Lily nie wypuszczała z ręki gazety, którą podrzucił jej do szpitala szef. Na pierwszej stronie widniał olbrzymi nagłówek: „Korupcja i zbrodnia”. A zaraz poniżej: „Wayman Bishop aresztowany”. Rzecz jasna, to ona napisała ten artykuł. Rozległo się ciche pukanie. Oderwała wzrok od tekstu i spojrzała na drzwi, w których pojawili się Rose i Preston John-sonowie z ogromnym bukietem tulipanów.
 - Można na chwilkę? Mieliśmy nadzieję, że czujesz

się już trochę lepiej, Mel... - powiedziała niepewnie Rose.

- Mam się całkiem dobrze. Wejdźcie, bardzo mi miło. Zupełnie nie wiem, dlaczego wciąż mnie tu trzymają - odparł zażenowany.

Lily przymknęła oczy.

- Przestań, Mel. Ledwo cię odratowali. Miałeś dużo szczęścia i ciesz się, że nie musieli ci amputować ręki. Bardzo dobrze, że cię tu trzymają.

- E tam, to był tylko drobny postrzał. - Ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. - Kiedy już stąd wyleżę, nauczę cię, jak powinnaś szanować mężczyznę, który cię kocha.

- Wiesz... nie mogę się już doczekać - szepnęła, nie ukrywając zadowolenia.

W tym momencie drzwi znowu się otworzyły.

- Babs! - Lily w mgnieniu oka znalazła się przy niej. Zupełnie zapomniała, że jej siostra miała się pojawić w weekend z tym wysokim, przystojnym blondynem w okularach.

- Lily, to jest właśnie Luke. A to moja siostra, która" wszystkich męskich bokserów pakuje za kratki. - Potem nachyliła się i szepnęła: - Twój szef powiedział mi, że cię tu znajdę.

- W porządku.

Lily dokonała ogólnej prezentacji. Całkiem inaczej wyobrażała sobie faceta Babs. Był zupełnie inny niż Bob. Zresztą Babs też się zmieniła. Podziwiała ją za odwagę... Ale w końcu i jej należało się trochę miłości.

Kolejne stukanie do drzwi. Tym razem była to Eleonora Curry.

- Ale tu ciasno! - wykrzyknęła. Za nią wsunął się

Peter. Małżonkowie trzymali w ręku plastikowe klatki. - Przepraszam, ale Kumpel i Klotylda upierali się. Nie było siły, żeby ich zatrzymać. Choć przyznam, że zwłaszcza Kumpel nie przepada za atmosferą szpitala.

Otworzyli klatki. Nie trwało nawet sekundy, a oba koty siedziały na łóżku Mela.

- Cześć - powiedział, głaszcząc je na przemian. Lily wzięła Kumpla na ręce i czule pocałowała go w pyszczek.

- Taki kocur, to skarb! Bez wahania wzięłabym was oboje do siebie.

- Co to, to nie - pokręciła głową Eleonora. - Fakt, że Kumpel czasami mnie wkurza, ale za żadne skarby bym go nie oddała.

Znowu rozległo się pukanie. W drzwiach stanęła Susie z Dawidem na rękach. Lily poczuła pewien dyskomfort. Spojrzała w stronę Johnsonów. Trochę pechowo, że Susie trafiła właśnie na nich.

- Susie! - z piersi Rose wyrwał się okrzyk radości. Podbiegła do niej i serdecznie ją uścisnęła, a potem wzięła na ręce małego i ucałowała go w główkę.

Lily wymieniła z Melem porozumiewawcze spojrzenia.

- Przyznam szczerze, że w ostatnich dniach musiałem nieco zrewidować moje poglądy - powiedział z zadumą Mel. - Na wiele rzeczy patrzę dziś zupełnie inaczej.

Lily spojrzała na niego z czułością. Do i tak już zatłoczonego pokoju weszły dwie pielęgniarki ze stolikiem na kółkach. Stały na nim butelki zmrożonego szampana i kieliszki.

- Tak zarządził lekarz - wyjaśnił Mel z uśmiechem i mrugnął do Lily.

Dźwignął się na łóżku i wziął do ręki kieliszek wypełniony spienionym trunkiem. Kiedy wszyscy obecni byli gotowi wznieść toast, Mel powiedział:

- Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi to zrobić w tak dziwnej sytuacji, ale chciałbym, abyście pomogli mi przekonać Lily, że to dobry pomysł.

Lily, widząc iście diabelskie chochliki w jego oczach, z trudem powstrzymywała śmiech.

- Nie wiem, co powiedziała by lekarz na tę twoją nie kontrolowaną ekscytację. - Pogroziła mu palcem.

- Z pewnością nie byłby przeciwny.

- Tak sądzisz? O co zatem chodzi? Mel ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Kochanie, prawda, że wyjdiesz za mnie? Liczyła na to, że kiedyś padnie takie pytanie, ale dziś kompletnie nie była na nie przygotowana. Próbowwała coś z siebie wydusić, ale z jej krtani nie wydobyło się ani jedno słowo.

- To nie wyrok śmierci - dodał spokojnie Mel. Nie ukrywał rozczarowania. Spojrzał z rezygnacją po wszystkich zgromadzonych. - A może to nie był najlepszy pomysł...

Lily ścisnęła go za rękę.

- Zaczekaj, Mel. Wyrokiem śmierci byłoby życie bez ciebie. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa!

To tylko... Zatkanęło mnie i nie wiem, co powiedzieć.

- Może po prostu powiedz „tak”? - szepnął Mel.

- Tak, jasne, że tak! - wykrzyknęła uszczęśliwiona.

- Jak rozumiem, to oficjalne zaręczyny - rzuciła Babs. - Wznieśmy więc toast za nieustające szczęście tych dwojga.

Rozległy się głośne śmiechy i pomrukiwania.

Wszyscy zaczęli klaskać w dłonie. Gdy nieco ucichło, Preston odchrząknął i zaczął niepewnie:

- Czuję się w obowiązku coś wyjaśnić. No więc, Susie... - Podrapał się nieco zmieszany po głowie.

- Susie zgodziła się zamieszkać z nami. Mam na myśli... tak długo, jak długo nie wyklarują się jej plany na przyszłość. Poza tym chcielibyśmy z radością was powiadomić, że zostaniemy rodzicami chrzestnymi Dawida.

- Świat jest pełen wspaniałych, kochających ludzi

- odezwała się Susie i podniosła do góry kieliszek z szampanem. - Wiem o tym dzięki Lily i Melowi, którzy mnie i moje dziecko uratowali od zguby. A zatem właśnie za nich wznoszę toast.

- Miau! - Kumpel zeskoczył z łóżka i otarł się przymilnie o nogi Susie.

- Jasne! Masz rację! Oczywiście również za Kumpla i Klotyldę. Bez nich w ogóle nie dalibyśmy sobie rady

- dodała szybko, nieco zażenowana.

Nie ma jak ludzie, którzy doceniają wartość i inteligencję kota. Mam nadzieję, że w tej sytuacji Eleonora i Peter znajdą trochę miejsca dla małej zgrai kociątek. Z całą pewnością będzie to absolutnie per-rrefekcyjny prezent dla nowożeńców. Cieszę się też, że Susie zostanie z Dawidem u Johnsonów.

Myślę, że wszyscy będą zadowoleni z takiego rozwiązania. Sam bym tego lepiej nie wymyślił, a to już poważny komplement. Przydałoby się coś konkretnego na ząb, zamiast tych bąbelków. Ale broń Boże ze szpitalnej kuchni. Chociaż... właściwie całkiem niezłe są te bąbelki. Zaraz, zaraz, czemu Klotylda posyła mi takie

ogniste spojrzenia? Czyżby szampan uderzył jej do głowy? O, a teraz puściła do mnie oczko! W porządku, zrozumiałem. A zatem czas się wycofać. W końcu mamy pustą chatę i będzie można się zabawić. No dobra, moja piękna koteczko, masz rację, chodźmy stąd. Pozwólmy ludziom świętować.